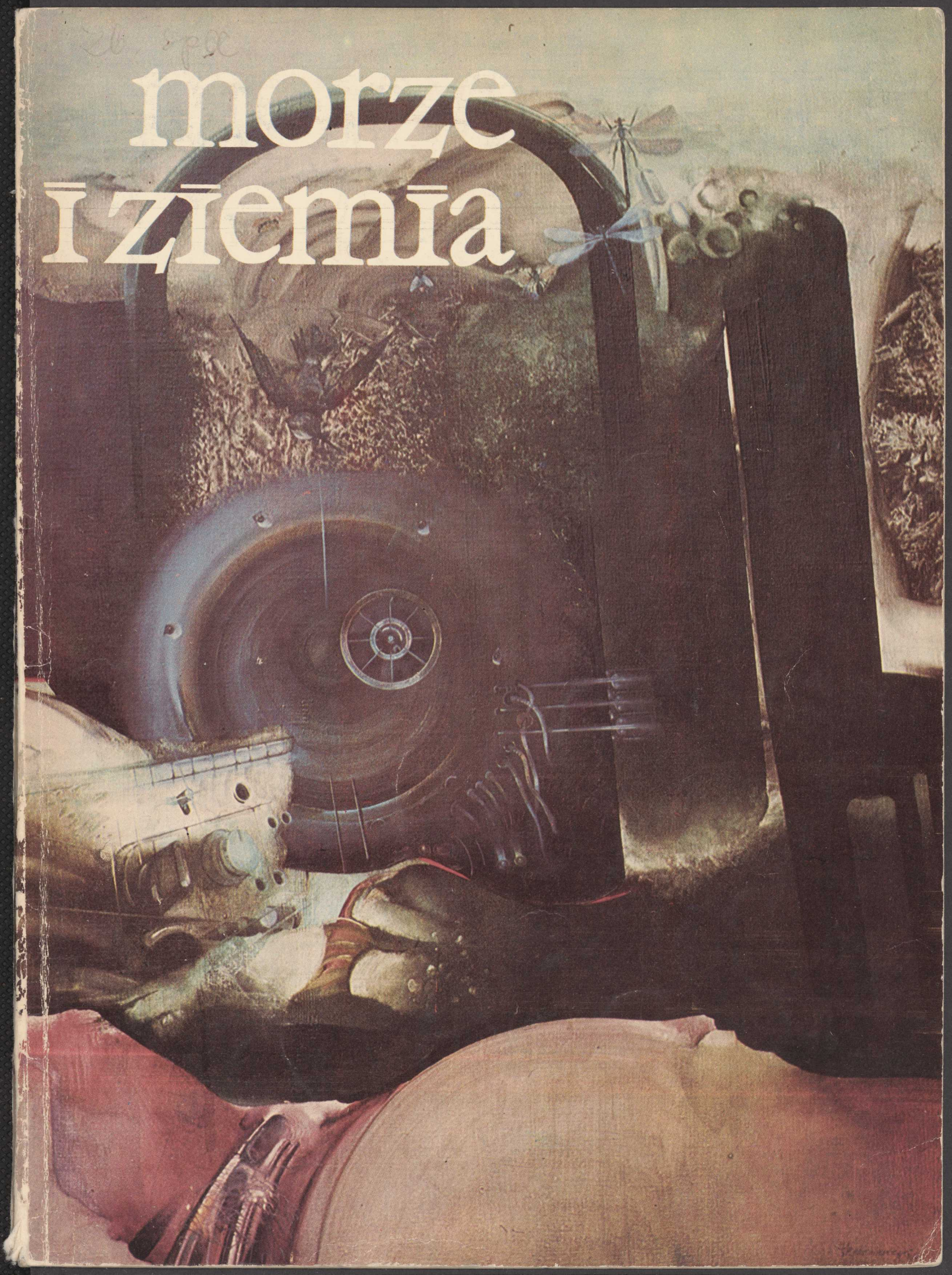
morze i ziemia





Fot. Danuta Piotrowska

morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY
sierpień 1980 r.

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

nr [3]

REDAKCJA:
Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Artur D. Liskowacki
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)
Piotr Zieliński

RADA PROGRAMOWA:
Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Bogdan Dopierała
Eugeniusz Daszkowski
Michał Hempoliński (Przewodniczący rady)
Jerzy Pachlowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich

Numer wydano przy
pomocy finansowej
Morskiego Ośrodka Kultury w Szczecinie

Cena zł 20,—

S.Z.Graf. Zam. nr 863/I/A, 3000+25, U-5/85

ISSN 0137-365 X

Na okładce:

TOMASZ BURASIEWICZ — „Coś się zaczyna, coś się kończy" — *olej*, z Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — *fot. W. Termanowski* (strona 1)
TOMASZ BURASIEWICZ — „Obraz" — *olej*, z wystawy „Piękno Ziemi Szczecińskiej — *fot. W. Termanowski* (strona 4)

W NUMERZE:

RYSZARD WOŁĄGIEWICZ, Goci w Krainie Wenedów. Kręgi kamienne — miejsca wieców plemiennych sprzed 2000 lat odkryte na Pomorzu . . . 1

ZYGMUNT BORAS, Obraz Pomorza Zachodniego w XII wieku 4

TADEUSZ SZUMIGRAJ, Przeżyć siebie 7

CZESŁAW PISKORSKI 10

RYSZARD DŻAMAN, Po trzydziestu pięciu latach..., „Polskie Pismo i Książka" 12

JERZY MADEYSKI, Refleksje o sztuce z okazji szczecińskiego festiwalu 16

JERZY JURCZYK, Po co artyście samochód? Rozmowa z prof. Januszem Sternem 18

RYSZARD LISKOWACKI, Wiersze 21

RYSZARD LISKOWACKI, ARTUR DANIEL LISKOWACKI, Rozmowa ojca z synem 22

ARTUR DANIEL LISKOWACKI, Wiersze 25

STANISŁAW TELEGA, Spotkania, rozmowy i znów listy (cz. II) 26

SZYMON KACZMAREK, Wiersze 29

JERZY JURCZYK, Uprawiam wielki rzeźbiarski teatr. Rozmowa z Władysławem Hasiorem 30

ANNA STANKIEWICZ, Bywają fałsze, które tak dalece udają prawdę 33

ROMAN KRASZEWSKI, W siedzibie szczecińskiej Polihymnii 35

MARIAN YOPH-ŻABIŃSKI, Palenie kołyski . . . 37

MARIAN KOWALSKI, XV Szczeciński Tydzień teatralny 40

TADEUSZ GRABOWSKI, List otwarty do jurorów XV Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego . . . 41

DOMINIK HOFFMAN, Organizatorzy zgubili cel . . 42

WOJCIECH BAJEROWICZ, Rodowód 43

ANDRZEJ JEZIERSKI, Szczecin 1945 — problemy polityczne 46

KAZIMIERZ KOZŁOWSKI, Szczecińskie środowiska artystyczne w latach 1949—1955. Uwarunkowanie rozwoju 48

KATARZYNA SUCHODOLSKA, Uparte echa . . . 50

NIKA MAZUROWSKA, Zdrowie psychiczne ludzi morza. Pierwsza strona medalu 52

MAREK KOSZUR, Do zobaczenia? 54

KRZYSZTOF BARANOWSKI, Dzień pożegnania. Przed skokiem przez Atlantyk 56

ZBIGNIEW KOSIOROWSKI, Odgłosy morza . . . 58

HALINA LIZIŃCZYK, Analizy 61

JĘDRZEJ PORADA, Cechy manewrowe statku . . 62

KRONIKA 62-63

DARIUSZ BITNER, Miniatury 64

RYSZARD WOŁĄGIEWICZ

GOCI W KRAINIE WENEDÓW

Kręgi kamienne miejsca wieców plemiennych sprzed 2000 lat odkryte na Pomorzu

W odniesieniu do czasów pradziejowych, ze względu na skąpy i niejednoznaczny charakter źródeł, zdani jesteśmy na śledzenie procesu rozwojowego i pewnych jego etapów bez znajomości towarzyszących im wydarzeń, wykrywanie przyczyn wynikających z prawidłowości ogólniejszej kultury bez poznania motywacji poczynań, wreszcie zdani jesteśmy raczej na anonimowość ówczesnych sił społecznych niż na znajomość ich plemiennej przynależności.

Na tle owych ograniczonych możliwości poznawczych, w znacznie korzystniejszej sytuacji jesteśmy w odniesieniu do schyłku starożytności, w pierwszych wiekach naszej ery, zwłaszcza na Pomorzu. Zarysowuje się tu bowiem możliwość nie poprzestania na wskazaniu owych zjawisk społecznych ogólniejszej natury, lecz także uchylenia rąbka tajemnicy wokół towarzyszących im wydarzeń, motywacji społecznych i etnicznego oblicza grup ludzkich. Jest to możliwe nie tylko dzięki sięgnięciu do różnorodnych źródeł, a więc archeologicznych, antropologicznych, antycznych przekazów pisanych i danych językoznawstwa, ale przede wszystkim dzięki — w moim przekonaniu — zdumiewająco zgodnej i jednomyślnej dla tego okresu wymowie owych źródeł. Wskazują one na pojawienie się w drugiej połowie I wieku naszej ery wśród rdzennych tu Wenedów grup ludności przybyłych ze Skandynawii i na przeciąg około 150 lat osiadłych na lesistych pustkach osadniczych Pojezierza Kaszubskiego i Krajeńskiego. Wskazują one także na zachodzący około 200 roku niespotykanych rozmiarów ewidentny exodus ówczesnych mieszkańców Pomorza z obszaru między Odrą a Wisłą w kierunku południowo-wschodnim, na prawobrzeżne Mazowsze, Podlasie, Polesie i Wołyń, w kierunku nadczarnomorskich obszarów ZSRR. Szlak owych przemieszczeń osadniczych znad Bałtyku w kierunku Morza Czarnego znaczą cmentarzyska i osady ludności o charakterystycznych cechach pomorskiej wspólnoty kulturowej oraz zachowane relikty dawnych nazw topograficznych, zwłaszcza rzecznych, wśród których znajdują się również relikty nazw jednoznacznie podejrzanych o pochodzenie germańskie z północy.

I oto stajemy w obliczu niezbyt częstego w nauce — lecz jakże satysfakcjonującego badacza — zjawiska zgodnej i dość jednoznacznej wymowy uparcie milczących danych wykopaliskowych, danych językowych oraz skąpych, lecz jakże cennych antycznych przekazów pisanych. Przemawiają one za uznaniem owych przybyszów skandynawskich za historycznych Gotów, którzy mieli pojawić się tu za swego plemiennego króla Beriga i dopiero za piątego z kolei króla Filimera (najpóźniej około 230 roku) odeszli nad Morze Czarne. Goci podzieleni na Ostrogotów i Wizygotów utworzyli tam silny związek polityczny, zwłaszcza za Hermanaryka niebezpiecznie zagrażający Imperium Rzymskiemu. W następstwie uderzenia koczowniczych Hunów w 375 r. Goci kolejno odeszli na zachód i na gruzach Imperium Rzymskiego utworzyli własne państwa — Wizygoci już w początkach V w. w Hiszpanii, natomiast Ostrogoci na przełomie V i VI w. krótkotrwałe państwo w Italii.

Ów bitny lud Gotów, prących uparcie ze skandynawskiej północy ku strefie bogatych prowincji rzymskich, musiał przyczynić się do zdynamizowania zachodzących około 200 roku przemieszczeń osadniczych z Pomorza na południwy wschód, w wyniku których część Wenedów (wg świadectwa tzw. Tabuli Peutingeriana) dotarła do łuku Karpat, a także aż do ujścia Dunaju, a więc w sąsiedztwo tych obszarów, gdzie w świetle źródeł z VI w. mieli pojawić się też niewątpliwi Słowianie.

Prahistoryczny szlak Gotów do historycznych dziejów Europy zachęca do odbycia wędrówki ich tropem w kierunku przeciwnym do biegu wydarzeń i dotarcia do wcześniejszych momentów ich dziejów, które mogą rzucić więcej światła również na ich wenedzkich sąsiadów na Pomorzu.

Z najwcześniejszymi dziejami Gotów na Pomorzu wiążą się niezwykle charakterystyczne zabytki będące świadectwem funkcjonowania najważniejszej instytucji życia społecznego w starożytności, jaką był wiec wspólnot rodowych i plemiennych. Niżej przedstawiam dotychczasowe wyniki moich badań w odkrytym przez mnie w 1974 r. zespole zabytków, który w 1979 r. został uznany za rezerwat archeologiczny i udostępniony do zwiedzania.

Rezerwat archeologiczny — miejsce wieców plemiennych w Lesie Grzybnickim

Ludowa nazwa „świątynia żydowska" kojarzonego z kirkutem żydowskim miejsca usytuowanego w lesie, gdzie nigdy nie było gminy żydowskiej, naprowadziła na odnalezienie zespołu zabytków kamiennych, który natychmiast został otoczony ochroną dóbr kultury i objęty archeologicznymi badaniami wykopaliskowymi i pracami konserwatorskimi, przywracającymi pierwotny stan kręgom kamiennym i nagrobnym konstrukcjom kamiennym. W wyniku tych prac utworzony został rezerwat.

Rezerwat znajduje się 20 km na południe od Koszalina, przy szosie do Poznania i Bydgoszczy, około 2,5 km na wschód od wypoczynkowej miejscowości Mostowo nad Radwią. Zajmuje powierzchnię około 5 ha i jest usytuowany w Lesie Grzybnickim, tuż na lewym brzegu Radwi. Leśne otoczenie rezerwatu jest starannie zachowane, a okolica leży w strefie chronionego krajobrazu, ciągnącego się wzdłuż Radwi do Jeziora Rosnowskiego i ośrodków wypoczynkowych w Mostowie. Ów zielony sosnami rezerwat składa się z kręgów kamiennych i cmentarzyska grobów kamiennych.

Kręgi kamienne

W Lesie Grzybnickim zachowały się cztery kręgi kamienne. Każdy z nich składa się z piaszczystego koliska otoczonego głazami wysokości około 1,5 m, pionowo wkopanymi w regularnych odstępach jeden od drugiego oraz steli kamiennej wkopanej po środku koliska. Dwa duże kręgi mają identyczne wymiary o średnicy 37,5 m i są usytuowane obok siebie, natomiast dwa mniejsze liczą tylko 8 i 13 m średnicy i znajdują się w pewnym oddaleniu. Głazy tworzące krąg były wolnostojące (krąg IV), bądź ciasno otoczone pierścieniem polnych kamieni (krąg I i III), bądź też połączone dodatkowym, dookolnym wieńcem polnych kamieni (krąg II).

Wszystkie te kręgi mają ścisłe odpowiedniki w Polsce na niewielkim obszarze ograniczonym do Pojezierza Kaszubskiego i Krajeńskiego na Pomorzu, gdzie spośród niegdyś 40 zachowało się zalewie kilkanaście kręgów (Odry w woj. bydgoskim oraz Węsiory i Babidół w woj. gdańskim). Poza Polską występują po przeciwległej stronie Bałtyku — w Skandynawii (płd. Norwegia i Szwecja), gdzie zachowało się około tysiąca kręgów kamiennych. Jednakże obydwa duże nasze kręgi są największymi ze znanych dotąd kręgów w tej części Europy.

W obrębie zbadanych kręgów, na głębokości odpowiadającej pierwotnemu poziomowi użytkowemu, znajdowała się warstwa zdeptanej ziemi, ślady rytualnych uczt w postaci potłuczonych naczyń glinianych oraz pozostałości ceremonii obrzędowych, związanych z ciałopaleniem na stosie. I tak w kręgu II znajdował się wypalony stos ciałopalny rytualnie zarzucony kamieniami, z którego prochy zostały wybrane i pochowane obok w jamie grobowej. W kręgu I znajdowały się dwa stosy ciałopalne również zarzucone kamieniami, w których kości pozostały w popiele, a zatem nie zostały wybrane i pochowane. W kręgu III pod środkową stelą znajdował się pochówek grzebalny (nieciałopalny), natomiast w kręgu IV nie było ani stosu, ani też pochówka. Uderza ubóstwo pochówków złożonych w obrębie kręgów, jak również fakt, że na stosunkowo dużej przestrzeni koliska kręgów pochówki są pojedyncze, bądź nie przekraczają liczby 2—3. Spalonych na stosach i pochowanych w obrębie kręgów nie tylko nie obdarzano praktykowanymi darami, lecz na ogół pozbawiano także ozdób i innych atrybutów ich pozycji społecznej. Ubóstwo ich wyraźnie kontrastuje z wyposażeniem pochówków spoza obrębu kręgów, na cmentarzysku.

Cmentarzysko

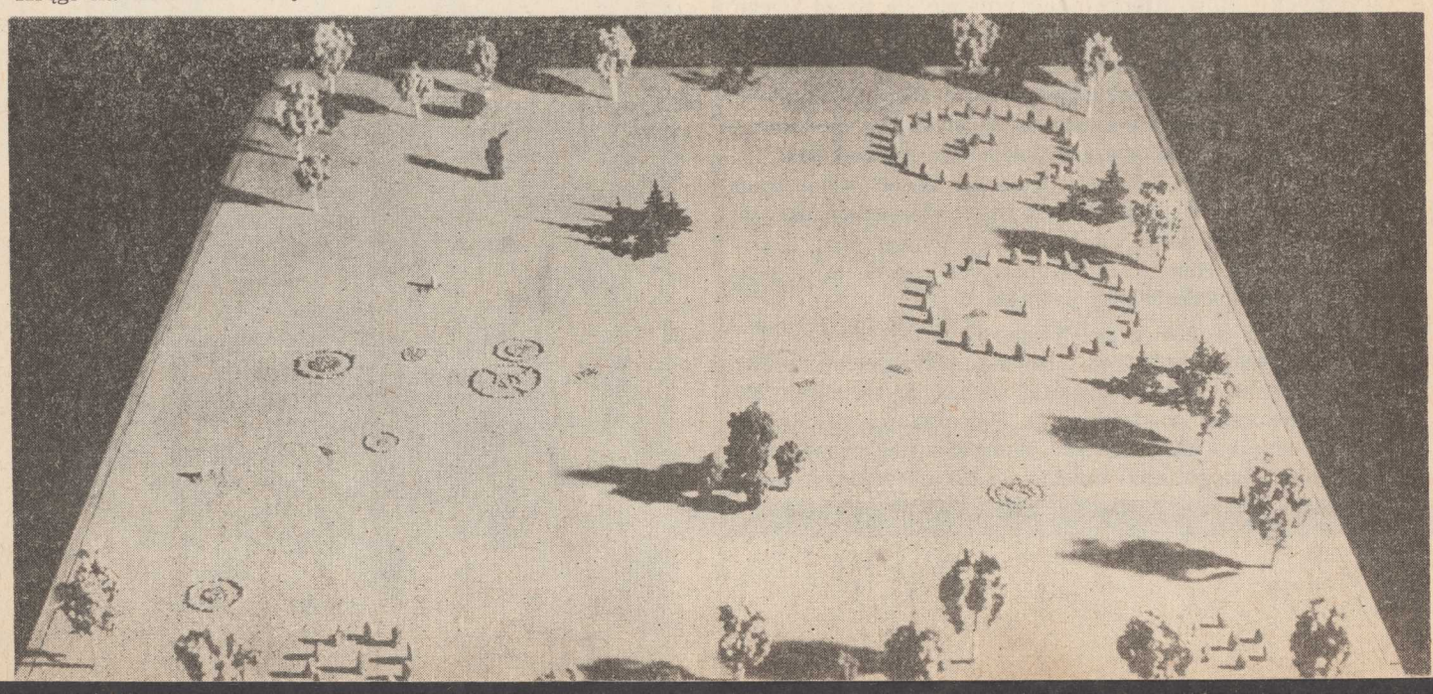
Kręgi kamienne znajdują się w obrębie współczesnego im cmentarzyska. Stanowiły one integralną część miejsca grzebania zmarłych i budowano je przy zakładaniu cmentarza. Jednakże kręgi stanowiły zawarowaną przestrzeń rygorystycznie respektowaną przez ogół grzebiących, którzy swych zmarłych z pietyzmem należnym przodkom chowali poza obrębem kręgów. Chowano w obrządku birytualnym stosując rytuał kremacji i inhumacji. Groby nakrywano bądź ustawioną stelą otoczoną kamieniami, bądź też brukami. Te ostatnie posiadają urozmaicone, wielowieńcowe kształty dochodzące do 12 m średnicy. Przy obrządkowywaniu zmarłych pochowanych na cmentarzysku rygorystycznie przestrzegano zwyczaju nie wyposażania pochówków w broń. To też wyposażenie składało się z przedmiotów z brązu, srebra, rzadziej złota. Są to przede wszystkim części stroju w postaci zapinek do spinania szat, kolii paciorków spiętych klamerką, bransolet, szpil do upinania włosów, sprzączek i okuć pasa itp., a więc głównie ozdób, które najszybciej ulegały zmianom mody dyktowanym w prowincjach cesarstwa rzymskiego i z niewielkim opóźnieniem docierającym do ludności naszych ziem. Stąd dzięki metodom porównawczym, precyzyjnie opanowanym przez archeologię, istnieje możliwość datowania znaleziska z dokładnością do ćwierćwiecza i ustalenia wieku naszego znaleziska od ostatniej ćwierci I wieku do końca II stulecia, czyli na lata od około 70 r. do około 200 roku naszej ery. Należy więc przyjąć, że kręgi kamienne i cmentarzysko było miejscem zgromadzeń publicznych i kultywowania pamięci zmarłych przodków patriarchalnej wspólnoty rodowej lub plemiennej w ciągu życia jej czterech—pięciu kolejnych pokoleń.

Goci — przybysze w krainie Wenedów

Goci po przybyciu na Pomorze zasymilowali się kulturowo z Wenedami, lecz zachowali swą odrębność i specyficzne przejawy życia społecznego, dostrzegalne m. in. w funkcjonowaniu miejsc otoczonych kręgami kamiennymi.

Kręgi kamienne były miejscem zwoływania wiecowych zgromadzeń publicznych i odbywania okresowych uroczystości obrzędowych. Na podstawie astronomicznego pomiaru zespołu kręgów kamiennych (Odry w woj. bydgoskim) dało się ustalić, że dni letniego i zimowego przesilenia dnia z nocą — 22 czerwca i 21 grudnia — odgrywały ważną rolę

Kręgi kamienne — miejsce wieców plemiennych odkryte w Grzybnicy (makieta) *Fot. E. Dokudowicz*



w życiu społecznym i zapewne w tych dniach zwoływano wiece i odbywano szczególnie ważne zgromadzenia, w czasie których — jak w całym ówczesnym życiu — sprawy publiczne przeplatały się z zabiegami magicznymi przepowiadającymi przy pomocy wróżb i zapewniającymi przy pomocy ofiar powodzenie gromadnie podejmowanych decyzji. Sąsiedztwo pochówków zmarłych przodków stwarzało atmosferę miru wiecowego, niezbędną przy rozpatrywaniu spraw spornych. Tym to względem należy tłumaczyć związek kręgów kamiennych z cmentarzyskiem, gdyż poszanowanie miejsca spoczynku przodków dawało rękojmię zachowania powagi ograniczało żywych w swobodzie sięgania po miecz i nakłaniało do zgody. Przypomnijmy też, że w pierwszych wiekach naszej ery na Pomorzu obowiązywał zwyczaj niewyposażania zmarłych w broń, ten zwyczaj w tych okolicznościach mógł mieć szersze znaczenie.

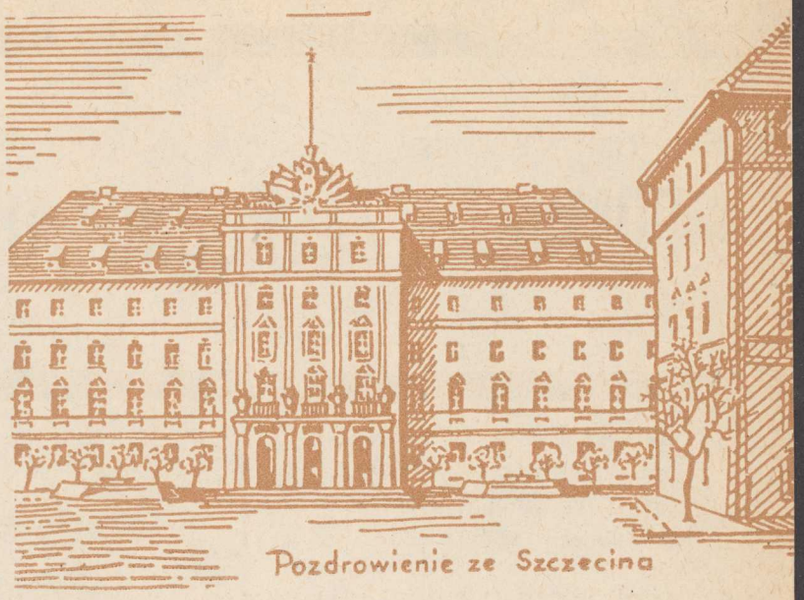
Główną formą życia publicznego ludności skandynawskiej były tingi — wiece, zgodnie z tradycją zwoływane pod gołym niebem na stałych miejscach koliście ogrodzonych. Na tingach za zgodą zgromadzenia podejmowano uchwały, rozpatrywano sprawy sporne i sądowe. Do interesującego nas okresu można odnieść zwyczaj zwoływania głównych tingów dwa razy do roku — późną wiosną i jesienią, czyli „letnich" i „zimowych', a więc w porach bardzo zbliżonych do owych dni letniego i zimowego przesilenia, przypadających 22 czerwca i 21 grudnia. Na tingach składano ofiary w bydle, jedzeniu i napoju, a w czasie głównych tingów także ofiary z ludzi, przy czym jak relacjonował Adam z Bremy i tzw. Saga o Gotach — tradycja ta utrzymała się w Skandynawii jeszcze w początkach doby chrześcijańskiej we wczesnym średniowieczu. Kręgi kamienne na terenie Skandynawii tradycyjnie zwane „tingplasser", „tingstäde" lub „dommaringar" (miejsca tingów, kręgi sędziowskie), dość dokładnie odpowiadają specyfice tingów — wieców. Jest wielce prawdopodobnym, że owe stosy ciałopalne i pochówki w obrębie kręgów są świadectwem składania ofiar z ludzi, zaś potłuczone naczynia pozostałością uczt rytualnych.

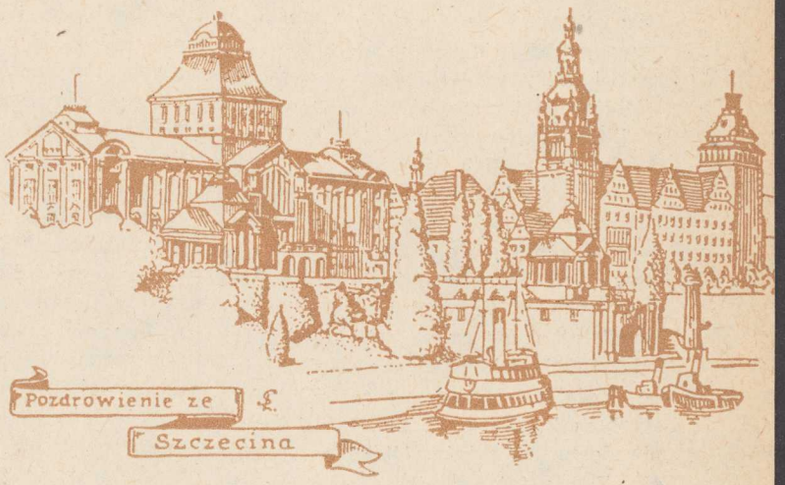
Dzięki gościnności Instytutu Szwedzkiego (Svenska Institutet) w Sztokholmie, w 1979 r. miałem możność osobistego zapoznania się z analogicznymi zabytkami na terenie Szwecji. Doc. B. Ambrosjaniemu i dr H. Jaanusson w Sztokholmie, prof. A. Almgrenowi w Uppsali oraz doc. E. Nylènowi w Visby na Gotlandii zawdzięczam możliwość przekonania się o daleko idącym podobieństwie zabytków szwedzkich z odkrytymi przeze mnie w Lesie Grzybnickim.

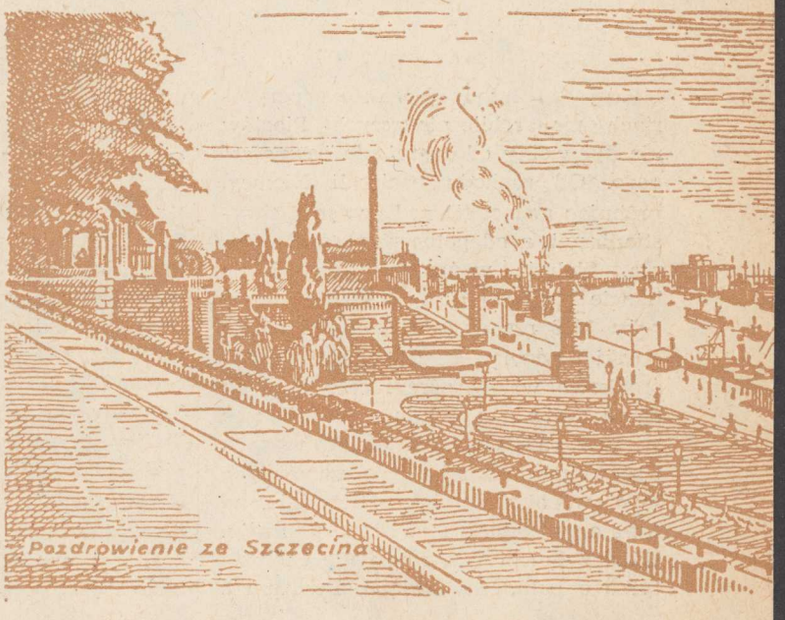
Gocki epizod w dziejach wenedzkich i słowiańskich

Kręgi kamienne w Lesie Grzybnickim są kamiennym monumentem kultury ludów świata „barbarzyńskiego" z pierwszych wieków naszej ery i należą do skarbnicy zabytków o randze europejskiej. Są interesującym zabytkiem najważniejszej instytucji życia publiczego w starożytności, jaką był wiec wspólnot rodowo-plemiennych.

Dalsze badania na tym polu rzucą interesujące światło na współżycie Gotów z Wenedami oraz Słowianami, którego śladem są pożyczki słownictwa gockiego w języku prasłowiańskim. Wczesne pojawienie się Gotów na widowni dziejowej świata antycznego stanowi szansę dla wyjaśnienia wielu spornych problemów dotyczących również naszej zamierzchłej przeszłości.







ZYGMUNT BORAS

POMORZE ZACHODNIE U ZARANIA SWEJ HISTORII

Obraz Pomorza Zachodniego w XII wieku

Pierwszy pełniejszy obraz Pomorza Zachodniego został nakreślony ręką anonimowego uczestnika wyprawy misyjnej biskupa Ottona z Bambergu w latach dwudziestych XII stulecia. Z jego zapisu wyłania się „kraina mlekiem i miodem płynąca". Uczestników wyprawy misyjnej uderzała wielka obfitość ryb, zarówno morskich jak i słodkowodnych, żyjących w licznych rzekach i jeziorach. Ich bogactwo było tak wielkie, że beczkę śledzi dostać było można za jeden denar. W lasach i puszczach pomorskich spotykało się wielką mnogość jeleni, turów, niedźwiedzi i dzików, a także duże tabuny dzikich koni. Krowy, owce i kozy dostarczały mleka, mięsa i skór. Roje pszczół z miododajnych roślin i drzew znosiły do swych plastrów całe potoki miodu. Na uprawnych polach siano pszenicę i inne zboża. Olej czerpano z roślin oleistych maku, konopi i lnu. Len i konopie dostarczały też włókien na odzienie. Znano też technikę przerobu wełny. Uprawiano wiele roślin strączkowych.

„I gdyby jeszcze — jak pisze ów dwunastowieczny podróżnik — ziemia ta rodziła winorośl, figi i oliwki, można by ją nazwać ziemią obiecaną."

Kraj ten leżący jednak na peryferiach monarchii pierwszych Piastów nie był wolny od zagrożenia zewnętrznego. Od zachodu napierali Niemcy, próbując go podbić pod pozorem chrystianizacji, a od północy zagrażała Dania. Słabość wewnętrzna Polski po buncie Masława i najeździe czeskim w roku 1038 nie dawała pewności co do opieki i pomocy. Rychło tendencje odśrodkowe wzięły górę i cały kraj za dolną Notecią i Wartą rozluźnił swe więzy z państwem Piastów. W czasach Krzywoustego trzeba było ponownych wypraw, aby Pomorze Zachodnie na trwałe zjednoczyć z resztą kraju. Władcy Polski tym razem nie chodziło tylko o polityczny związek Pomorza z Polską, ale także o ścisłe związanie tej ziemi z resztą kraju przez wprowadzenie religii chrześcijańskiej, co tym samym wytrącało potężny argument chrystianizacji zarówno z rąk Duńczyków jak i Niemców.

Początki dynastii pomorskiej toną w głębokiej pomroce dziejów. Nie wiemy dokładnie, kto był pierwszym jej protoplastą i chociaż jest na ten temat bardzo obfita i stara literatura, to jednak wiele w dawniejszych opracowaniach na ten temat znaleźć można czczych zamyśleń i fantazji. Już w XIV wieku próbowano dać odpowiedź jak dawny jest panujący ród książęcy na Pomorzu Zachodnim. Traktat brata Angelusa ze Stargardu poszukiwał aż w czasach Attyli praprzodków dynastii pomorskiej. Również teorie historyków Kantzowa, czy Klemptzena oparte były na czczej fantazji i jako takie nie mogą być przedmiotem poważnej naukowej analizy. Bliższa prawdy jest wzmianka źródłowa o księciu pomorskim ochrzczonym przez świętego Wojciecha w roku 996, który miał być zięciem Bolesława Chrobrego. Również bliższym prawdy jest książę pomorski Ziemuzil, który w roku 1041 miał się pojawić na dworze cesarskim Henryka III w Merseburgu. Wszystkie te poglądy oparte na jednej tylko wzmiance źródłowej nie znajdują potwierdzenia w innych źródłach historycznych.

Sprawa dokumentu „Dagome iudex"

Podobnie też ma się sprawa z hipotezą dotyczącą sławnego dokumentu znanego w naszej historii pod nazwą „Dagome iudex". Jest to dokument z roku 992, w którym książę wraz z małżonką Odą i synami Mieszkiem i Lambertem oddają swe państwo pod opiekę Stolicy Apostolskiej, a konkretnie papieża Jana XV.

Powszechnie się przyjmuje, że chodzi tutaj o księcia Mieszka I i jego żonę oraz jej synów Mieszka i Lamberta. Można jednak przyjąć inną interpretację, która ściśle wiąże się z dziejami Pomorza Zachodniego.

Kto bowiem był wystawcą tego dokumentu, dokładnie nie wiadomo. Powszechnie przyjmuje się, że był nim Mieszko I jako książę Polski i jego druga żona Oda. Wiadomo jednak, że jego pierwszą żoną była księżniczka Dąbrówka, która urodziła księciu syna Bolesława zwanego później Chrobrym. W dziesięć lat potem jednak zmarła i książę Mieszko ożenił się po raz drugi z Niemką Odą, córką margrabiego Dytrycha z Marchii Północnej. To małżeństwo wywołało niechęć kół kościelnych, ponieważ Oda złamała śluby zakonne. Z drugą żoną Odą miał Mieszko trzech synów: Mieszka, Świętopełka i był trzeci, nieznany z imienia Thietmarowi, prawdopodobnie o imieniu Lambert.

Jakie były losy Ody po śmierci męża, tego nie wiemy. Bolesław, jako najstarszy syn z żony Dąbrówki, był już wówczas w chwili śmierci ojca dorosłym mężczyzną liczącym 25 lat. Być może Mieszko na krótko przed śmiercią (zmarł w 992 roku w dniu 25 maja) zgodnie z prawem zwyczajowym Słowian, podzielił cały swój kraj między synów, tzn. Bolesława Chrobrego i trzech synów z drugiego małżeństwa. Taki podział państwa z pewnością nie przypadł do gustu Bolesławowi, który mając za sobą znaczne stronnictwo, wypędził z Polski macochę i jej dzieci, aby sam stać się jednowładcą. Co się stało z macochą i jej synami, tego nie wiemy. Zachowała się wzmianka o niej z roku 1023 jakoby w tym czasie zmarła w okolicach Kwedlinburga.

Oczywiście jest bardzo prawdopodobne, że jako córka margrabiego Marchii Północnej znana była na Pomorzu Zachodnim i prawdopodobnie po wypędzeniu jej z Polski schroniła się w swej rodzinnej Marchii i tam, jak niektórzy przypuszczają, wyszła za mąż za księcia Pomorza Zachodniego, którego imienia nie znamy, a który być może nosił skandynawskie imię Dago. A zatem wdowa po Mieszku mogła być ową

wymienioną w dokumencie „Dagome iudex" senatrix. Potwierdza to też imię jej najstarszego syna Mieszka co dokumentuje dodatkowo kronika Thietmara.

Tak więc można przyjąć hipotezę, że ów wymieniony w dokumencie Dagon, był księciem zachodnio-pomorskim, do którego uszła wypędzona wdowa po Mieszku wraz ze swymi synami. Mogła ona po roku 992 wyjść za niego za mąż. Ale i tutaj dosięgła ją zemsta Chrobrego, który najechał Pomorze, a księcia Dagona i jego żonę ponownie wygnał z kraju. Oda wraz z mężem i dziećmi udała się wówczas do Rzymu, aby tam w Stolicy Apostolskiej zabiegać o pomoc dla siebie i swych synów. Wtedy to pragnąc sobie zapewnić opiekę papieża książę Dagon wystawił ów sławny dokument „Dagome iudex", który w zniekształconej mocno formie dotrwał do naszych czasów i po dziś dzień wzbudza wiele dyskusji naukowych. W dokumencie tym książę Dagon podniósł swe pretensje do Pomorza, a jego żona Oda wysunęła roszczenia do kraju swego męża to znaczy do Polski. W tym dokumencie Mieszko jako syn Ody i Mieszka I, a Lambert, być może jako syn Dagona, wysuwali swe słuszne pretensje i mieli nadzieje przy pomocy papiestwa odzyskać swą ojcowizną. Hipoteza ta ma swe słabe punkty, ponieważ nie wiemy dokładnie, kiedy Pomorze Zachodnie weszło w skład państwa Mieszka I. Gdyby ją uznać, to trzeba by przyjąć, że dopiero Bolesław Chrobry zajął Pomorze Zachodnie, a to nie jest prawdą, ponieważ mamy wzmianki, że już Mieszko I w roku 967 walczył na tym obszarze z Wichmannem i pokonał jego wojska.

Książę Warcisław I

Mimo wielu sprzecznych relacji należy jednak chyba przyjąć, że Pomorze Zachodnie wcześnie stało się częścią składową państwa Piastów i jako takie wzbudzało przede wszystkim zainteresowanie Polaków. Nic zatem dziwnego, że najbardziej konkretne i pewne wiadomości co do dziejów Pomorza Zachodniego w jego najwcześniejszych okresach mamy w źródłach polskich. W żadnej zatem kronice niemieckiej nie zachowały się tak pewne wiadomości co do najstarszych dziejów Pomorza Zachodniego jak właśnie w polskiej kronice Galla Anonima. Także i co do ustalenia początków dynastii pomorskiej możemy się opierać głównie na Kronice Polaków tegoż Galla, bo tylko on wymienia z imienia protoplastę rodu Gryfitów, Warcisława i od niego już wywodzi się kolejno cała linia rodu panującego na Pomorzu.

Pierwszym historycznym władcą, wymienionym źródłowo w tych czasach, był Warcisław I, który jako młody chłopiec został wzięty przez Niemców do niewoli i ochrzczony był ponoć w Merseburgu. Przyjąwszy chrześcijaństwo Warcisław stał się jego gorliwym zwolennikiem, ponieważ dla dobra swego księstwa pragnął utwierdzić nową wiarę na Pomorzu, w czym wspierał go daleko idącą pomocą Bolesław Krzywousty. Władca Polaków wysłał w tym celu na Pomorze biskupa Bambergu, który z racji długoletniego przebywania na polskim dworze książęcym znał dobrze język polski. Do spotkania księcia Warcisława z grupą misyjną Ottona doszło w pobliżu Ujścia nad Notecią. Książę pomorski przybył tutaj w otoczeniu 500 swoich rycerzy. Następnie cały zastęp polsko-pomorski ruszył na północ i w Pyrzycach jako pierwszej większej osadzie pomorskiej zaczęła się akcja misyjna. Następnie nowa religia zaczęła się zakorzeniać w Wolinie, Kamieniu, Szczecinie, a dopiero potem w Białogardzie i Kołobrzegu. Jednak z chwilą wyjazdu biskupa Ottona i zajęcia się Krzywoustego sprawami południa i wschodu, reakcja pogańska na Pomorzu znowu dała znać o sobie. Dopiero w roku 1128 przy ponownym poparciu Bolesława Krzywoustego Otto Bamberski raz jeszcze udał się na Pomorze Zachodnie i doprowadził do ścisłego sojuszu księcia Pomorza z Krzywoustym. Sojusz słabego księcia z potężnym władcą Polski ugruntował jego pozycję na ziemi pomorskiej i stopniowo chrześcijaństwo popierane przez księcia i część możnowładztwa pomorskiego staje się religią państwową. Antypogańska polityka pierwszego historycznego księcia pomorskiego przysparzała mu wrogów, zwłaszcza wśród pogańskich kapłanów. Ze szczególną nienawiścią odnosili się do niego jako zwolennika chrześcijaństwa Wieleci, którzy Warcisława uważali za główną przyczynę swych niepowodzeń politycznych. Nic zatem dziwnego, że w wyniku rosnącej nienawiści zawiązał się spisek, którego celem było zgładzenie panującego księcia Warcisława I.

Skrytobójstwa dokonał na księciu nowoochrzczony możnowładca ze słowiańskiego plemienia Wieletów. Warcisław I, jak niemal wszyscy późniejsi książęta pomorscy, lubował się w polowaniach na grubego zwierza. I kiedy razu pewnego polując w puszczy nad rzeką Pianą w okolicach osady Słup, zmęczony trudami polowania, zasnął w cieniu rozłożystego dębu, spiskowcy postanowili wykorzystać ten moment i jeden z nich, który miał zawsze przystęp do księcia, pogrążonemu w głębokim śnie księciu zadał śmiertelną ranę nożem. Obudzony nagle zdradzieckim ciosem książę zdołał jeszcze pochwycić skrytobójcę i swymi potężnymi dłońmi rozerwał mu szczęki. I tak zabójca skonał w wielkiej męce tuż przy swej ofierze.

Tak zginął prawdopodobnie w roku 1147 książę Warcisław I, protoplasta dynastii pomorskiej. Na pamiątkę tej tragicznej śmierci, wybudowano w tym miejscu klasztor, w którym spoczęły zwłoki założyciela dynastii Gryfitów, dynastia ta przez ponad 500 lat będzie sprawować rządy nad tym słowiańskim i tak bliskim Polsce krajem.

Książę Warcisław był dwukrotnie żonaty, nie licząc 24 nałożnic, które mu późniejsi kronikarze przypisują, jakie rzekomo posiadał przed przyjęciem chrześcijaństwa. Z pierwszej saskiej żony Heleny pozostawił po sobie małoletniego syna Bogusława I, a z drugiej zrodzony został syn Kazimierz. W momencie śmierci ojca obaj chłopcy byli małoletni i opiekę nad nimi przejął styj Racibor I. Przebywał on w tym czasie w Polsce i skoro się dowiedział o śmierci brata przybył co prędzej na Pomorze, aby zaopiekować się bratankami i w ich imieniu objąć rządy nad krajem. Po kilku latach zmarł także Racibor (ok. 1156), a władzę nad Pomorzem Zachodnim przejął teraz najstarszy z synów Warcisława I, Bogusław. Niektórzy przypuszczają, że Racibor niezależnie od opieki nad młodocianymi bratankami, sprawował także niezależną władzę nad księstwem słupskim.

Panowanie Bogusława I

Młode lata księcia Bogusława I, podobnie jak i jego brata Kazimierza, nie znalazły odzwierciedlenia w dokumentach historycznych. Wiadomo tylko, że po śmierci swego stryja doszedł do władzy po roku 1156 i cały okres jego panowania był pasmem ostrych konfliktów zbrojnych z Danią i Niemcami. Najazdy odwetowe Pomorzan drogą morską docierały nawet do odległej Norwegii.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego doszło w Polsce do walk bratobójczych między jego synami, Pomorzanie musieli być w ciągłym pogotowiu ze względu na Niemcy. Zaborczy książęta niemieccy podejmowali idee krucjaty przeciw poganom i ich wojska niejednokrotnie atakowały Dymin czy Szczecin, miasta już dawno chrześcijańskie.

Sytuacja polityczna była wielce niepomyślna dla Pomorza, zwłaszcza że król duński Waldemar po umocnieniu

się na tronie zawarł sojusz z księciem saskim Henrykiem Lwem. W ten sposób Pomorzanie wzięciu zostali we dwa ognie: od północy i południa. Głównym bohaterem tych zmagań, był po stronie duńskiej biskup Roskilde Absalon, mleczny brat króla Waldemara. Wiosną 1159 roku król Waldemar wraz z biskupem Absalonem wyprawili się z potężną flotą na wyspę Rugię. Burza morska rozbiła jednak statki duńskie i Duńczycy, nie mający odpowiednich sił dla zaatakowania wyspy Rugii, skierowali 60 ocalałych statków na księstwo Bogusława I, niszcząc i rabując okolice Barda.

Bardziej niebezpieczny dla Bogusława I okazał się najazd Duńczyków w roku 1164, kiedy to król Waldemar wraz z biskupem Absalonem zawarli sojusz z Henrykiem Lwem i wspólnie uderzyli na ziemie książąt pomorskich. Pierwsza bitwa z siłami niemieckimi stoczona nad Jeziorem Komorowskim przez wojska pomorskie dowodzona osobiście przez księcia Bogusława I, zakończyła się sukcesem Pomorzan.

Upojeni tym sukcesem wojownicy pomorscy nie spostrzegli nadciągających nowych sił niemieckich pod wodzą Guncelina. Rozpętała się nowa faza bitwy, w której książę Bogusław poniósł klęskę. Na placu boju legło wówczas 2500 Pomorzan. Nieliczne tylko siły zdołały się wycofać do Dymina, ale i to miasto musiał rychło książę wydać w ręce nieprzyjaciół. Stracona została także cała linia rzeki Piany, ponieważ od morza zbliżała się potężna flota duńska.

Zrozpaczony Bogusław próbował wówczas pertraktacji pokojowych, ale warunki stawiane przez agresorów były zbyt trudne i upokarzające dla księcia Pomorzan.

Sytuacja nieoczekiwanie uległa zmianie, gdyż Henryk Lew, ze względu na zaburzenia w Rzeszy, musiał opuścić swego sojusznika — króla Danii Waldemara. Nie mając pomocy od Niemców Waldemar bardziej był skłonny do ugody. Zdając sobie sprawę z trudności podbicia całego Pomorza, zdecydowali się Duńczycy na atak na wyspę Rugię. W roku 1168 król Waldemar przygotował wielką wyprawę morską, tym razem w sojuszu z księciem Bogusławem I. Najważniejszą twierdzą na Rugii była Arkona, miejsce odwiecznego kultu Światowida. Po jej zajęciu udało się Duńczykom zagarnąć także Charenzę, gdzie przebywał wówczas władca tej wyspy Wisław. Czasowy sojusz księcia Bogusława z Duńczykami nie trwał jednak zbyt długo. Po zajęciu wyspy Rugii i zniszczeniu kultu pogańskiego, tarcia między Duńczykami a Pomorzanami zaczęły się na nowo i rychło doszło do walk zbrojnych. W roku 1170 duńska wyprawa zbrojna dotarła na Pomorze aż do bogatego Wolina. Nie mogąc zdobyć silnie ufortyfikowanego miasta flota duńska ruszyła na północ atakując Bogusława I w Kamieniu.

Jednak i tutaj ataki Duńczyków spełzły na niczym, a nie mogąc wypłynąć na Bałtyk z powodu mielizn, Duńczycy musieli wracać tą samą drogą przez Wolin i z trudem udało im się ujść cało z zastawionych przez Pomorzan pułapek. Po odparciu tego najazdu duńskiego Bogusław I zbliżył się do Polski i umocnił sojusz z księciem Wielkopolskim Mieszkiem Starym, przez wzięcie jego córki Anastazji za żonę. Ten sojusz niewiele jednak przyniósł korzyści, ponieważ rychło sam Mieszko stracił swą dzielnicę i schronił się na Pomorzu.

W tym też czasie przeniósł Bogusław swą stolicę z Wolina do bardziej bezpiecznego Kamienia.

Upłynęło kilka lat. Zmieniły się układy polityczne w Rzeszy. W czasie konfliktu Henryka Lwa z cesarzem Fryderykiem Barbarossą, Bogusław I stał po stronie księcia saskiego, aż dopiero w roku 1181 pod naciskiem króla Danii książę pomorski Bogusław wraz ze swym bratem Kazimierzem I, złożył hołd lenny cesarzowi w Lubece. W kilka lat potem, po wielu krwawych walkach i najazdach wojsk duńskich na ziemie pomorskie, książę czuł się zmuszony zmienić swego suwerena i zamiast cesarza uznać swym panem zwierzchnim króla Danii. W ten sposób całe księstwo pomorskie stało się lennem Danii. Zależność ta trwała do 1227 roku.



Fot. W. Termanowski



STANISŁAW LENZ — „Wilk morski" — *olej* (1911 r.), własność Muzeum Narodowego w Szczecinie

Fot. W. Termanowski



HALINA BIELCZYK — „Portret portowca" — *olej*, z Wystawy „Piękno Ziemi Szczecińskiej"

TADEUSZ SZUMIGRAJ

PRZEŻYĆ SIEBIE

Ubrany jest zazwyczaj w bardzo wytartą marynarkę, przydługie luźne spodnie; krawat nosi zawsze, od rana. Twarz ma bladą, wychudzoną. Gdy idzie ulicą, nieforemny, przygarbiony, odnosi się wrażenie, że za chwilę umknie w bok, że ucieka. Odżywa w swoim mieszkaniu. Rozgrywa tutaj przede mną swoje życie jakby na nowo. Kształtuje je, ugniata; każde wydarzenie kończy zgrabną pointą. Kpi, uśmiecha się. Czasem puszcza wodze wyobraźni. Nie przerywam. To jest przecież cząstka jego życia.

Nie wyszło i tym razem. Dlaczego? — zastanawiał się. — Sam fakt, że ja zarabiam 1400 zł już mnie dyskwalifikuje. Normalnemu człowiekowi potrzeba do życia 9 tysięcy miesięcznie. A jak ja nic nie chcę za to, co robię, to myślą, że wariat — dopuszczał nie bez sarkazmu i tę ewentualność.

Zapowiadało się pomyślnie. Kilkanaście dni wcześniej poszliśmy na szczeciński cmentarz, o którym mówią szczecinianie, że w Europie najpiękniejszy. Zaprosił też kilku pracowników teatru dramatycznego. Na grobie aktorki Stanisławy Engelówny złożyli kwiaty, on robił zdjęcia. Był sierpniowy, ciepły wieczór. Pan Michał Kłym, teatralny elektryk ze Lwowa, przyniósł zdjęcia Engelówny. Piękna kobieta, nigdy nie używała makijażu — wspominali. Zrobiło się nieoczekiwanie uroczyście, miło. Prawie historycznie.

Engelówna była artystką wybitną. W aktorkę przedzierzgnęła się z nauczycielki; w ostatnich dwóch latach przed wojną zdążyła zagrać w sześciu filmach. Do historii polskiego filmu przeszła za rolę we „Wrzosie". Umarła tutaj, z dala od Warszawy, w pięćdziesiątym ósmym roku. Nagrobek ma skromny, ale nie jest opuszczona. Nie wiedzieć więc czemu przyprowadzili mnie na ten grób, choć nie o niego im chodziło.

Na tym cmentarzu jest piętnaście grobów samotnych artystów. Można przypuszczać, że goniąc za sławą, karierą, nawet dla dzieci czasu nie mieli. Kto wie, czy był to zwyczaj, czy konieczność. Przed wojną, gdy angażowano aktora na jeden sezon, urodzenie dziecka znaczyło wypadnięcie z rytmu na dwa, trzy lata. Trzy lata zapomnienia — dużo. Trzy lata — może na zawsze. Krok najkorzystniejszy: wyjść bogato za mąż. Jak Helena Larys-Pawińska, małżonka producenta cukru i czekolady Fuksa. On potem zginął w obozie koncentracyjnym, ona do spalonej Warszawy nie wróciła. W Szczecinie grała lat czternaście.

Uważano ją za wielką damę, domyślano się fortuny. Rzeczywiście, gdy umarła, znaleziono kosztowności. Wyróżniał się wyjątkowej czystości diament. Kamień wyceniono w sześćdziesiątym czwartym na pięćdziesiąt tysięcy. Ostatnią wolą zmarłej było wybudować za tę sumę nagrobek, resztę przeznaczyć na dom aktora-weterana w Skolimowie. Prawomocnego testatemntu nie pozostawiła. Toczyła się rozprawa sądowa — spadkobiercy nie udało się ustalić.

Już piętnaście lat mogiłę Larys-Pawińskiej, czołowej artystki warszawskiej przed wojną, która grała obok Osterwy, Jaracza, osypuje łopatą raz do roku jak i pozostałe groby, rekwizytorka Teatru Dramatycznego, Janina Wołyńska. Gdy jej sił nie stanie, być może czeka mogiły los podobny grobom Jadwigi i Michała Hołubów, pary tancerzy opery lwowskiej; zmarli samotni w Szczecinie, groby już zlikwidowano. Chyba tylko on wie jeszcze o tym.

Na grób Larys-Pawińskiej nie idziemy. Właściwie nie wiedzą, gdzie leży. — Taki ładny cmentarz — mówi któraś z pań — czy nie można dostać pola, gdzie mogliby leżeć aktorzy, muzycy; łatwiej dotrzeć w razie uroczystości, łatwiej zadbać.

Zmierzch zapada szybko; pora do domu. Już w trójkę tylko odwiedzimy jeszcze jeden grób. Drewniany krzyż, napis: Jan Berent — zm. 1968.

Dziwny to był człowiek — mówią o Berencie. — Bywał wszędzie — na koncertach wszystkich, na spektaklach, odczytach. Opiekował się bezdomnymi dziećmi. Pisał, two-

rzył. Żył z kompleksem brata Wacława Berenta, młodopolskiego pisarza. Czy to sława brata go tłumiła, czy to czuł potrzebę równać z tamtym, więc się zmuszał pisać; owocem tej twórczości pozostawał ciągle nikły poślad. Audytorium sam zwoływał. Chodź, posłuchaj — recytował z afektacją przygodnemu aktorowi w teatralnym holu. Poezja nie przyniosła mu świetności; zwyczajne zdobył uznanie; jako teatralny archiwista. Wielu miał przyjaciół. Później, gdy chorował, został sam. U schyłku życia ubierał się w teatrze w stare ubrania — nieprzydatne rekwizyty.

Schorowanego starca poznał na rok przed śmiercią, zajął się nim. Berent powierzył mu dorobek swego życia i testament. Testament nagrany jest na taśmie. — Chowajcie mnie w ciszy, bez przemówień, w prostej niemalowanej trumnie — mówił. Czego się spodziewał? — myślę nad grobem zapadłym wśród chwastów.

W dziesiątą rocznicę postanowił wspomnieć niezwykłego społecznika. Na jego cześć tworzył Koło Pamięci Pionierów Szczecińskiej Kultury. Długa nazwa. Nie można usunąć to „Pamięci"? — pytam. Nie. Bo nazwa ma przypominać o tych, co umarli i nie dopuścić do zapominania o żyjących. Oni odchodząc z teatru, już tam nie wracają; skrywają swą bezużyteczność w samotności. Jak Krugłowski choćby: kiedy rozstał się z teatrem, wyjechał ze Szczecina do Gorzowa, do siostry — jedynej bliskiej osoby. Czy wie tam ktoś, że Krugłowski to znany przed wojną aktor? Co może czekać jego grób? Musi być „Pamięć" w nazwie. Koło zajmie się grobami, odznaczeniami dla najbardziej zasłużonych artystów i działaczy.

Na zebraniu założycielskim „Koła Pamięci" w Zamku Książąt Pomorskich miała zapaść decyzja o wyborze zarządu Koła oraz objęcie Koła patronatem Szczecińskiego Towarzystwa Kultury. Przyszło kilku śpiewaków, aktorów, działaczy kulturalnych.

Na wstępie powiedziano im, że idea koła jest słuszna, jak najbardziej, zgadza się, ale kierować kołem powinna osoba odpowiednia, a nie ktoś, kto się nie spełnił kilkakrotnie jako organizator, „spalił się ze swym idee fixe". Bez podjęcia decyzji przez Zarząd STK sekretarz nie może samowolnie objąć koła patronatem.

Siedzimy teraz w jego mieszkaniu i rozmawiamy. Dlaczego nie wyszło? A no cóż — zamyśla się — prawdę powiedziawszy spodziewał się, że tak będzie. Nie pierwszy raz się nie udało.

Pechowo było od początku. Urodził się we Lwowie, w rodzinie bezrobotnego. Żyli z zapomogi, w domu była bieda. Jak na ironię dostał się do gimnazjum, gdzie chodziły dzieci prominentów lwowskiej burżuazji i arystokrajci. Był pilny, więc się dostał. Nie zbywało nędznikowi na swojskości, obok hrabiego Skarbka, synów bankierów: Koppelmanna, Schitzheyesa. Ale niedługo. Ograł w tenisa stołowego syna profesora geografii uczącego w gimnazjum; doszło do zwady o jeden punkt; tamten uderzył, on oddał „z byka", wybuchło zamieszanie. Wpadł geograf, ojciec przeciwnika. Chwilę potem na lekcji geografii: „Wstań chłopcze. Unieś lewą rękę na wysokość barku, zaciśnij pięść, wyciągnij wskazujący palec, krokiem marszowym podejdź do mapy i wskaż miejsce skąd wypływa Wisła". Idąc krokiem marszowym, trafił na Nowy Targ. „Siadaj ośle. Niedostatecznie". Na innych lekcjach solidarnie: dwója.

Albo wtedy, po wojnie. Pobierał w krakowskim Urzędzie Repatriacyjnym kartki żywnościowe, gdy podszedł woźny z wiadomością, że oczekuje go hrabina Łubieńska, kierowniczka zespołu schronisk dla repatriantów w mieście. Hrabina wyjaśniła, że obserwują go od dłuższego czasu i zaproponowała funkcję kierownika schroniska na ulicy Lubicz 3. Jak się sprawdzi, obejmie zespół kilku schronisk. Nie odmawiał.

Schronisko tętniło życiem gwałtownym: bójki, pijatyki, awantury; demolowano zakład. Pomyślał, że bezczynność nie prowadzi do stabilizacji ludzi rozjątrzonych i wykoślawionych wojną: partyzantów, frontowców, zwykłych bandytów. Zaczął działać. Naznaczył komendantów sal, sporządził spis zawodów lokatorów, zdobył farbę, ogłosił remont budynku. Po skończeniu pracy obiecał dary amerykańskie (miał nadejść transport UNRR-y). Praca zmobilizowała. Finał był uroczysty: wręczono pamiątkowe dyplomy, prezenty UNRR-y. W zakładzie pojawiła się komisja, stanął problem: czym zapłacić za remont. Doniesiono, że zapłaty dokonano „wspaniałymi prezentami UNRR-y". Dyrektora zdjęto.

Mieszkanie, gdzie przesiadujemy jest nieduże: łazienka, kuchnia, obszerny pokój, przedzielony długim regałem. Nie wiem, co jest za regałem, ale ta część przed nim pewnie jest ważniejsza. Stoją tutaj dwa lampowe radia, dwa telewizory, dwa stare magnetofony. Nie ma w tym dualizmie żadnej metody, ot po prostu: prezenty od znajomych. Więc stoją. Sam tyle by nie kupił, bo o rzeczy materialne nie dba. Co niezbędne może wypożyczyć w różnych instytucjach, jak choćby to: maszyna do pisania z PŻM.

Najcenniejsza jego rzecz to archiwum. Archiwum jest wszędzie: na parapecie, na regale, na szafce pod telewizorem. Tematyka obszerna — obok tablic muzycznych sprawy kombatanckie, wśród papierów urzędowych materiały o teatrze i operze, wycinki z gazet, zdjęcia, taśmy z nagraniami koncertów, dyskusji. Kilka artykułów, które pisał do prasy. Jeden o jego mistrzu — profesorze muzyki.

Profesora wokalistyki, który nie zdobył formalnych kwalifikacji, nazywają szarlatanem. Ten profesor był kiedyś niezłym śpiewakiem, ale stracił głos w obozie koncentracyjnym. Więc został profesorem. Profesorowie wokalistyki — jak większość ludzi — nie znoszą konkurentów, zarzucają szarlataństwo innym profesorom. Nierzadko, kiedy sami są szarlatanami. O tym profesorze nie mówiliby, że szarlatan, gdyby zdobył sławę. I choć nie brakło takich co mówili, dla niego wciąż był mistrzem.

Ten, który odkrył w nim głos, nie był szarlatanem. Ale zamącił jak szarlatan właśnie. Zdarzyło się to w Krakowie w czterdziestym szóstym roku. Wieczorami podśpiewywał w domu. Pewnego razu wstąpił doń sąsiad, muzyk. „Ma pan znakomity głos, powinien się pan kształcić". Odtąd było jedno: śpiewać.

Uznali go tenorem. Dwa lata później jego mistrz w Szczecinie orzekł, że nie tenor, lecz bas. Ale to był detal. Bas chodził wtedy do Wyższej Szkoły Handlowej i szkoły muzycznej stopnia podstawowego. Miałby więc dwa zawody i był w zgodzie z zasadą mistrza, który głosił: „artysta powinien być niezależny od zawodu artystycznego". Mistrz oprócz udzielania lekcji śpiewu prowadził prywatny zakład cukierniczy. Uczeń dochowałby zasady, ale szkoły handlowej nie ukończył. Przez egzamin z materializmu historycznego. Zdawał ten egzamin siedmiokrotnie.

Każdorazowo otrzymywał pytanie: jaki jest jego pogląd na temat problematyki przedmiotu. — Nie natknąłem się na swój pogląd w podręczniku — odpowiedział siedem razy. Siódemka okazała się feralna.

— Teraz mogłem spokojnie uczyć się muzyki — mówi. Wkrótce zdał do szkoły muzycznej średniej. Miał już 28 lat, był żonaty; w szkole uczył się z dziećmi. To nie przeszkadzało. Przede wszystkim zachował właściwą do swego wieku postawę: złożył radzie pedagogicznej pisemną krytykę programu nauczania. Postulaty rozważono. W odpowiedzi wydalono go ze szkoły jako osobę nieutalentowaną.

Brał teraz lekcje śpiewu prywatnie u swego profesora. Niedługo potem bez świadectwa ukończenia średniej szkoły muzycznej dopuszczony został do egzaminu wstępnego w Wyższej Szkole Muzycznej we Wrocławiu. Proponowano nawet angaż śpiewaczy w chórze Opery Wrocławskiej.

Wracając do Szczecina, przeziębił się. Prześwietlono klatkę piersiową — wynik rewelacyjny: w prawym płucu kawerna wielkości pięćci, w lewym — śliwki. Gruźlica.

Dziwił się w szpitalu lekarz: — Jak pan może chodzić z taką dziurą w płucach, że pies mógłby włożyć głowę i zaszczekać. Ale niech pan będzie spokojny.

Spokojny!... Chorując na gruźlicę! I to teraz, kiedy wzywa świat opery. Występy, koncerty, wojaże... Ale zaraz, zaraz. No właśnie: przecież nie powinienem chodzić z taką dziurą w płucach. Chodzić?! Żyć nie powinienem! A tu zdrowie wraca, choć nie dają jeszcze lekarstw. Pomyłka. Tylko to: pomyłka.

Gdy na czas zabiegów porannych został sam w pokoju, podjął próbę: powietrza nabrał głęboko, zaśpiewał. Pamięta, to był prolog z opery „Pajace" Leoncavalla. Poszło lekko. Nie czuł ni zawrotów głowy, ni zmęczenia. „Nie jest źle!"

Niepokój przyszedł po chwili — szpital otulała cisza. Taka cisza nie pozwoli być spokojnym. Otworzył drzwi. Zamarł. Tłum był gęsty: lekarze, pacjenci. Wpatrywali się w niego. Nie z podziwem. Nie.

Z powagą stężoną wystąpił lekarz, wskazał łóżko. — Nie będę owijał w bawełnę. Mógł pan dostać wylewu krwi i umrzeć na miejscu. Cóż, będziemy starali się ratować pana.

Założono odmę, przepalono zrosty. Demonstrowano później jego przypadek studentom; był już podleczony, ślad po kawernie zanikał. Dla niego był to znowu dowód o pomyłce.

Wracał do zdrowia. Odma przeszkadzała, lecz nie tracił czasu. Wymykał się z pokoju, brał nuty, próbował ćwiczyć głos. Zamierzał założyć chór podleczonych gruźlików. Dzisiaj jest to uznawana forma rehabilitacji, ale wtedy... W jakimś pomieszczeniu pacjenci oddziału gruźliczego i wenerycznego urządzili „potańcówkę". Imprezę dopisano na jego konto; za brak dyscypliny ze szpitala usunięto.

Znalazł się w sanatorium w Zakopanem. Dwa razy dziennie obowiązywało chorych leżakowanie. Wkładał do śpiwora kukłę, chodził w góry, gimnastykował się. Utrzymywał formę. — Wolę żyć jak niezdyscyplinowany, niż z pełną dyscypliną umrzeć, bo mam jeszcze wiele spraw do załatwienia — tłumaczył lekarzowi potem.

W szpitalu poznał Stefana Gościniaka — szczecińskiego artystę, kompozytora; razem zamieszkali w sanatorium. Gościniak radził mu się opamiętać i umarł w kilka miesięcy na raka płuc, choć połykał stosy leków.

Dla niego był to jeszcze jeden dowód, że gruźlicy nie miał. Ignorując lekarzy, żył przecież ciągle.

Urodziło mu się drugie dziecko. Wyjechać do innego miasta nie mógł. Powziął myśl jedyną: stworzy operę w Szczecinie, tu, na miejscu.

Tworzył ją dla siebie. Prawda. Nie, nie było to egoistyczne. Nie tylko on — całe miasto bez opery żyć nie mogło. Jakże bez opery? Bez królowej sztuk? Szczecin, jeden z wielkich portów, miasto, które widzi świat, musi mieć operę. Zresztą, nie on jeden śpiewałby. Tylu śpiewaków wyjechało ze Szczecina, bo dusiła ich bezczynność.

Poszukiwał rezerw kadr w kulturze — mówi. Najpierw założył Sekcję Wokalną przy Kole Terenowym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Taka długa była nazwa. Lubi takie nazwy. W sekcji skupili się śpiewacy szczecińscy. Potem powstała Sekcja Instruktorsko-Pedagogiczna przy Kole Terenowym ZZPKiSZ. Nazwa jeszcze dłuższa. Tu zrzeszono bezczynnych nauczycieli muzyki. Pod patronatem sekcji powstało Społeczne Ognisko Artystyczne kształcące przyszłych artystów. Teraz poszedł list zapowiedni do ministerstwa w sprawie otwarcia zawodowego studium operowego i opery. Delegację Ogniska przyjęto w ministerstwie.

W tym samym czasie przybył do Szczecina Jacek Nieżychowski z programem otwarcia operetki. Propozycji przyklaśnięto.

Spełnił się sen artystyczny śpiewaków szczecińskich. Dla niego było to tylko niespokojne przebudzenie. Śpiewał w chórze operetki, widział się w operze.

Uważał się za zawodowca, traktowany był jako amator. Cierniem był mu pogląd, że nie ma w Szczecinie artystów klasy operowej; podał Józefowi Wiłkomirskiemu pomysł koncertu szczecińskich śpiewaków operowych. Koncert odbył się w grudniu 1958 r. Artystycznych doznań dostarczyło publiczności filharmonii pięciu śpiewaków. Piątym był on.

Recenzje były powściągliwe. Twierdzi, że zarzucono mu brak umiejętności artystycznych i wokalnych. Fama głosi, iż nie wspomniano o nim nawet. „O pozostałych nie warto pisać" — miał wyrazić się dziennikarz. Mówiono również, że recenzent nie był na koncercie. A słowo pozostało.

W dokumentach jest: w pięćdziesiątym dziewiątym został instruktorem organizacyjnym w Delegaturze Zjednoczenia Zespołów Śpiewanych i Instrumentalnych. Panowała opinia, że zespoły amatorskie nie powinny występować w filharmonii — zorganizował w filharmonii koncert chórów amatorskich. Po raz pierwszy wystąpił Chór Politechniki Szczecińskiej.

Wskrzesił kilka chórów w terenie. To, co zarabiał śpiewając w operetce, szło często na wydatki w Delegaturze. Chciał stworzyć dzieło monumentalne: Zespół Pieśni i Tańca „Pomorze". Nie zdążył. Pozbyli się go. Wynikła sprawa sądowa o nadużycia finansowe. By odeprzeć zarzuty, sądził się pięć lat. Sprawę wygrał. Poprzedni proces o Ognisko Artystyczne przegrał. Sądził się i po wyjściu z operetki. Przegrał. Dlatego, że już nie miał siły ciągnąć — mówi.

Nie zawsze miał pieniądze. Często nie miał czasu. Zawsze miał pomysły. Snuł ich kilka na raz. Może było ich za wiele, by je związać. Często tracił pozyskanych popleczników. Wlokła się za nim fama fantasty, z czasem wręcz wyprzedzała jego działania, niebaczna i obojętna czy słuszne są, czy nie. Zajmował poślednie stanowiska. W WDK wyśmiano go, gdy złożył wniosek o przydział służbowego motoroweru, aby mógł dotrzeć do wszystkich miejscowości w województwie, instruować zespoły amatorskie. W operetce ujął się za wydalonym tancerzem, który podjął fizyczną pracę w stoczni. W rezultacie waśni sam odszedł.

Pracował potem w kilku miejscach naraz, albo wcale. Śpiewał w Szczecińskim Kameralnym Zespole Artystycznym. Był prelegentem w TWP, kierownikiem ADM, ajentem PZU, referentem w PZM. W roku 1966 prowadził jeszcze Studium Małych Form Operowych przy WDK, próbował założyć Towarzystwo Miłośników Muzyki Operowej przy STK. Znowu powstały nieporozumienia.

W roku siedemdziesiątym był u żony na koloniach w Kościerzynie; spadł ze skarpy do jeziora, uderzył w kamień, stracił przytomność. Utopiłby się pewnie, gdyby nie dzieci.

Od tego czasu jest na rencie. Od PZM otrzymał mieszkanie. Mieszka sam. — Żona mnie wyeksmitowała. Rozeszliśmy się przez kulturę. Urodziła troje dzieci, wychowała i odeszła.

Tu, gdzie mieszka, nie dociera tętent miasta. Łatwo ulec w samotności złudzeniu zwolnienia rytmu. On wie, że uległ. Kiedyś w ciągu tego samego czasu robiło się dużo więcej. Do tego, ostatnio, trwożliwie zaskakujące stały się coraz częstsze zgony przyjaciół. Uświadamia sobie, że czasu coraz mniej.

W Komisji Historycznej ZBoWiD przy PZM tworzy dokumentację kombatantów, nagrywa na taśmę magnetofonową żyjących jeszcze świadków wielkich wydarzeń. Trzeba się śpieszyć, ktoś kiedyś skorzysta.

Cała jego działalność, to wypełnianie testamentu. Testamentu tych, co nie przeżyli wojny. — Muszę to zrobić za nich — mówi.

Szczęśliwy. Przeżył. W istocie — jak milionom innych — nie udało się i wojowanie.

Najpierw było tak: szykowny wjazd Niemców do Lwowa; oficer zatrzymał kolumnę wojska, wyszedł z auta, rękawiczką przegonił pieska z jezdni; ruszyli dalej. Imponujące. Niedługo potem taka scena: żołnierz kopie ciężarną kobietę. Gdyby go nie powstrzymali, targnąłby się na zwyrodnialca z gołymi rękoma. To się pamięta: głód, załamanie ludzi, brak broni, pierwszy zardzewiały pistolet ... uruchomiony, kilka pocisków...

W konspiracji doszedł do kaprala — podchorążego. W czerwcu 1944 wpadł w łapy oprawców podczas łapanki. — Nie wiedzieli nawet kogo mają. Pytali nie o to, co trzeba — mówi. I bili. Tracił przytomność kilka razy. Lizał się z ran, gdy huk armat zginął dawno za Warszawą. Na chwiejnych nogach stawał przed komisją. — Sołdat z was nie budiet — słyszał. Skończyli z tą wojną bez niego. Tkwi w nim ona do dzisiaj, tężeje wciąż bardziej.

Niedawno obczepiły go dzieci córki. Próbował unieść trójkę wnucząt do góry, coś strzyknęło w kręgosłupie. Wstając z łóżka nazajutrz, poczuł ból. Znieruchomiał. Po chwili dźwignął się znowu. Szydło bólu gwałtowniejsze. Czuł, że traci siły. Zdawało mu się, że odstępuje go nawet własne ciało. Przeraził się.

Potem długie, niepewne czołganie po podłodze do telefonu. Wykręcił numer. Cisza. Następny adres. Monotonny sygnał w słuchawce. Słabł.

— Gdyby nie telefon, pewnie bym już kipnął — kończy spokojnie. — Powiedzieli, że reumatyzm. A ja byłem kiedyś uderzony kolbą w plecy.

Czy jest samotny? Twierdzi, że nie. Mogę się wydawać ludziom trochę nietypowy — mówi. Po czymś takim wielu się rozpija. On nie rozpił się. Śpiewa w pomniejszych chórach. To niewielkie śpiewanie jest jego psychoterapią, rękojmą równowagi. I dalszej działalności.

Uważa, że śmierć biologiczna nie jest równoznaczna ze śmiercią społeczną.

Żyjemy dokąd o nas pamiętają. Tamte zapomniane groby świadczą jak nielicznym dane jest przeżyć siebie. Dopóki sił starcza trzeba więc walczyć, by choć za życia nie zmartwieć.

Ma już nowy pomysł: w tym roku 35-lecie wyzwolenia Szczecina — zorganizuje koncert szczecińskich kompozytorów.

Wyruszy znowu.

CZESŁAW PISKORSKI

Problemami Szczecina i Pomorza Zachodniego interesowałem się już w szkole średniej. Urodziłem się w Poznaniu w czasie I wojny światowej, a wielu z moich bliskich — już w okresie niepodległości, (jak to się dzisiaj mówi o Drugiej Rzeczypospolitej) opowiadało o obecnych naszych Ziemiach Zachodnich, ponieważ prawie wszyscy mężczyźni tam — w Kołobrzegu, Szczecinie, Wrocławiu, Legnicy — odbywali przymusową służbę wojskową w niemieckich pułkach. Później na studiach też miałem kolegów z Pomorza Gdańskiego. Sprawy pomorskie — w szerokim tego słowa znaczeniu — często się przewijały w rozmowach i działaniach gospodarczych Wielkopolski; znaczna część poznańskich kupców i przemysłowców do końca I wojny światowej utrzymywała bardzo bliskie kontakty z portem szczecińskim. Przekonanie o tym, że kiedyś te ziemie (Pomorze Zachodnie, Gdańsk, Mazury) wrócą do Polski było dość powszechne, a jeszcze bardziej ugruntowało się bezpośrednio przed II wojną światową, przy czym duże znaczenie miało wydanie przez Melchiora Wańkowicza w 1936 r. książki o Mazurach pt. „Na tropach Smętka", a nieco później przez Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy".

Pamiętam, jak J. Kisielewski wybierał się do Niemiec, by szukać tam słowiańskich „prochów"; w pewnej mierze uczestniczyłem (naturalnie ze znacznej odległości) w powstaniu jego książki, koncepcja bowiem tego opracowania wyszła od starszego kolegi z czasów studiów Kiryła Sosnowskiego (praktycznie współautora „Ziemi").

Były to pamiętne lata 1938—39. Wojna wisiała w powietrzu. Zagony Hitlera budziły wśród społeczeństwa powszechne oburzenie i jednoczyły polskie społeczeństwo do przyszłej walki.

A potem wojna, konspiracja, więzienia i obozy koncentracyjne, długie tygodnie w pojedynczej celi, ciekawe spotkania podczas transportów i dyskusje z przedstawicielami tylu narodów, i walka o niezałamanie się (fizyczne i psychiczne), o przetrwanie, o wytrzymanie pracy ponad wszelkie siły i mobilizowanie kolegów (Polaków i obcych) do wytrwania, i dyskusje już nie tylko na tematy wojenne, ale i powojenne.

Pamiętam Szpilberk. Trudno dzisiaj powiedzieć, dlaczego tam się znalazłem i to w środowisku francuskich Żydów. Wieziono nas do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Grupa polska nie była duża, natomiast o ile chodzi o inne narodowości, to „stan więźniarski" reprzentował praktycznie całą Europę, od Grecji po kraje skandynawskie. Tylko Niemców nie było. Zydzi — francuska inteligencja — (a był to 1942 r.) godzinami rozważali możliwości zakończenia się jak najwcześniej wojny (wiedzieli bowiem, że w obozie — jak to się wówczas mówiło — pójdą „pod gaz"). Ale interesowały ich też inne problemy ogólnoludzkie. Przypominam sobie starego profesora gdzieś z okolic Lionu, który godzinami potrafił mówić o geniuszu ducha ludzkiego, który jeszcze w słynnym Szpilberku (ponoć najcięższym więzieniu Europy) wierzył w sprawiedliwość, karę za mordy, który tak spokojnie te wszystkie sprawy rozważał.

A potem więzienie w Wiedniu, jakże inne od poprzednich, gdzie strażnicy zwracali się do więźniów z pytaniem „czy chce pan kupić dzisiejszą gazetę" (a przecież nikt z nas nie miał nawet feniga); wreszcie straszne kamienne Mauthausen (tu krótka kwarantanna) i wymarsz na wiele lat do Gusen.

Prawie trzyletni pobyt w Gusen — można powiedzieć — to okres przygotowań do przyszłego działania w Szczecinie i nad Dolną Odrą. I tu była konspiracja, która natychmiast mnie wchłonęła, wyszukała wśród „zugangów" (tj. napływających transportów), wyznaczyła zadania, a zarazem i zaopiekowała się. Tu podczas pracy w kamieniołomie rodził się plan działania na rzecz kultury polskiej w Szczecinie, konkretnie w Szczecinie.

Było piękne lato 1945 roku. Prosto z Austrii — całym zespołem — pojechaliśmy do wyzwolonego już Szczecina. Realizowaliśmy nasze zamierzenia dawne i ostatnie obozowe. Chodziło o to, by służyć polskiej kulturze. Ogólne założenia były bardzo konkretne. Wiadomo, że w kraju brak jest polskiej książki, bo zniszczył ją niemiecki okupant. I jeszcze drugi problem — zagadnienia regionu, ziem nowych, społeczeństwu mało znanych. Trzeba je osadnikom przybliżyć. Wszystkim przybyszom — tym z Poznania, Warszawy i zza Buga. Trzeba odszukać Polaków, którzy się tam na tych ziemiach nad Odrą i Bałtykiem jeszcze zachowali, wykorzystać ich znajomość regionu. Praca przed nami ważna i olbrzymia. Chodziło o wydawnictwo posiadające własną drukarnię i szybko realizujące zamówienia społeczne.

Szczecin leżał w gruzach, a pod gruzami znajdowały się tak przez nas poszukiwane maszyny drukarskie, ale i papier (chociaż nie zawsze taki, jaki był potrzebny i dlatego moja broszura o zabytkach Szczecina ukazała się na papierze pakowym którejś tam klasy, ale ówcześni czytelnicy i znajomi podziwiali „dobrą jego jakość") i farby i setki innych potrzebnych przedmiotów. Jakże przydały się wówczas umiejętności pracy fizycznej — od rana do nocy usuwaliśmy gruzy jednego ze staromiejskich domów, by potem wózkiem ręcznym przewozić części maszyn i ponownie je montować w pomieszczeniu przyznanym przez władze miejskie przy al. Wojska Polskiego.

Przypominam sobie jedno z pierwszych posiedzeń zarządu spółdzielni (bowiem byli więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych założyli spółdzielnię wydawniczą pod nazwą „Polskie Pismo i Książka") poświęcone głównie problemom wydawniczym. Rynek dyktował potrzeby, jakie niełatwo było realizować; nie było polskich pocztówek, nie było polskiego planu miasta — ale też nie mieliśmy odpowiedniego kartonu do drukowania widokówek i papieru na plan. A jednak i jedno, i drugie zadanie zostało wykonane. Ówczesny prezydent miasta Szczecina prof. Piotr Zaremba odnotował w swoich pamiętnikach ciekawe wydarzenie: podczas pobytu w Krakowie doręczył władzom miasta polski plan Szczecina, gdy tymczasem Kraków jeszcze posiadał tylko plany niemieckie.

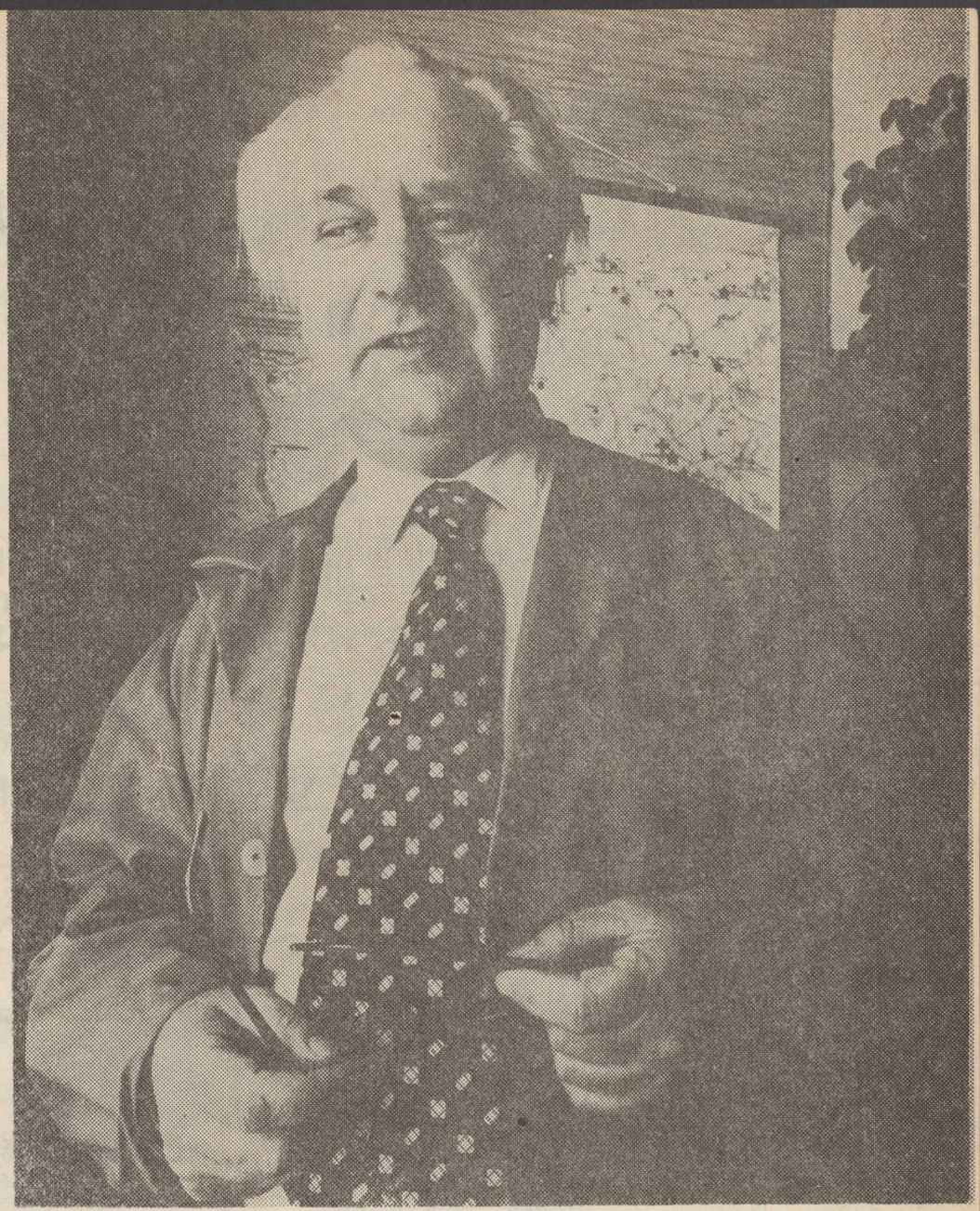
Nasza spółdzielnia szybko się rozwijała. Niestety jej rozwój, otwieranie nowych placówek, nie wszystkim odpowiadał. Był to okres stałych reorganizacji prowadzonych pod różnymi aspektami. Rozpoczęła się więc dyskusja, czy nasza spółdzielnia jest „czer-

wona", czy „zielona". Nasza odpowiedź była jedna: pracujemy pod sztandarami (ha, takie wielkie słowa wówczas padały) biało-czerwonymi, polskimi. To jednakże nie wystarczało. Nawet „glejt" dany naszej działalności przez premiera Edwarda Osóbkę Morawskiego pomógł tylko na krótki czas. Rozparcelowano nas w imię nie bardzo określonych potrzeb. Ponoć łączyliśmy zbyt różne kierunki pracy i produkcji: przemysł, handel i usługi dla ludności nie mogły działać łącznie. Stwierdzono, że „zadania pionierskie wykonaliśmy wzorcowo, ale okres pionierów już minął" i stąd nie ma dla nas miejsca w nowych układach gospodarczych.

Olbrzymi wysiłek organizacyjny i entuzjazm kilku lat działania został praktycznie unicestwiony, bo zadań statutowych, problemów regionalnych nikt nie przejął. Zresztą stosunek do regionalizmu był wówczas prawie że negatywny; nie pomogły wyjaśnienia, że tego rodzaju materiały wydawnicze są społeczeństwu potrzebne, że informacje o dziejach tej ziemi, jej zabytkach, walorach geograficznych i architektonicznych interesują społeczeństwo, integrują je z tą ziemią. Regionalizm i zainteresowania regionalne oceniano jako zaściankowość.

Tak więc plany o wielkim ośrodku wydawniczym w Szczecinie — wydawnictwie, które informowałoby cały kraj o problematyce morskiej, o gospodarce portowej i stoczniowej, rybołówstwie, itp. — w aspekcie regionalnym — szczecińskim, rozpadły się. Zamiast wydawać w Szczecinie trzeba było ze swymi opracowaniami jeździć do Warszawy, czy do Gdańska (czasem do Poznania); tam jednakże je doceniano, wydawano, a „praktyka życiowa" wykazała, że takie książki były potrzebne, bowiem szybko się rozchodziły, czasem ponawiano nakłady. Czytelnicy nawiązywali ze mną kontakty; młodzież i nauczyciele (ale nie tylko oni, bo i księgarze, i zakłady pracy, i związki zawodowe, nawet milicja) prosili o spotkania autorskie, o wspólne wędrówki itp.

Wędrownictwo to też jedna z moich pasji życiowych. Wędrowanie po wsiach i miastach Pomorza Zachodniego, odkrywanie ich krajobrazu i pokazywanie ludziom, którzy tam od lat mieszkają, ale walorów swej osady nie zauważyli. Trudno powiedzieć ile tysięcy kilometrów odbyłem pieszo, rowerem, czasem samochodem poprzez lasy i pola (uspołecznione i nie uspołecznione; piszę o tym, ponieważ jeden z recenzentów moich opracowań zwrócił mi kiedyś uwagę, iż „nie upo-



Fot. Z. Ryngwelski

litycznia" swoich marszrut). Wędruję tylko po Pomorzu Zachodnim; wyjazdy na inne obszary traktuję jedynie jako szkołę poznania, ale o tych terenach nie piszę. Uważam się za regionalistę pomorskiego, co nie oznacza iż inne ziemie i zjawiska ogólnopolskie mnie nie interesują; owszem, tak, ale ich opisywanie i budzenie zainteresowań pozostawiam innym, bardziej kompetentnym. Nie chciałbym bowiem być powierzchownym. O ile czegoś nie rozumiem, pozostawiam to „fachowcom". Stąd pisanie — w miarę upływu lat — staje się coraz trudniejsze, odpowiedzialność za napisane słowo, za podaną informację wzrasta z każdym rokiem. Tak łatwo było pisać o zabytkach Szczecina w 1945 r. (serię takich artykułów zamieściłem wówczas w „Kurierze Szczecińskim"; później te notatki, wyniki pierwszych badań, ukazały się w formie broszur stanowiących — jak mi niedawno powiedziano w antykwariacie — poszukiwane „białe kruki"); dzisiaj opracowywanie jakiegoś tematu trwa już nie tygodnie, ale miesiące. Ile trzeba się natrudzić, by zebrać potrzebne źródła (i tu na ogół niewiele pomagają zorganizowane działy informacji), przeczytać je i przeanalizować, wybrać właściwe informacje i w sposób prosty, językiem współczesnym podać je dalej społeczeństwu, by były „recepcyjne", ścisłe, zrozumiałe, jednoznaczne. A ile tematów rozpoczyna się i nie kończy, bo brak jakiegoś łącznika, szczegółu, bez którego treść jest niepełna.

A mimo wszystko pisanie to — obok wędrownictwa — kolejna moja pasja. Jestem przekonany, że to, co się zauważyło, trzeba udokumentować opisem, bo przecież ten obiekt może zginąć, a przeżyte wydarzenie może być istotnym szczegółem dla badacza przeszłości.

RYSZARD DŻAMAN

PO TRZYDZIESTU PIĘCIU LATACH „POLSKIE PISMO I KSIĄŻKA"



W Mauthausen — Gusen

Wincenty Szałek [1]: Myśmy, jako instruktorzy harcerscy z okresu przedwojennego zostali aresztowani przez Niemców. Ja na przykład byłem uwięziony 1 lutego 1940 roku za pracę w ruchu oporu. Aresztowano też masę kolegów harcerzy z V Hufca i VII Hufca Poznańskiego, z ośrodka Wildeckiego, gdzie namiestnikiem zuchowym był Leon Królak. Tak się złożyło, że po pewnym okresie czasu spotkaliśmy się w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen na terenie Austrii, koło Linzu. Tam, w obozie, na przełomie roku 1942 i 1943 padła myśl, abyśmy po wojnie, my, jako byli więźniowie założyli wspólnie jakieś przedsiębiorstwo. Inicjatorem tego pomysłu był Leon Królak.

Władysław Gębik [2]: „Wielu kolegów... w obozie... uczyło się nowych zawodów. Celowali w tym Wiekopolanie, wśród których najlepszym przykładem świecił Leon Królak. Był on przed wojną kierownikiem ambulansu pocztowego, kursującego na liniach poznańskiej dyrekcji PKP. Wyniesione z harcerstwa zamiłowanie do literatury i książki, do zdobywania wiedzy, skłoniły go do nauczenia się nowego zawodu, który od dawna był jego marzeniem. Zapragnął mianowicie posiąść tajemnicę sztuki drukarskiej i opanować wiedzę z zakresu wydawniczo-handlowego... Kolega Królaka potrafił wyszukać w obozie specjalistów z zakresu drukarstwa i wydawnictw, wciągnął ich do zorganizowanej walki o ocalenie życia, skupił kilku podobnych do siebie zapaleńców, którzy już na terenie obozu postanowili, że po wojnie założą własną spółdzielnię, drukarnię i wydawnictwo polskich książek, a na siedzibę przyszłego zakładu produkcyjnego wyznaczyli sobie miasto portowe Szczecin".

Roman Łyczywek [3]: „Z zadziwiającą przenikliwością przeczuli oni, że szczególne natężenie eksterminacji ze strony faszystowskich Niemiec szło w kierunku podważenia podstaw kultury polskiej i że praca na tym polu będzie miała po wojnie niezmierną doniosłość".

Wincenty Szałek: Czas leciał. Doczekaliśmy się wyzwolenia. Było to piątego maja 1945 roku o godzinie 17. Obóz nasz został wyzwolony przez żołnierzy Armii Radzieckiej. Przyjechały trzy czołgi. W każdym z nich znajdował się żołnierz, który dobrze władał językiem polskim.

Byliśmy jednym z ostatnich obozów, który nie doczekał się ewakuacji. W zasadzie przeznaczono nas na zagładę Obóz liczył około 25—26 tysięcy więźniów. Wszyscy mieliśmy zostać w kwietniu — na rozkaz Himmlera — zasypani w sztolni w kamieniołomach. Zbliżała się Armia Radziecka i Armia Amerykańska, i pod koniec kwietnia załoga SS opuściła nasz obóz. Opiekę nad nami przyjęła policja wiedeńska. Starzy dziadkowie. Szóstego maja w grupach sześcio- lub ośmioosobowych zostaliśmy z obozu wypuszczeni. A wypuszczano tylko grupy takie, które dawały gwarancję samoobrony. Myśmy dotarli do Linzu i przez okres kilku dni musieliśmy wyrobić sobie dokumenty. To jest ten certyfikat, to zaświadczenie stwierdzające, że byłem w obozie Mauthausen-Gusen. Figuruje pod tym podpis sekretarza — Czesława Piskorskiego. Właśnie on tam po wyzwoleniu w administracji pracował. Na podstawie tego dowodu osobistego mogliśmy już powracać do kraju. Pierwszy transport był samochodami ciężarowymi Armii Amerykańskiej. Kolumna liczyła około trzydziestu—czterdziestu wozów. W każdym z nich było czterdziestu do pięćdziesięciu więźniów. Przez Budziejowice przerzucili nas do Pragi. W Pradze oczekiwaliśmy kilka dni — tory były uszkodzone. Myśmy wrócili do Poznania w dniu 10 lipca 1945 roku. Następnego dnia mieliśmy już pierwsze spotkanie u Leona Królaka, gdzie był — między innymi — Marian Sławiński, Marian Kwintkiewicz, Stefan Pełczyński i ja. Tam omówiliśmy wypad do Szczecina.

W polskim Szczecinie

Leon Królak był pierwszym, który wyjechał do Szczecina 15 lipca, a 16 lipca znalazł się w Szczecinie. Po nim, 17 lip-

ca myśmy przyjechali. Jak to w Szczecinie wyglądało? Trzeba było zgłosić się do biura meldunkowego na Wałach Chrobrego. Potem zaczęliśmy szukać odpowiedniego lokalu mieszkalnego i lokalu na warsztat pracy. Na początku spaliśmy w piwnicach obecnego Urzędu Wojewódzkiego. Stołowaliśmy się w stołówce przy ulicy Swarożyca, koło Teatru Polskiego. Myśmy przyjechali jako przesiedleńcy z Poznania. Otrzymywaliśmy zaświadczenia przesiedleńcze. Moje ma numer 1681, wydane dnia 13 lipca. Ten dokument, wydawany przez Polski Związek Zachodni w Poznaniu, umożliwiał przyjazd do Szczecina. Razem z zaświadczeniem otrzymaliśmy bilety bezpłatnej podróży.

18 lipca każdy z nas dokonał rejestracji. Ja zostałem zarejestrowany jako mieszkaniec miasta Szczecina pod numerem 3907. Tego też dnia zgłosiliśmy się do Urzędu Zatrudnienia w Zarządzie Miejskim. Jego naczelnikiem był Wacław Mosiężny. On w pierwszej ekipie kwietniowej z profesorem Zarembą przyjechał do Szczecina.

Osiedliliśmy się przy ulicy Mazurskiej. My wszyscy — współzałożyciele Spółdzielni „Polskie Pismo i Książka". Było nas dziesięciu: Leon Królak, Zenon Niewada, Irena Koczorowska, Franciszek Belling, Stefan Pełczyński, Marian Sławiński, Wincenty Szałek, Marian Kwintkiewicz, Stefan Mróz i Czesław Piskorski.

Zaczęła się nasza wspólna praca. Nikt się nie pytał „za ile", ale od rana do wieczora penetrowaliśmy teren. Mieliśmy upoważnienie do tego. Z książki telefonicznej wyszukiwaliśmy adresy drukarni. No i z tych gruzów wyciągaliśmy to, co się nadawało do pracy drukarskiej. Wskazano nam adres: Wojska Polskiego 39. I tam właśnie znaleźliśmy ruiny, po których dotarliśmy do podwórza. To było podwórze pod numerem 39/41. Akurat tam znajdowało się kilka starych maszyn drukarskich i kilka maszyn wytwórni torebek. Załatwiliśmy formalności i zaczęliśmy szukać papieru, farby, różnych potrzebnych narzędzi. Udało się nam ten park maszynowy uzupełnić. Przeszukiwaliśmy różne punkty miasta. Na placu Kilińskiego też znajdowała się mała drukarnia i dostaliśmy z niej do dyspozycji część urządzeń.

Zaczęliśmy wykonywać druki akcydensowe. Ambicje były większe. Postanowiliśmy zorganizować spółdzielnię wydawniczą byłych więźniów politycznych obozów koncentracyjnych pod nazwą „Polskie Pismo i Książka" w Szczecinie. W związku z tym staraliśmy się werbować byłych więźniów, którzy przyjeżdżali do Szczecina, fachowców odpowiednich, ażeby mogli pomóc w rozruchu spółdzielni. To było w lipcu i w sierpniu. W sierpniu wydaliśmy pierwsze pocztówki. Z uwagi na to, że jeszcze w Szczecinie mieszkało wielu Niemców, a mieszkania były przydzielane Polakom, wpadliśmy na pomysł, żeby wydrukować pocztówkę z orłem polskim i napisem „Zajęte przez Polaka". W ślad za tym wydaliśmy pierwsze pocztówki z pozdrowieniami ze Szczecina. Wykonaliśmy sześć pocztówek na kamieniu litograficznym (patrz reprodukcje). Te pocztówki były sprzedawane już we wrześniu.

Piątego września wydaliśmy też pierwsze czasopismo sześciostronicowe — „Pionier Szczeciński" [4]).

Czesław Piskorski [5]): „Sierpień 1945 roku był gorący. W upalne lato tych dni wiozłem razem z p. Królakową do Szczecina pierwsze polskie czcionki, które miały umożliwić wydawanie tygodnika, poświęconego zagadnieniom regionalnym. Dwie małe skrzynki ważyły łącznie kilkadziesiąt kilogramów (stop czcionkowy jest wyjątkowo ciężki)... Po 26 godzinach jazdy szczęśliwie osiągnęliśmy Szczecin i rozpoczęliśmy montowanie pierwszych numerów tygodnika... Nowo zorganizowana spółdzielnia wydawnicza miała zdrowe ambicje drukownia pisma we własnej drukarni. Tymczasem drukarnia znajdująca się przy ul. Wojska Polskiego była drukarnią tylko z nazwy. W czasach niemieckich znajdowała się tutaj fabryka wyrobów papierowych, która posiadała podręczną składnicę czcionek i kilka ręcznych maszyn potrzebnych do składania ogłoszeń. Chcąc przeto wydać pismo, trzeba było najpierw postarać się o maszyny. W zniszczonych dzielnicach Szczecina, pod gruzami znajdowały się wszelkiego rodzaju maszyny, także i drukarskie. Jaki był ich stan, można sobie łatwo wyobrazić. Najpierw trzeba było odkopać stosy gruzów, zwalonego muru itp., by ze spodu wydobyć to, co do pracy było potrzebne. A ponieważ wydobyty materiał nigdy nie był kompletny, trzeba więc było sprowadzać potrzebne części z Poznania. Mimo trudności pierwszy numer „Pioniera Szczecińskiego" ukazał się. Kliszę tytułową wykonano w Poznaniu, a skład ręczny na miejscu... pismo składane ręcznie musiało ograniczać się do kilku stron druku, na większą ilość stron nie starczyłoby czcionek. Co prawda wkrótce sprowadzono z Poznania nowe komplety, ale czcionek wciąż jeszcze było mało".

Wincenty Szałek: Takich „Pionierów" wydaliśmy dwa numery. Pierwszy piątego września, drugi piętnastego września. Ten drugi numer posiadał już osiem stron.

Mieliśmy drukarnię, która była podstawą spółdzielni — wykonywała wszystkie druki potrzebne dla nas jak i dla organizujących się przedsiębiorstw, warsztatów pracy, zakładów, instytucji, organizacji społecznych.

Agencja reklamy zbierała ogłoszenia oraz prowadziła pilony reklamowe, jak również rozpoczęliśmy zbieranie i opracowywanie reklam kinowych.

Następnie mieliśmy dział wydawniczy. Szefostwo nad nim powierzyliśmy Czesławowi Piskorskiemu. Kolega Piskorski rozpoczął działalność wydając pierwszy mały album „Zabytki piastowskiego Szczecina" [6]). Było to skromne wydanie, na papierze pakowym, ale niemniej bardzo potrzebne wówczas. Dzisiaj jest to już rzecz historyczna. W późniejszym okresie wznowiliśmy tę pozycję w większym formacie. I w rocznicę powstania spółdzielni wydaliśmy „Zabytki piastowskiego Szczecina" w nakładzie bibliofilskim, wręczając je różnym osobistościom. Na tym wydaniu bibliofilskim była taka oto dedykacja: „W pierwszą rocznicę odzyskania wolności i po roku pracy w polskim Szczecinie wydając niniejszy album wspominamy śp. kolegów naszych, którzy w walce o Ziemie Odzyskane zginęli zamordowani w niemieckich obozach koncentracyjnych Mauthausen i Gusen. Cześć ich pamięci. Założyciele Spółdzielni Wydawniczej „Polskie Pismo i Książka" (Byli więźniowie polityczni). Szczecin, w lipcu 1946 roku".

W lipcu i w sierpniu 1945 roku już działaliśmy, ale trzeba było to uformalnić. Dwudziestego trzeciego września mieliśmy w mieszkaniu Leona Królaka o godzinie 10.30 walne zebranie, na którym przedłożono projekt statutu i wybrano radę nadzorczą. Przewodniczącym tej rady został wówczas Roman Łyczywek, członkami: Czesław Szczepski, Ignacy Brożyna, Władysław Jakubowski, Stefan Fołtyn i Włodzimierz Goszczyński. Rada nadzorcza powołała — spośród wymienionych już przeze mnie dziesięciu członków — założycieli zarządu spółdzielni. W jego skład weszli Leon Królak i Wincenty Szałek. Pod koniec 1945 roku do zarządu dokooptowano Zygmunta Mieszkowskiego. 24 września, w oparciu o postanowienia walnego zgromadzenia, wystąpiliśmy do Sądu Okręgowego (Wydział Rejestru Handlowego) z wnioskiem o rejestrację spółdzielni. Do dokumentów dołączyliśmy oryginał statutu.

WYCIĄG ZE STATUTU — § 3:

„Siedzibą spółdzielni jest miasto Szczecin, a terenem działania Pomorze Zachodnie...

Spółdzielnia ma na celu:

a) służbę kulturze polskiej przez wydawanie i popularyzację pism i broszur oraz książek, ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw związanych z Pomorzem Szczecińskim albo dla Pomorza Szczecińskiego wybitnie potrzebnych".

Wincenty Szałek: Nasza drukarnia była nastawiona na pracę ściśle akcydensową. Wykonywaliśmy różne druki na zlecenia. Zrobiliśmy — między innymi — taką pocztówkę, dokument historii, stwierdzający, że nad Szczecinem powiewa polska flaga. To było wykonane dla uczczenia daty 30 kwietnia 1945 roku, kiedy to inżynier Piotr Zaremba o godzinie 8.15 wywiesił polską flagę na gmachu Urzędu Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej w Szczecinie.

Byliśmy pierwszymi, którzy wydali plan miasta [7]). Został on wykonany na kamieniu litograficznym w 1945 roku. Do jego powstania przyczynił się Marian Sławiński. Plan podawał równocześnie adresy urzędów i instytucji publicznych, społecznych, wyższej użyteczności oraz rozmieszczenie szpitali. O tym planie wspomina profesor Zaremba, w swojej książce „Szczecińskie lata 1946—1948". Pisze on tam, że jak pojechał do Krakowa, to prezydent tego miast wręczył mu plan miejski w języku niemieckim, wówczas nasz prezydent ofiarował plan miasta Szczecina wydrukowany w polskim Szczecinie, przez byłych więźniów obozów hitlerowskiech. Świadczy to chyba dobrze o prężności pionierów naszego grodu, jest dla nas legitymacją dobrej roboty.

Potem wydawaliśmy dalsze plany.

Fragment „Informatora szczecińskiego z orientacyjnym planem Szczecina" [8]) z 1946 roku: „Morski swój charakter zawdzięcza Szczecin głównie faktowi, że leży u ujścia Odry i jest dzięki temu punktem przeładunkowym transportów morskich i rzecznych. Ta właśnie okoliczność jest źródłem tranzytowych predystynacji portu szczecińskiego. Dzięki dalekim połączeniom spławnym Odry, przez Szczecin przecho-

dzić będzie niebawem cały tranzyt państw zachodnich i skandynawskich, dalej tranzyt śląski, czeski i z chwilą ewentualnej realizacji śmiałych planów budowy kanału Odra-Dunaj także tranzyt bałkański".

Cóż, komentarz jest tutaj zbędny. W 1946 roku wiedzieliśmy więcej niż później realizowaliśmy, gdy nasi ekonomiści wyliczali, iż transport rzeczny jest nieopłacalny.

Wincenty Szałek: W 1945 roku wydaliśmy pierwszą grę dla dzieci pod tytułem „Poznajemy ujście Odry" [9]. Wykonana ona była na papierze pakowym, ale dość efektownie plastycznie. Makieta pokazywała Port Szczeciński, Odrę, Zalew Szczeciński, Świnę, Uznam, Bałtyk. Drugą grę wykonaliśmy pod tytułem „1000 lat państwa polskiego" [10].

W 1946 roku, po dużych perypetiach, udało się nam otrzymać zezwolenie na wydawanie „Szczecina" [11] jako tygodnika miasta morskiego. Początkowo ukazywał się on w podwójnych numerach. To już był szesnastostronicowy tygodnik. Pierwszy numer ukazał się 15 czerwca 1946 roku.

Czesław Piskorski i Feliks Jordan [5]: „Tytuł pisma przyjęto w tym przekonaniu, że w Polsce należy jak najwcześniej spopularyzować ideę Szczecina, miasta i nowego polskiego portu u ujścia Odry. „Na czoło" (problematyki) wysuwały się... zawsze sprawy morskie i wszystkie zagadnienia związane z odbudową i rozbudową polskiej gospodarki na morzu.

Drugim podstawowym tematem, któremu poświęcano jak najwięcej uwagi, było zagadnienie tworzenia się społeczeństwa polskiego na Pomorzu Szczecińskim.

Rok 1947 — to dalszy etap rozwoju pisma. Nie było już wątpliwości, że na Pomorzu Szczecińskim potrzebne jest czasopismo poświęcone problematyce regionalnej, że pismo takie jest jednym z czynników cementowania miejscowego społeczeństwa. (...) Zaczynają pisywać do „Szczecina" również publicyści z innych wielkich środowisk Polski. Pismo rozwija swój zasięg".

Roman Łyczywek [3] (...) skromny początkowo format pisma A5 okazał się niewystarczający i w 1947 „Szczecin" powiększył format, przybierając nowy podtytuł „Tygodnik Pomorza Zachodniego". W tym też czasie pismo nabrało większych ambicji literackich, nie zmniejszając swych zainteresowań do zagadnień społecznych Pomorza, gospodarczych i morskich. Etapem dalszego awansu stał się rok 1948, kiedy redakcję przejął Feliks Jordan. W tym też roku po rozszerzeniu rozmiarów tygodnika przybrał on nowy tytuł „Tygodnik Wybrzeża".

Wincenty Szałek: Wydawanie „Szczecina" w latach 1947—1948 było deficytowe, ale niedobory pokrywaliśmy z dochodów innych działów spółdzielni.

Poza tygodnikiem zaczęliśmy wydawać broszury i książki. W 1946 roku ukazała się książka Piotra Zaremby „Polska flaga w Szczecinie" [12]. W tym też roku wydaliśmy pozycję napisaną wspólnie przez Piotra Zarembę i Czesława Piskorskiego: „Polski Szczecin" [13]. Składała się ona z dwu części „Rys historyczny" napisał Czesław Piskorski, natomiast „Chronologiczny przebieg wydarzeń w r. 1945/56" Piotr Zaremba. Następnie wydaliśmy „Monografie Miast Morskich" [14], „Polska odrodzona na Pomorzu Zachodnim", Krawczyka: „Chemia nieorganiczna" — był to podręcznik szkolny. Ponadto Stanisława Helsztyńskiego: „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego" [15], Waleriana Lachnitta „Pod znakiem Gryfa" [16], „Piękno i bogactwo Pomorza Zachodniego" [17]. W 1948 roku, wydaliśmy ważną pozycję „Rocznika Pomorza Zachodniego" [18].

Włodzimierz Goszczyński [19]: Wiosennym zapachem kwitnących sadów — witała ziemia przybywającego osadnika; pokochał ją niewątpliwie, bo tylko miłością do kraju, tylko głęboką świadomością historycznego momentu, można sobie tłumaczyć ten gigantyczny wysiłek i ten nieznający przeszkód entuzjazm — entuzjazm szerokich mas osiedleńców.

Trud nie poszedł na marne. Zaorane zostały ugory. Ziemia rodzi bogate plony. Odbudowane zostały fabryki, produkcją wzbogacające kraj. Odbudowano szczerniałe dźwigi portowe i oczyszczono zamulone nabrzeża. Port ożył. Pracują wytrwale kraniści i załogi statków. Każdy zgrzyt łańcuchów okrętowych i każdy ryk syreny okrętowej — to cząstka wielkiej polskiej symfonii pracy.

W zwięzłych opisach informacyjnych, zamieszczonych w tej książce, w każdej podanej cyfrze wynikowej — zamknięta jest cała gama przeróżnych czynników uspołecznienia woli, poświęcenia i entuzjazmu — „inwestowanych" świadomie przez milion Polaków osiadłych na Pomorzu Zachodnim w czasach niepowtarzalnych, w czasach wielkiego wyzwolenia politycznego, gospodarczego i społecznego. Książka ta jest niedoskonałym wyrazem naszych wysiłków i osiągnięć na Pomorzu Zachodnim w latach 1945—1947. Piszą o swej pracy przeważnie sami uczestnicy. Stąd może pewna „surowość" w podejściu do zagadnienia, bowiem człowiek pracy nie umie się chwalić.

(...) książka ta niejednemu z Czytelników uzupełni jego wiedzę o historii czy geografii tej ziemi, może spotęguje szacunek do wysiłku i poświęcenia tych bezimiennych ludzi, którzy w pamiętne dni kwietniowe 1945 r. przybyli zaraz za armią, aby tu tworzyć i organizować polskie życie.

Wincenty Szałek: Wydawaliśmy także literaturę piękną dla dorosłych i dla dzieci. Wymienić tu trzeba Tymoteusza Karpowicza tomik poezji „Żywe wymiary" oraz „Legendy Pomorskie", Zofii Walickiej-Neumanowej: „Dziwne przygody szczurka Gryzimurka" oraz zbiór nowel Guy de Maupassanta: „Prawdziwa miłość" w tłumaczeniu Krystyny Łyczywek.

Czego myśmy w końcu nie wydawali [20]. To dzięki nam ukazał się w 1946 roku spis abonentów sieci telefonicznej miasta Szczecina. Wymagało to od naszych drukarzy ciężkiej pracy — nie posiadaliśmy dostatecznej ilości czcionek. Książkę tę składało się arkuszami, drukowało się arkusz, potem czcionki rozbierało się i na nowo składało się dalszy arkusz, aby go później drukować.

U nas były drukowane programy teatralne. W kwietniu 1947 roku wydaliśmy urzędowy rozkład jazdy PKP dyrekcji szczecińskiej, PKS-u, LOT-u i „Gryfu" — Żegluga Przybrzeżna. Ba, w czerwcu 1947 roku wydrukowaliśmy na zamówienie biuletyn towarzysko-matrymonialny „Głos serca". Można się teraz ubawić czytając lekturę z tamtego czasu.

Oprócz tego, że spółdzielnia nasza prowadziła działalność drukarską, ogłoszeniową, introligatorską, posiadaliśmy także własne księgarnie. Uruchomiliśmy na początek trzy księgarnie. Pierwszą z nich otworzyliśmy pod koniec 1945 roku przy alei Wojska Polskiego 41. Rozprowadzała ona wszystkie nasze druki, pocztówki i książki, a także literaturę wydawaną przez innych wydawców. Drugą księgarnię uruchomiliśmy przy ulicy Parkowej 64. Trzecia księgarnia była czynna przy Wojska Polskiego 134.

W jedenastu miastach na terenie kraju mieliśmy punkty składowe naszych wydawnictw i druków.

Uruchomiliśmy także wypożyczalnię książek. Nosiła ona nazwę „Logos" i mieściła się początkowo przy ulicy Jagiellońskiej, a później przy alei Wojska Polskiego 41. Panował wtedy duży głód książki i czytelnictwo w naszej wypożyczalni było jak na ówczesne warunki duże.

Organizowaliśmy także wystawy połączone z odczytami. Pierwszą wystawę eksponowaliśmy w dniach od 3 do 10 listopada 1946 pod tytułem „Książka i jej powstanie". Wystawa była czynna w naszym lokalu przy Wojska Polskiego 41. Mieliśmy tam na I piętrze ładną świetlicę. Ekspozycja obejmowała wystawę książki cennej, starych dokumentów, książki ocalonej i powojennej, pierwsze pisma Pomorza Zachodniego, eksponaty Archiwum Wojewódzkiego i Biblioteki Miejskiej oraz zbiory prywatne. Pokazywaliśmy zarazem jak się drukuje książkę i czasopismo, od rękopisu do oprawnego tomu. Z okazji wystawy wydano specjalną publikację „Książka na Ziemiach Odzyskanych". Zwiedzający otrzymywali w prezencie odbitkę litografii Zamku Szczecińskiego, wykonanej przez artystę K. Podsadeckiego.

Roman Łyczywek [3]: „Druga wystawa pt.: «Książka jako pomoc naukowa» urządzona została na przełomie września i października 1947 roku. O wadze jaką przywiązywano do tej wystawy... świadczył fakt, że protektorat nad nią objęli m. in. wojewoda i przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz prezydent miasta i przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Już w okresie przygotowywania wystawy w środowisku szczecińskim podnoszono wyraźnie postulat powołania do życia uniwersytetu..."

Wincenty Szałek: Trzeba zapisać na plus naszej spółdzielni, że w tym okresie czasu, nie mając specjalnych dotacji — pracowaliśmy wyłącznie na własnym kapitale naszej pracy i wiedzy, no i tych skromnych naszych udziałach pięciotysięcznych; niektórzy tylko koledzy i koleżanki mieli po dziesięć tysięcy wkładu. Myśmy zakładali, że będziemy posiadali własnego kapitału sto tysięcy złotych. Potem, z biegiem lat kapitał się bardzo powiększył, z uwagi na to, że nasza działalność się rozrosła no i z pierwszych dziesięciu założycieli spółdzielni, a zarazem i pracowników, pod koniec swojego istnienia spółdzielnia nasza zatrudniała sto piędziesiąt osób. Rozkwit był coraz większy.

W międzyczasie udało się nam urządzić wspaniałą chemigrafię, której kierownikiem był kolega Marian Kwintkiewicz.

Stanisław Ławicki [21]: U progu 1949 roku nastąpiły plany reorganizacji księgarstwa na terenie kraju. Zaistniała koncepcja, żeby spółdzielczość wydawniczo-księgarska została o tyle scentralizowana, żeby stworzyć wojewódzkie spółdzielnie księgarsko-wydawnicze, dlatego że dotychczas było tych spółdzielni, które trudniły się sprzedażą książki bardzo dużo; na przykład na terenie województwa szczecińskiego i koszalińskiego było ich dwadzieścia, po dziesięć na terenie każdego z tych województw. Najpierw my, to znaczy spółdzielnia „Polskie Pismo i Książka" w Szczecinie, zostaliśmy wytypowani, przez Centralę Spółdzielni Wydawniczej i Księgarskiej w Warszawie, na spółdzielnię wojewódzką. Przyjęliśmy na terenie Szczecina inne księgarnie, konkretnie cztery. Dwie z nich należały do spółdzielni „Oświata", dwie do właścicieli prywatnych — jedna to księgarnia Arcta przy alei Piastów 63, druga, przy alei Niepodległości do Walickiej-Neumanowej.

Pod koniec 1949 roku zadecydowano jednak, że zamiast wojewódzkich spółdzielni wydawniczo-księgarskich zostanie utworzone przedsiębiorstwo „Dom Książki".

Wincenty Szałek: W roku 1949, w związku z pewną polityką wydawniczą, Szczecin był za słaby ażeby regionalne wydawnictwo mogło w nim istnieć. Spółdzielczość księgarsko-wydawnicza nie miała racji bytu.

Likwidacja wszystkich spółdzielni i naszej głównej „PPK" nastąpiła z dniem 31 grudnia 1949 roku. Cały majątek naszej spółdzielni przekazaliśmy nowemu Państwowemu Przedsiębiorstwu „Dom Książki", które z dniem 1 stycznia 1950 roku zostało powołane do życia. Pracownicy nasi zostali przyjęci przez „Dom Książki". Drukarnia, introligatornia i chemigrafia to wszystko wzbogaciło Szczecińskie Zakłady Graficzne.

ZAMIAST PODSUMOWANIA

Władysław Gębik [2]: „...więźniowie obozu Gusen: Czesław Piskorski — dziennikarz z Poznania, Franciszek Belling — zecer z Gdańska, Marian Kwintkiewicz — chemigraf z Poznania oraz Marian Małolepszy, Stefan Mróz, Zenon Niewiada, Stefan Pełczyński, Marian Sławiński i Wincenty Szałek z Leonem Królakiem na czele, który zjawił się w Szczecinie już 16 lipca i otrzymał kartę rejestracyjną nr 2967, uruchomili w sierpniu 1945 roku drukarnię, introligatornię i agencję reklamy, jako pierwsze zakłady założonej przez siebie spółdzielni pod nazwą „Polskie Pismo i Książka". Zgodnie z postanowieniami podjętymi na terenie obozu nadwyżki dochodów z pracy spółdzielni miały być przeznaczone na rzecz sierot i wdów po zamordowanych w Gusen kolegach lub na rzecz wydziału opieki Związku Uczestników Walki o Polskę, którego statut uchwaliliśmy jeszcze w obozie koncentracyjnym w Gusen. Grupa szczecińskich gusenowców była... jedyną, która mimo wielu trudności zrealizowała w pełni „postanowienia Gusen".

1) Były wiceprezes Spółdzielni Wydawniczo-Handlowej „Polskie Pismo i Książka"
2) GĘBIK WŁADYSŁAW *Z diabłami na ty*, Gdańsk 1972 r., Wyd. Morskie
3) ŁYCZYWEK ROMAN, *Polskie Pismo i Książka*, [w:] Rocznik kultury i sztuki, Szczecin 1965 r.
4) *„Pionier Szczeciński"*, tygodnik gospodarczy i społeczno-kulturalny morskiego miasta Szczecina i Zachodniego Pomorza. Oficjalny organ Okręgowego Oddziału Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i Polskiego Związku Zachodniego. Informator portowy. Wydawca: „Polskie Pismo i Książka" Spółdzielnia Wydawniczo-Handlowa b. więźniów politycznych. Za redakcję: Brożyna Ignacy. Rok I: 1945 nr 1 i 2.
5) PISKORSKI CZESŁAW, JORDAN FELIKS, *Od „Pioniera Szczecińskiego" do „Tygodnika Wybrzeża"*, [w:] Rocznik Informator Pomorza Zachodniego. Rocznik I, Szczecin 1948 r.
6) PISKORSKI CZESŁAW, *Zabytki piastowskiego Szczecina*. Szczecin (b.r.w) „Polskie Pismo i Książka", 8° nlb. k., il.
7) *„Mały plan miasta Szczecina"*. Przewodnik po urzędach. Nakł. Agencja Reklamy P.P.K., „Polskie Pismo i Książka" Spółdzielnia pracy b. więźn. polit. (B.r.w.) k 1 (składanka)
oraz: *Szczecin*. Przewodnik. Informator. (b.r.w.) k 1 składanka
8) *Informator szczeciński z orientacyjnym Planem m. Szczecina*. (b.m.r.w. i 1) 16° s. 23+plan
9) *Poznajemy ujście Odry*. (Gra towarzyska). Szczecin (b.r.). Nakł Spółdz. Wydawn. „Polskie Pismo i Książka 2° k. 1
10) Brak bliższych danych — w katalogach i bibliografii
11) *„Szczecin"*. Tygodnik Miasta Morskiego. Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Polskie Pismo i Książka" w Szczecinie. Komitet redakcyjny: Łyczywek Roman, Piskorski Czesław, Telega Stanisław
Rok I: 1946
12) ZAREMBA PIOTR, *Polska flaga w Szczecinie*, Szczecin 1946 r. „Polskie Pismo i Książka", 8° s. 62
13) ZAREMBA PIOTR, PISKORSKI CZESŁAW, *Polski Szczecin*. Rys historyczny Pomorza Zachodniego. Chronologiczny przebieg wydarzeń w r. 1945/46, Szczecin 1946 r., „Polskie Pismo i Książka", 8° s. 21
14) Wydawcą serii „Monografie Miast Morskich" był Związek Gospodarczy Miast Morskich, monografię, do której dotarłem drukowano w Szczecinie — była to pozycja: PASZKOWSKA-JEŻOWA KAZIMIERA, *Kamień na Pomorzu Zachodnim*, Szczecin 1946 r., 8° s. 9. W tej serii ukazały się następujące pozycje: MUSZYŃSKI ADAM, *Wołyń nad Zatoką Szczecińską*, B.m.w. 1946 r., 8° s. 7, nadto: MUSZYŃSKI ADAM, *Świnoujście*, oraz: MUSZYŃSKI ADAM, *Szczecin*
15) HELSZTYŃSKI STANISŁAW, *W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego*, Szczecin 1946 r., Komitet 1-ego Obchodu „Trzymamy Straż nad Odrą", 8° s. 70, 1 nlb
16) LACHNITT WALERIAN, *Pod znakiem Gryfa*. Felietony, Szczecin 1947 r., „Polskie Pismo i Książka", 8° s. 110, 1 nlb
17) *Piękno i bogactwo Pomorza Zachodniego*, Wyd. specjalne ilustr. Szczecin 1947 r., Klub Artystyczno-Literacki, 8° k. nlb. 16
18) Rocznik — *Informator Pomorza Zachodniego*. Wydawca: „Polskie Pismo i Książka". Red. Włodzimierz Goszczyński, współred. Walerian Lachnitt, Czesław Piskorski, Czesław Sobczyk Szczecin R. 1 1945/1948 4° s. 224
19) Ze wstępu do *„Rocznika informatora Pomorza Zachodniego"*.
20) Wincenty Szałek nie wspomniał o publikacji: PISKORSKI CZESŁAW, *Ze Szczecina przez Świnoujście do Międzyzdrojów*. Przewodnik turystyczny z planem portu, drogi wodnej do Świnoujścia, mapą wyspy Wolin i planem Międzyzdrojów, Szczecin 1949 r., „Polskie Pismo i Książka", 8° s. 63, 1 nlb, plany 2, mapy 2
21) Pracownik Spółdzielni „Polskie Pismo i Książka" z ostatniego okresu jej działania, współzałożyciel „DOMU KSIĄŻKI", z wypowiedzi na spotkaniu z okazji jubileuszu XXX-lecia Domu Książki w marcu 1980 roku



JERZY MADEYSKI

Wszelkie jubileusze skłaniają do refleksji i podsumowań. Zabiegom tym sprzyja dystans czasu, pozwalający na ocenę minionych zdarzeń *sine ira et studio*, już bez emocji i skrzywień, powodowanych nastrojem chwili. Zaś lata powstania Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie nie należały do spokojnych.

Wielka retorta plastyki, zwanej wówczas nowoczesną, buzowała na ogniu rewolucji, pełna wciąż przybywających i zmieniających swój skład integracji: wokół niej zaś, jak średniowieczni alchemicy, gromadzili się magowie i szarlatani pospołu, czekając na kondensacje kamienia filozoficznego sztuki, widzianego jako jej wolność i uniwersalizm.

Jest rok 1962. Brzmią jeszcze echa wystawy „Antagonismes" w paryskim Musée der Arts Decoratifs, na której spierały się różne odmiany abstrakcji, triumfy święcą Hartung i Soulages z ich malarstwem gestu, a Kongres Asotiation Internationale des Critiques d'Art rozpatruje — nie bez powodu — zagadnienie czy sztuka jest narodowa, czy też osiągnęła już stopień międzynarodowej unifikacji bezprzedmiotowych znaków porozumienia.

W salach wystawowych świata i Polski, zwłaszcza pamiętającej niedawne czasy sztuki kierowanej, eksploduje nowoczesność z impetem przypominającym jedynie szarżę futurystów i konstruktywistów; hasła „spalić Louvre", bądź „jedna maszynowa śrubka jest dla nas cenniejsza od wszystkich soborów Kremla" ustępują miejsca potępieniu wszelkiej figuratywności i czystości dyscyplin. Obrazy wybuchają pokładami swobodnie kładzionej materii, przemieniającej się w logicznej kolei następstw w przestrzenne environnement i happening. Coraz częściej i z większym uwielbieniem mówi się o integracji sztuk wszelkich w jeden, wszechogarniający człowieka twór wysublimowanego artyzmu, bez konkretnych form i oblicza, wspaniały stop barw, kształtów, ruchu i dźwięku o mocnym, emocjonalnym zabarwieniu. Awangarda wiedzie sztukę ku pełnej wolności, znosi wśród powszechnego aplauzu — ostatnie przeszkody, ostatnie tabu warsztatu, tematu, a nawet estetyki. Z uwielbieniem cytuje dziś happeningi Otto Muehla, w tym „Stille Nacht" z jego obrzydliwościami. Happening stał się objawieniem, nową, najwyższą formą malarstwa, ideałem nowoczesności. Przełamywał bowiem zarówno konwencję obiektu artystycznego, jak wszelkie doktryny estetyczne. Przy czym spełniał swą rolę w sposób doskonały: dotychczas pojęcie antyestetyzmu pokrywało się ze zmianą estetyki, z zastąpieniem jednych, przeżytych już, bądź niemodnych jej ideałów, innymi. Happening natomiast i jego pochodne, uderzając w przedmiot jako taki, usuwały wszelkiemu pięknu ziemię spod nóg. „Należy rozgraniczyć pojęcie malarstwa od pojęcia sztuki" — wołał Kosuth, a wtórował mu Weiner: „działanie jest sztuką!"

Wreszcie pojęcie piękna zepchnięto do pozycji synonimu zacofania, dyletantyzmu i zaściankowości. Piękny — znaczyło wsteczny, przynależny do innej, minionej i przekreślonej epoki. Tworzyć natomiast piękno — znaczyło odstawać od awangardy, stawiającej przekaz ponad jego formę, a zwłaszcza od nowoczesności. Zaś wówczas obowiązywał znak zrównania postawiony między pojęciami „nowy" a „dobry".

Potępienie piękna jako wartości pozytywnej stało się z pozoru nieodwracalne, zwłaszcza w warunkach poszerzonego pola sztuki z jego totalną pogardą lub gorszą od niej obojętnością dla wszelkiej, nawet najnowszej estetyki.

Zrazu na uboczu, niejako podskórnie, narastała jednak opozycja wobec pełnej wolności sztuki, wobec sytuacji ograniczeń i jakichkolwiek kryteriów wartości, wobec przestrzeni, w której na równych prawach działać mogą prawdziwi artyści i — pewni swego bezpieczeństwa wobec braku norm — gdyż niemożliwi do rozszyfrowania, szarlatani. Dostrzeżono, że zatarcie granicy między sferą sarcum a sferą profanum, usunięcie podziału między sztuką a nie sztuką, czyli wejście w regiony nieograniczoności i niesprecyzowania, zaczęło razić swą enigmatycznością. Zwłaszcza zaś usunięcie cezury dzielącej rzeczywistość od sztuki co oznaczało obniżenie rangi tej ostatniej, czyli odebranie jej prawa komentowania i oceny obiektywnie istniejących zjawisk. Zdobycie, czy też proklamowanie, pełnej wolności sztuki rozumianej jako prawo decydowania przez samego autora, co jest sztuką, doprowadziło do stanu, w którym niczemu już nie można się przeciwstawić, usunięto więc jeden z najważniejszych momentów motorycznych wszelkiej działalności, nie nie tylko artystycznej. Owa zaś sytuacja spowodowała spłycenie intencji. W układzie norm artystycznych twórca decyduje się na ich złamanie, wiedział dokładnie czemu i dla osiągnięcia jakich wartości jest zmuszony to uczynić. W warunkach pełnej swobody sięgnął wyłącznie do nieograniczonej rekwizytorni świata, by zbudować z jego elementów coś, będącego na ogół jego bladym i obojętnym odbiciem.

W warunkach anarchistycznej wręcz wolności wybitni artyści zaczęli sami sobie stawiać pewne ograniczające normy. Z nich zaś — normalną koleją rzeczy — zrodziła się, czy też raczej powróciła — estetyka jako nieodzowny atrybut dzieła sztuki.

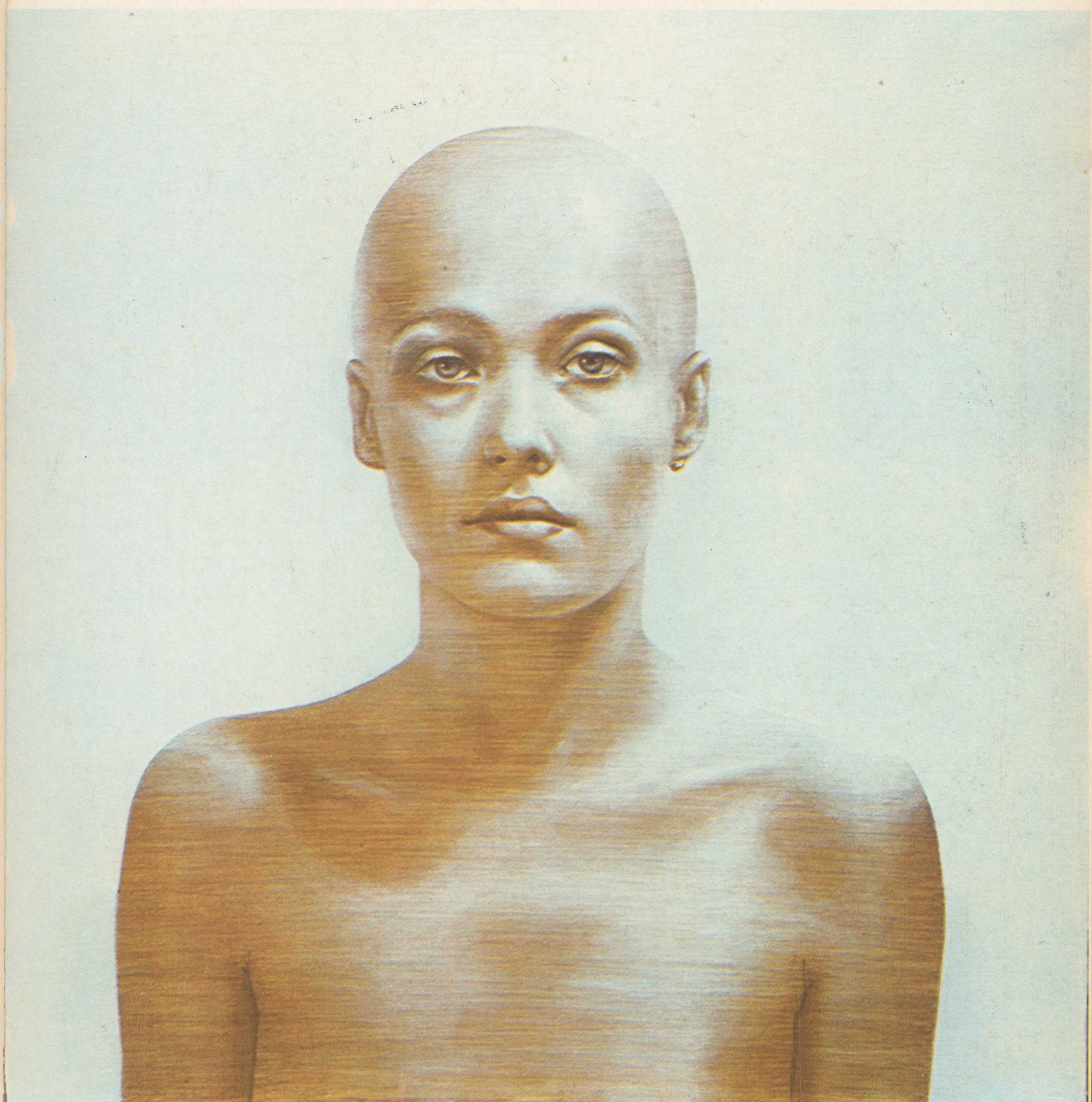
Tak zatem w telegraficznym, z konieczności, skrócie — wyglądała sytuacja malarstwa czy też w ogóle sztuk plastycznych w pierwszych latach działalności Festiwalu. Jednym nurtem biegła ku swobodzie „poszerzonego pola" awangarda, wykreślając z repertuaru sztuki kolejno — anegdotę, przedstawieniowość, dyscyplinę, estetykę i — w końcu — obiekt, drugim zaś torem szła nowa figuracja różnych odcieni, wraz ze zdefiniowanym i nazwanym właśnie w roku 1962 przez Allowaya pop-artem. Nowa figuracja wnosiła nową estetykę; tym bardziej pop, zarówno ten angielski jak amerykański, który w zeuropeizowanej formie zaczął pojawiać się również na naszym terenie. Wraz z nową figuracją powracającą do łask inne skontestowane przez awangardę atrybuty sztuki — przedmiot estetyczny, pewien typ piękna, forma, ba, nawet anegdota.

Awangarda jednak nie rezygnuje. W miejsce powszedniej ikonosfery pop-artu podsuwa — ponoć od niej ważniejszy, komunikat, ślad istnienia, pożywkę dla wyobraźni, sygnał, budzący swym impulsem ciąg nie kontrolowanych przez autora skojarzeń. Zawołaniem dnia staje się cybernetyczna maksyma McLuhana „środek przekazu sam jest przekazem". Indywidualizm postaw skrajnej awangardy zmienia się w krańcowy egocentryzm. Artyści informują krytyków i galerie, o której, np. wstali z łóżek, a mesjasz konceptualizmu, Boltański, wystawia przedmioty swego codziennego użytku i pewną ilość kulek z chleba, ukręconych w dniach od... do...

Z sal wystawowych zaczyna wiać nudą. Jako antidotum i przeciwstawienie narcystycznego konceptualizmu powstaje na drugim krańcu sztuki hyperrealizm, powtarzający w sumie z dawna znane chwyty trompe l'oeil XVIII, XIX i XX wieku. Warto podkreślić ów, dźwięczący w uszach krytyka jak dzwon alarmowy — fakt: wraz z hyper powraca sztuka iluzyjna; nie bez poprzednich heroldów skądinąd: poprzedził go wspomniany trompe l'oeil lat pięćdziesiątych i op-art lat sześćdziesiątych. Warto podkreślić, gdyż pojawienie się dziś sztuki iluzyjnej świadczy o słabości sztuki w ogóle, jej akademizowaniu się, bądź nawet degeneracji, polegającej na przejściu od zagadnień wyrazowych czy konstrukcyjnych do zabawy.

Bo niczym innym, niż zabawą, nie jest wywoływanie pod siatkówką oka nie istniejących w rzeczywistości zjawisk, obojętne, w abstrakcyjnym czy figuralnym kształcie, zatem ruchu w wypadku op-artu, zaś trójwymiarowej realności w hyperrealizmie.

Fot. W. Termanowski



JACEK GULCZYŃSKI — „Portret" — *akryl*, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — nagroda wojewody leszczyńskiego

Fot. W. Termanowski



JAN GÓRA — „Z drugiej strony VII" — *olej*, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — nagroda im. Ziemowita Szumana

Refleksje o sztuce z okazji szczecińskiego festiwalu

Ludyzm opanował zresztą również inne nurty z pop-artem na czele. Mechaniczne „City of Chicago" Red Groomsa znalazło licznych naśladowców; nawet dramatyczni z natury Hiszpanie zapełnili wenecki pawilon czysto rozrywkowymi tworami z pogranicza mechaniki w lunaparku.

Podział sztuki sięga kresu. Malarstwo mechanistyczne, sztuka komputerowa, niemożliwa, efemeryczna i wiele innych kierunków dopełniają chaosu, kompromitując po drodze jakże wysoko dotąd cenione prekursorstwo, a to dla błahości bądź nawet nieistotności odkryć. Wszystko już zrobiono. Powstał i minął land art, body art. Dino de Dominicis wystawił żywego debila płci męskiej z podpisem „recepta na szczęście", grupa wielbicieli Manzoniego pokazała puszkę z — pardon — jego kupką, japoński malarz skoczył z wieżowca na rozciągnięty blejtram.

Wobec tych — nie waham się użyć słowa — wynaturzeń sztuki zbladł nawet Yves Klein odbijający nagie pupy modelek na płótnie i przestały dziwić kasety cidec, operując nudą jako środkiem wyrazu. Wszystko się zdewaluowało, szok przestał szokować, niczym już nie można było zadziwić, zgorszyć ani wstrząsnąć. Proces, zapoczątkowany przez „Dworzec St. Lazare" Moneta i wernisaże surrealistów z dziewczynami w szarym sosie, dobiegł końca. Wszystko zostało jednocześnie zaaprobowane i przekreślone. Awangarda przestała istnieć, podobnie jak liniowy układ sztuki. Dotychczasowy koryfeusz wszelkich awangard, Paul Restany, wykrzyknął: „l'art est mort" i zbiegł nad Rio Negro, skąd śle mętne manifesty o konieczności powrotu do natury.

Początkowo sztuka polska wchłaniała wszystkie nowości z bezkrytycznym zachwytem. Przez sale wystawowe, w tym również Zamku Książąt Pomorskich, przelewały się fale active i taszyzmu, tableau objet i czego tam jeszcze nie wymyślono. Niemniej zachowała — częściowo skutkiem wrodzonego widać rozsądku, choć niewątpliwie w większym stopniu na skutek braków materiałowych oraz innych trudności realizacyjnych, pewien umiar. Nie doszła nigdy do skrajności, choć niekiedy próbowała to uczynić. Pewnym hamulcem, być może, była jej — niechętna ekscesom — liryczna, romantyczna natura oraz — choć może to zabrzmieć dziwnie — silna tradycja postimpresjonistyczna. Prąd ów bowiem, mimo okresowych anatem, przeniknął na kształt konia trojańskiego wszystkie antagonistyczne natury i zabarwił swą gamą i klimatem wszelkie obrazy i environnements, pojawiające się na terenie kraju.

Drugim, zmuszającym do refleksji motywem, były rygory, narzucone przez dość popularny u nas w latach powojennych postkubizm, który wraz z innymi, kiedyś awangardowymi kierunkami, towarzyszył, choć z coraz większej oddali, wszelkim poczynaniom nowoczesnym.

Jeden prąd nie przyjął się u nas natychmiast po swym objawieniu w zagranicznych salach wystawowych. Był nim hyperrealizm. Czemu? Skoro późniejszy odeń konceptualizm rozprzestrzenił się błyskawicznie, zaś wymagające pokaźnego zaplecza organizacyjnego happeningi widziało się często. I po dziś dzień sporadycznie urządza się je, nawet na głębokiej prowincji. Czyżby proste kopiowanie natury było poniżej godności polskich twórców? Chyba nie, skoro równie iluzyjny op- czy foto-art rozpowszechnił się natychmiast.

Przyczyna była inna i bardziej prozaiczna. W odróżnieniu od op i tym bardziej konceptualizmu, hyper wymaga olbrzymiej biegłości ręki. Nienagannego, wprost akrobatycznego opanowania warsztatu wraz z wszelkimi odmianami perspektywy, anatomii etc., etc. Okazało się zaś, że większość naszych malarzy umiejętności tych nie posiada. Owszem, potrafią namalować obraz postimpresjonistyczny, kubistyczny, nawet w konwencji nowej figuracji. Nie znają jednak klasycznej, akademickiej techniki, wymagającej całych lat spędzonych przed gipsami na kopiowaniu starych mistrzów.

Wówczas uderzono na alarm. Technika rosła w cenie, ASP i WSSP zaczęły mocniej naciskać studentów. Dość powiedzieć, że na warszawskiej ASP (wydz. malarstwa) nie przyjęto pracy dyplomowej, opartej na sianiu rzeżuchy i okładaniu jej świeżym runem nagiej modelki, mimo uprzednich sukcesów niedoszłej dyplomantki w lubelskiej Galerii „Labirynt".

Przyszło zatem opamiętanie. Wszyscy, niemal nawet najwięksi zwolennicy nowoczesności, wolności i poszerzonego pola, poczuli się znużeni ciągłą huśtawką plastyki, zwłaszcza, że narastające tempo życia i międzynarodowa atmosfera skłaniały do poszukiwania w sztuce przynajmniej spokoju, ładu, rzeczowości i solidności, równoznacznej ze stabilizacją. Podobnie więc, jak I wojna zaowocowała okresem antykizującym, zaś II wojna matematycznie wymierną abstrakcją geometryczną — druga połowa lat siedemdziesiątych uciekła w retro, poganiana dodatkowo krańcowym już bałaganem sztuki bieżącej. Retro zaś — to znowu warsztat, w dodatku różnorodny: piękno i ograniczenie. To definiowanie i określanie, to zatem przeciwieństwo malarstwa gestu i jego pochodnych.

Dziś zatem sztuka światowa, w tym również polska, przeżywa czasy obrachunku, refleksji i opuszczenia pochopnie zajętych terenów. Już nikt nie traktuje poważnie nawet sztuki scjentystycznej, starającej się przy pomocy intuicji wyręczyć komputery fizyków i mikroskopy biologów, nikt nie marzy o metasztuce. Brak też właściwie wielkich szamanów, wokół których gromadziliby się chciwi nowoczesności uczniowie, zaś erupcje ich myśli mijają bez większego echa.

W cenę natomiast rosną dawne, zapomniane już wartości: technika, solidna wiedza, obserwacja. I piękno, w którym znów dostrzeżono jedyny most łączący twórcę z odbiorcą, jedyną nić, mogącą znów ich powiązać, jedynę drogę, którą sztuka może powrócić do społeczeństwa ze swego alienacyjnego wygnania.

I tak, podążając z pozoru obok wydarzeń Festiwalu Malarstwa Współczesnego, udało się chyba przedstawić jego dzieje, a to poprzez charakterystykę czasów, na fali których powstał i które przyszło mu przeżywać. Gdyż wszystkie owe przemiany, ów wielki tumult przeciwstawnych głosów, odbijały się o mury Zamku.

Festiwal był zatem miejscem sporów i dyskusji, terenem przepychania się konwencji, niejako językiem wagi wskazującym nie tylko aktualność, lecz również wartość i trwałość poszczególnych tendencji. Na ogół się nie mylił: zawsze, nawet w najbardziej obrazoburczych okresach, optował za malarstwem, za obrazem sztalugowym, za dziełem sztuki czy obiektem estetycznym. Wierzył w malarstwo i jego niezmienną aktualność, rejestrował jego przemiany i cierpliwie znosił epitety rzucane przez skrajnie nowoczesnych, widzących w jego istnieniu relikt ubiegłowiecznych salonów pompierów.

Z okazji jubileuszowego, X FPMW można powiedzieć, że zwyciężył. Że udało mu się przetrzymać niewątpliwie najtrudniejszy, okres sztuki światowej bez większych uszczerbków, bądź nawet w pełnej chwale. A przetrwanie nie było łatwe: ileż w tym czasie galerii straciło twarz, ile podobnych imprez zmarło śmiercią naturalną, ile sezonowych sław odeszło w zapomnienie?

Jakie będzie oblicze następnych festiwali i czy obecna sytuacja malarstwa, bądź w ogóle sztuki, wymaga aż tak częstych konfrontacji o powszechnym charakterze? Czy zatem nie należałoby pomyśleć o nowej ich formule?

Ale to już zupełnie inny temat.

STERN

ROZMOWA Z PROF. JONASZEM STERNEM

PO CO ARTYŚCIE SAMOCHÓD?

Jurorem X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie był prof. Jonasz Stern. Przedtem, kilkakrotnie ten wybitny artysta uczestniczył w festiwalowych ekspozycjach, przyczyniając się do podniesienia ich rangi i atrakcyjności.

Nazwisko Jonasza Sterna kojarzy się z awangardową Grupą Krakowską. Helena Blum w monografii artysty napisała: „Życie i twórczość Jonasza Sterna związane są głęboko z wydarzeniami naszej epoki. Wszyscy — nolens volens — jesteśmy jej wytworem i doświadczamy w zasadzie tych samych wypadków, ale Sterna dotknęły one szczególnie ciężko. Przeżycia jego były tej miary, że nie mogły nie uształtować psychiki artysty, musiały wywrzeć wpływ i na treść, i na rozwój jego sztuki, który przypadł w dodatku na czas szybkich i radykalnych przemian artystycznych i wprowadzania wciąż nowych znaków, przy pomocy których artyści szukali porozumienia ze społeczeństwem.

Stern, silnie związany z duchem swego czasu, nie pozostał biernym odbiorcą form przyjętych od innych, wnosił nie tylko własną treść psychiczną, ale stworzył też własny język malarski".

Urodził się w 1904 roku w Kałuszu. Chodził do prywatnego gimnazjum polskiego i — jak pisze Blumówna — bardziej niż nauka pociągały go kontakty z artystami, m. in. także cerkiewnymi. Z Leopoldem Buczkowskim — obecnie jednym z najwybitniejszych pisarzy — wykonywał ikony dla cerkwi oraz podejmował zamówienia dla okolicznych dworów. W 1922 roku przeniósł się do Lwowa. Pobierał naukę u Pawła Gajewskiego profesora Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego. Utrzymywał się z pracy w drukarni. W 1926 roku wstąpił do KPP, był kilkakrotnie aresztowany. A. Osęka powiedział: *„Stern był wcześniej komunistą niż malarzem"*. W 1928 roku przeniósł się do Krakowa. Początkowo uczył się w prywatnej szkole Jadwigi Mehofferowej. W 1929 roku został studentem Akademii Sztuk Pięknych. Jego profesorami byli: Władysław Jarocki, Fryderyk Pautsch, Teodor Axentowicz i Stanisław Kamocki. Przejawiał skrajnie lewicowe poglądy, wskutek czego został wraz z kilkoma kolegami relegowany z uczelni. Oskarżony o komunizm znalazł się w 1938 roku w Berezie Kartuskiej. Działał aktywnie w Grupie Krakowskiej, z której tylko on i Maria Jarema przeżyli wojnę. Udzielał się w teatrzyku „Cricot". Po zajęciu przez Niemców Krakowa, schronił się we Lwowie. W 1941 roku został postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Cudem udało mu się przeżyć własną śmierć. Zdarzenie to opisał K. Filipowicz w „Krajobrazie niewzruszonym". Do końca wojny przebywał na Węgrzech. W 1945 roku wrócił do Krakowa. Lata 1949—50 spędził w Paryżu. Aktywnie uczestniczył w życiu polskiej awangardy malarskiej. Został profesorem ASP. W 1957 roku reaktywowano Grupę Krakowską, której jest członkiem. Jerzy Zanoziński we „Współczesnym malarstwie polskim" tak scharakteryzował jego twórczość: *„Obrazy Sterna sprzed 1939 roku ujawniały elementy kubizmu i surrealizmu, a ponadto i przede wszystkim abstrakcji ekspresyjnej. W twórczości powojennej artysta nawiązywał do swych poszukiwań sprzed wojny, coraz wyłączniej skłaniając się ku abstrakcji. W ciągu lat pięćdziesiątych stworzył szereg kompozycji inspirowanych przez obrazy Kandinsky'ego z początku lat dwudziestych. W kompozycjach tych podstawową rolę odgrywa przestrzeń z zawieszonymi w niej amorficznymi formami o dynamicznych układach. Napięcie emocjonalne tych obrazów podnosi koloryt, budowany z ostrych zestawień tonalnych. W latach sześćdziesiątych artysta przeszedł na eksperymenty strukturalne, a następnie, po roku 1964, na komponowanie obrazów z naklejanych skór i ości rybich. W obrazach tych daje on wyraz swym najbardziej osobistym przeżyciom, wynikającym z poczucia przemijania i śmierci"*.

Jerzy Jurczyk — Co zadecydowało, że zechciał Pan odbyć tak długą podróż z Krakowa do Szczecina.

Jonasz Stern — Chciałem sprawdzić co się dzieje, co artyści robią i jaka jest ich postawa. Jakie mają marzenia, czego chcą. Interesuje mnie co się dzieje w Polsce.

J. J. — W ciągu bardzo pracowitych dwóch dni jury uporało się z selekcją prac nadesłanych na Festiwal i rozdało nagrody. Ma więc Pan prawo być zmęczonym. Mimo to jednak, korzystając z niezwykłej okazji, jaką jest Pański pobyt w Szczecinie, chciałem prosić o podzielenie się swymi wrażeniami.

J. S. — Niewiele dostrzegam skupienia. Malują pod festiwal, pod wystawę. Brakuje refleksyjności. Oni wpadają w konflikt. Niby chcą być bardzo moderne, czyli antyestetyczni — bo estetyka to nudziarstwo — a mimo to zaczynają na nowo estetyzować. Jest tendencja do brutalizowania. A przy tej całej brutalności jest jakiś ukryty sentymentalizm. Trochę grafomanii też jest.

Artyści robią duży wysiłek. Tylko mnie niepokoi jakaś ich duża dezorientacja. O wysiłku świadczy ilość prac. Miałbym jednak sporo do zarzucenia szkołom, jak przyglądam się tym młodym artystom. Te szkoły może zanadto „uczą" i z tego powodu może ci młodzi są tak mało autentyczni. Malarstwa, sztuki nie można nauczyć. Tak samo jak nikogo nie można nauczyć miłości. To musi już być w człowieku zakodowane. A każdy jest przecież inny. Zawsze przy korekcie zaznaczałem, że to, co mówię jednemu studentowi, nie dotyczy drugiego. Musiałem robić duży wysiłek, aby nie wejść brutalnie w psychikę młodego człowieka. Pedagogika, jeśli chodzi o sprawy sztuki, to jest niezwykle trudna rzecz.

J. J. — Cnotą pedagoga...

J. S. — Jest sympatia dla studenta. Musi ona być zresztą obustronna. Nie żadne tam rygory. Tresura... To wyzwala tylko potem jakieś urazy. Jest to sprawa zachowania czystości psychiki ludzkiej. W obrazie zawsze wychodzi na jaw, co się dzieje w człowieku. Nie ma znaczenia czy będzie to malarstwo przedmiotowe, czy abstrakcyjne. Obojętne. Łatwo to odczytać, jeśli się choć trochę stosuje zasady psychologii głębi. Od razu widać co jest w człowieku. Prowadziłem jakiś czas rysunek. Jest model. Widzimy przecież wszyscy jednakowo. Przychodzę, widzę jeden wydłuża, robi jakąś gotycką sprawę, drugi natomiast barokową. Jeden jest ascetyczny, drugi zmysłowy. To się uzewnętrznia w sztuce. I co ja mam wówczas do powiedzenia.

J. J. — Pan pozwalał ujawnić się temperamentowi studenta.

J. S. — Temu, co jest w nim istotne, co w nim drzemie. Nie chcę mówić o osobowości, bo jest to już sprawa dłuższej pracy. Jeden jest bardziej sentymentalny, inny brutalny. Te sprawy, rzec można uwarunkowane są genetycznie. Mnie, jako profesora malarstwa to nawet żenowało. Często z korekty wychodziłem bardzo zawstydzony. Przychodziła mi ona z trudnością, albowiem zdawałem sobie sprawę, iż bardzo mało wiem o drugim człowieku. Nie znam jego dzieciństwa, nie wiem co on robił, gdzie się kształtowało jego oko? Z jakich powodów nagle chciał zostać artystą? Dopiero po latach te sprawy się ujawniają. Jak byłem na akademii, mówiłem: „Dajcie od razu studentowi dyplom". — Uczelnia sama nie uczy. Uczy się człowiek od swoich kolegów. Wspólna wymiana myśli, wzajemna rywalizacja. Ja, proszę pana, najwięcej się nauczyłem od moich kolegów. Od moich profesorów niewiele.

J. J. — W Pana wypadku zaszedł taki istotny moment, że został Pan wydalony w 1934 roku.

J. S. — To jest inna sprawa. To już była nasza rebelia. Najwięcej się nauczyłem od moich kolegów. Nawzajem się kształtowaliśmy. Ale z uczelni absolwenci wychodzą tacy sami jak profesor, a czasem nawet lepsi. To jest kompromitujące dla profesora, jeśli ma naśladowców. W sztuce najcenniejsza jest autentyczność.

J. J. — Jeśli Pana ideą jest, aby uczeń nie przypominał mistrza, to odniósł Pan sukces. Widać to na przykładzie malarstwa Pana uczennicy, znakomitej Teresy Bujnowskiej, która mieszka w Szczecinie.

J. S. — Ale tam klimat mój istnieje. Klimat! W moim klimacie oni się kształtowali.

J. J. — Zewnętrznych podobieństw jednak na próżno byłoby szukać.

J. S. — To byłoby dla mnie żenujące, gdyby ktoś mnie naśladował. Z jakiej racji? Ja jestem ja, a tamten jest on. Muszę mieć szacunek dla mojego studenta. Staram się widzieć w nim artystę, który kiedyś w pełni dojdzie do głosu. Dlaczego ma powtarzać to, co ja zrobiłem? To już wystarczy. W sztuce nie można niczego powtarzać. Heine kiedyś powiedział: „Ten, który pierwszy porównywał kobietę do róży był poetą. A następny, który to robił, był grafomanem".

J. J. — Czy jako juror festiwalu rozglądał się Pan za pracami swoich uczniów?

J. S. — Szukałem, ale nie było. Bujnowskiej i Kalinowskiej-Motkowicz nie było... Tylko Jacek Rykała. Kiedyś u mnie studiował. Ten co tę ławkę zrobił. W każdym razie dał jakąś inną propozycję. Nie tylko tego malowania na płótnie.

J. J. — Festiwal szczeciński istnieje już prawie od 20 lat. Co sądzi Pan o idei tej imprezy?

J. S. — Teraz każde województwo ma festiwal. My mamy „Spotkania Krakowskie". To dobrze, że są. W ten sposób powstaje jakieś ożywienie w mieście. Ludzie się zaczynają sztuką interesować. A sztuką warto się interesować.

J. J. — Mam wątpliwości czy zainteresowanie sztuką jest powszechne w naszym społeczeństwie.

J. S. — To jest sprawa wychowania w szkole, która winna wyrobić potrzebę obcowania ze sztuką. Są ludzie, których interesuje malarstwo, innych muzyka, a jeszcze innych poezja. Nie trzeba się wszystkim interesować. Trudno dociec, dlaczego akurat na wystawę chodzą ci ludzie, a nie inni. Ja nie mówię o malarzach, bo oni chodzą.

J. J. — Malarze są specyficzną kategorią widzów.

J. S. — No tak, bo to jest już sprawdzanie siebie samego.

J. J. — Sądzę, że malarzom jest niezbędne bywanie na wystawach. Trudno przecież tworzyć „w wieży z kości słoniowej".

J. S. — Z tym jest różnie. Nie każdemu jest to konieczne. To są bardzo złożone sprawy. Im jestem starszy, tym mniej wiem, jak to jest.

J. J. — Proponuję wrócić do sprawy powszechności odbioru sztuki.

J. S. — Malarstwem interesuje się młodzież. Średnie pokolenie bardzo mało. Mieszkam w Krakowie, mieście uniwersyteckim. Obserwuję na wystawach, że profesorowie uniwersytetu, czy inni, są takimi samymi ignorantami, jeśli chodzi o plastykę, jak robotnik ze wsi. Może nawet ten robotnik ma jakieś zdrowsze spojrzenie. Nie jest obciążony konwencjami jak oni.

J. J. — Weźmy za przykład Pańskie malarstwo. Czy jego odbiorcą może być każdy?

J. S. — Może. Pod warunkiem, że będzie z nim obcował przez jakiś czas. Mam sprzątaczkę, kobietę ze wsi. Jak zobaczyła moje obrazy, jej pierwsze pytanie było „Co to oznacza?". Powiedziałem: „Nic nie oznacza. To jest malarstwo". Dziś ona potrafi powiedzieć: „Ten obraz się panu udał". Dla mnie bardzo ważne są jej uwagi. Nie jest ona żadnym filozofem, jednakże przez fakt obcowania ze sztuką wyrobiła sobie własne rozeznanie. To samo z muzyką. Trzeba słuchać muzykę, aby mieć to „ucho". Identycznie z malarstwem. Trzeba chodzić na wystawy a nawet mieć w domu jakiś ulubiony obraz. Ze sztuką trzeba obcować.

J. J. — Nie zawsze jednak znajdzie się w odpowiednim momencie ktoś, kto jak Pan odpowie na sakramentalne pytanie: „Co to oznacza?"

J. S. — Kiedyś zapytano Beethovena po zagraniu jakiegoś utworu: „co to oznacza". Więc siadł do fortepianu i jeszcze raz zagrał to samo: „to właśnie to oznacza". Jak wiadomo, trudno słowami wytłumaczyć, co widzi oko. Nigdy to nie jest w pełni adekwatne. I tu popełniają błąd nasi krytycy. Oni nie mają narzędzi do rozpatrywania spraw współczesnej sztuki. Owszem znają historię i potrafia rozpatrywać to, co było dawniej. Przenoszą ten warsztat do sztuki współczesnej. To nieporozumienie.

J. J. — Kto wobec tego mógłby być tym idealnym przewodnikiem po problemach współczesnej sztuki? Czy sam artysta?

J. S. — Dzieło. Ono winno mówić samo za siebie. Jeśli mówi, to dobrze. A jak nie, to zostawmy je, nie warto się nim zajmować.

J. J. — Widzę, że wierzy Pan w naturalny instynkt odbiorcy, który pomaga mu odrzucić to, co jest niedobre, martwe?

J. S. — Tak, wierzę w instynkt. Każdy człowiek ma i słuch, i oko. To kiedyś Mandelsztam powiedział: „Sztuka jest jak list w butelce rzucony do oceanu. Kto go znajdzie, będzie jego właścicielem". Powiada się często, iż sztuka winna się sprawdzać poprzez zapotrzebowanie społeczne. W tym względzie jestem heretykiem. Sztuka się sprawdza tylko poprzez swoje istnienie. Ona musi zaistnieć. A zapotrzebowanie społeczne jest dalszą sprawą. To zależy od stopnia wyrobienia społeczeństwa. Jeśli będzie tym zainteresowane — dobrze. Jak nie — trudno. Obserwuję nasze społeczeństwo. Interesuje się ono jednak bardziej sportem, samochodami. Sztuką ludzie bardzo mało się interesują. Są wąskie kręgi. Nie chcę przez to powiedzieć, że sztuka jest elitarna. Należy robić wszystko, aby te kręgi się rozszerzały. Taka powinna być droga upowszechniania sztuki. Pamiętam, był rok 1951. Budowano Nową Hutę. Czuliśmy się moralnie zobowiązani, by w tym środowisku robotniczym zrobić wystawę. Byli to głównie ludzie ze wsi. Urządziliśmy wystawę w baraku, który był im potrzebny do czego innego. Na drugi dzień znaleźliśmy pocięte obrazy. Dzisiaj, po 30 latach, ich dzieci chodzą na wystawy, dyskutują. Są tam ogniska kultury plastycznej, w których malują takie abstrakcyjne obrazy. Ich ojcowie buntowali się przeciwko temu.

J. J. — Widzę, że patrzy Pan optymistycznie...

J. S. — Sprawa czasu. Nie wolno działać nachalnie. To musi dojrzewać.

J. J. — Szkoła, jak powiedzieliśmy, ma ważną rolę do spełnienia.

J. S. — Muszą jednak być w niej ludzie autentycznie kochający sztukę. Prawdę mówiąc, jak na razie szkoły nie mają pod tym względem dostatecznie wykształconych nauczycieli. Dzieci są chłonne, trzeba im jak najwięcej pokazywać.

J. J. — Czy taka wystawa, jak festiwal może być pomocna w nauczaniu rozumienia sztuki? Przecież można się tu zagubić — tyle tendencji, kierunków...

J. S. — Jeden będzie pyskował, że mu się nie podoba. I to bardzo dobrze. Drugi znajdzie coś dla siebie. Każdy powinien samodzielnie dokonać wyboru. Nie jest ważne, czy podoba się lub nie. Istotne, czy w ogóle widz reaguje na pracę człowieka, który uczynił pewien wysiłek.

J. J. — Pomówmy jeszcze o festiwalu.

J. S. — Ja Panu powien, obecnie w sztuce jest chaos. Nie tylko u nas, na całym świecie. Są ludzie, którzy uciekli od malarstwa. Mam na myśli konceptualistów. Nie krytykuję tego. Dokonali oni z całą pewnością poważnego wkładu do sztuki. Jednak wielu odrzuca obraz. Nie można wszystkiego odrzucać, bo cóż wówczas zostanie? Pustynia. Daleki jestem od postawy negacji. Z pewnością na płaszczyźnie obrazu można jeszcze bardzo dużo powiedzieć. Nie można szukać na siłę nowych środków. Jak się działa na siłę to wychodzą jakieś dziwolągi.

J. J. — Co jest dla Pana najważniejsze w obrazie?

J. S. — To, co malarz miał do powiedzenia. A jeśli nie ma nic do powiedzenia, to po co malować?

J. J. — Ktoś może mieć wiele do powiedzenia i nie posiadać środków, by to wyrazić.

J. S. — To musi te środki sobie znaleźć. Kiedyś któremuś ze znanych malarzy, nie pamiętam dokładnie, któremu zarzucano w jakimś sporze, iż nie umie malować. „No tak, ale ja mam coś do powiedzenia" — odparł. Nie jest sztuką nauczyć kogoś malować. Wielu ludzi ma smykałkę do malowania, ale nie mają nic do powiedzenia.

J. J. — Czy na to, aby malarz miał „coś do powiedzenia", wpływa również bagaż jego przeżyć osobistych?

J. S. — Oczywiście. Jego dzieciństwo, całe życie dotychczasowe i to kim jest. Jeden np. chce, aby się podobało. Maluje więc pod gusta, a tym samym z miejsca jest zgubiony jako artysta. Musi bowiem dostosować się do sposobu i poziomu myślenia zamawiającego. Zdradza wtedy samego siebie. Jak malarz zaczyna się zanadto podobać to znaczy, że nie jest z nim dobrze.

J. J. — Wprawdzie artysta powinien mieć jakiś „dzwonek alarmowy", lecz w naturze ludzkiej leży to, iż się chcemy podobać.

J. S. — Ano właśnie, lecz to trzeba przezwyciężać. Być może widz się będzie buntował. Trudno. Niech on się buntuje. Ale po roku, czy po dwóch latach on przyjdzie i zacznie jakoś te sprawy rozumieć, czy odczuwać. Do obrazu trzeba wracać i to wielokrotnie. Chociaż mam wielu malarzy, którzy kiedyś bardzo mi się podobali, a dziś nie mogę na nich patrzeć. Nie dlatego, że oni są źli, tylko ja jestem inny. My się zmieniamy i ciągle inaczej widzimy.

J. J. — Mówił Pan, że na kształtowanie się malarza mają wpływ kontakty koleżeńskie. A więc Pana ukształtowała Grupa Krakowska, ta z okresu przedwojennego.

J. S. — Oczywiście. Bardzo dużo mam do zawdzięczenia moim kolegom. Każdy z nas coś innego wniósł. W czerwcu ubiegłego roku zorganizowano w Krakowie wystawę przedwojennej Grupy Krakowskiej. Dała ona przegląd naszego ruchu.

J. J. — Jak Pan patrzy na tamte czasy? Czy porównywalna jest chociażby sytuacja młodych malarzy?

J. S. — Nie można porównywać. To, co można było wówczas robić, nie jest dziś możliwe do realizacji. Warunki do rozwoju artystycznego są dziś korzystniejsze. Ile dziś jest nagród, stypendiów, domów akademickich? Tego nie było. Nas czternastu mieszkało w jednym pokoju.

J. J. — Może zbyt cieplarniane są dziś te warunki?

J. S. — Bez przesady, cieplarniane to one nie są. Dziś młodzi mają też swoje problemy, konflikty. Dziś, żeby być malarzem, czy chociażby studentem trzeba ponosić duże koszty. Farby, płótno to są bardzo drogie rzeczy. Uprawianie sztuki wymaga poświęceń. To jest jedno wielkie ryzyko życiowe. Chociaż nasi artyści też już dziś wylądowali na drobnomieszczańskich ideałach. Przed związkiem plastyków — pełno samochodów.
Po co artystom samochody?

J. J. — Ułatwiają życie.

J. S. — Ale jakie życie? Stają się więźniami tych samochodów. Ja bym mógł już mieć pięć samochodów. Ale nie chcę. Nie chcę. Bo zatkał bym sobie całą moją wyobraźnię samochodem. Czy wycieraczka działa, czy nie ukradli, czy mi opony nie przebili... Po co mi samochód? Artyście to nie jest potrzebne. W Osiekach jestem na plenerze, nagle wszyscy zajeżdżają samochodami, a ja jestem ten „bidak". Ale z wyboru.

J. J. — Mówi się, to jest wręcz slogan, iż sztuka jest zaborcza, zachłanna.

J. S. — Sztuce trzeba się poświęcić. To nie jest zawód, tylko zamiłowanie. Ale niektórzy robią sobie z tego zawód. Sytuacja artysty jest ciężka. To nie jest normalny człowiek. Ilekroć, ktoś do mnie przychodzi i mówi, że chce się dostać na akademię, mówię: „Odczep się pan, bądź normalny, idź inną drogą". To jest ryzyko życiowe. No, ale jak już koniecznie chce, to proszę bardzo, będzie moim przyjacielem. Ale zawsze ostrzegam. Lepiej się nie bawić z ogniem! W ogóle sztuka i środowisko artysty to jest substancja nie do zorganizowania. Niby robi się związek plastyków, festiwale, to czy tamto. A jednak jest to materia trudna do zorganizowania.

J. J. — Artysta jest zawsze sam.

J. S. — Tylko w samotności może się coś zrodzić. W tym jest ten plus dla artysty, że nie jest od nikogo zależny. I dlatego nie wszyscy chcą być artystami. Pracuje kiedy chce. To jest to szczęście artysty, że jest niezależny. Nie musi być na określoną godzinę w pracy. Nie podlega żadnym programom. Jest wolnym człowiekiem. Tylko nie wszyscy potrafią tę wolność odpowiednio wykorzystać.

J. J. — Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: **JERZY JURCZYK**

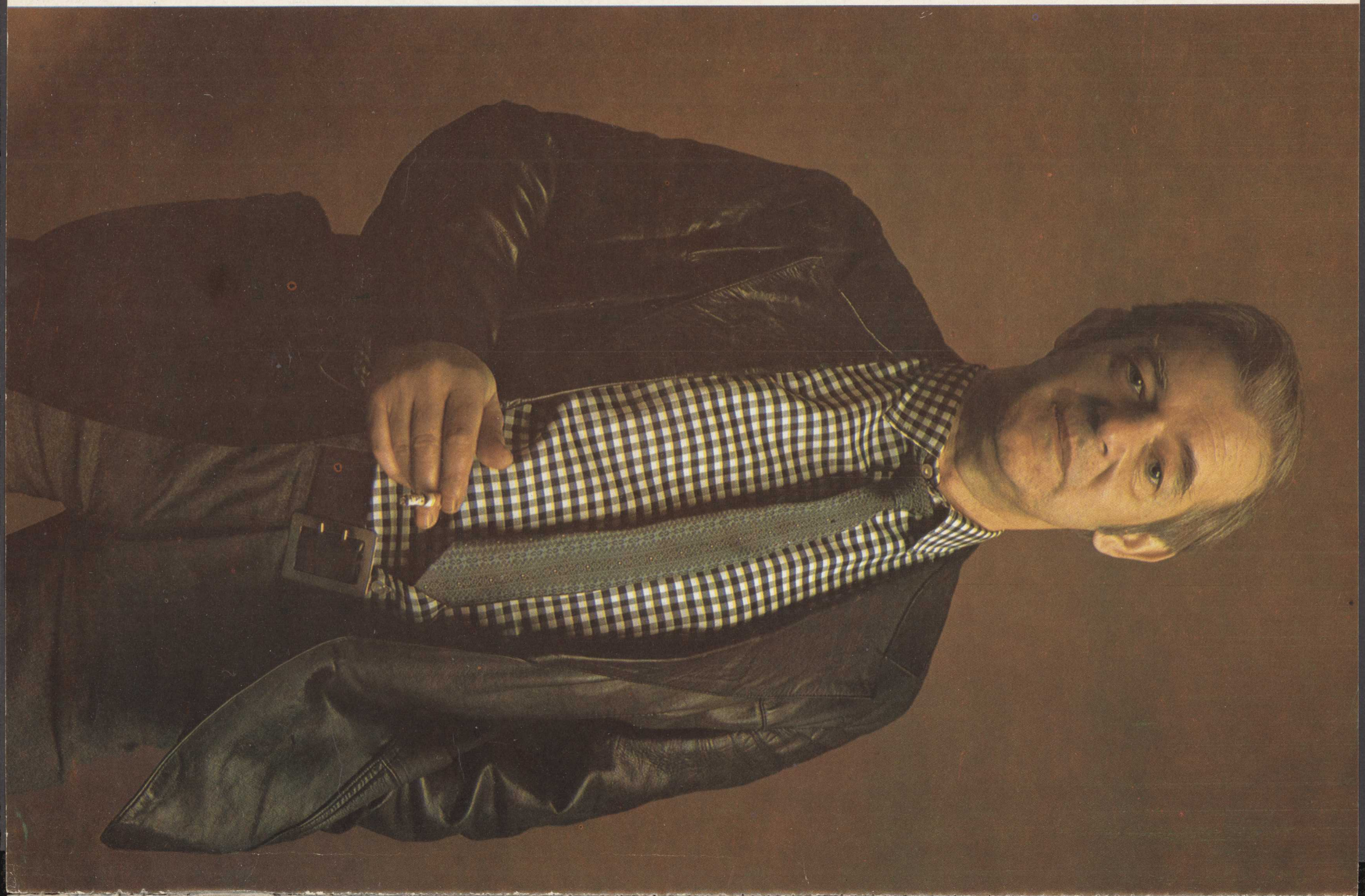
JERZY ZABŁOCKI — „Pejzaż z wyobraźni I" — olej, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego

JERZY ZABŁOCKI — „Pejzaż z wyobraźni I" — *olej*, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — Grand Prix

Fot. W. Termanowski



RYSZARD LISKOWACKI *Fot. Z. Ryngwelski*



RYSZARD LISKOWACKI

Jeżeli człowiek

Jeżeli człowiek znów zbiegnie
do schronu
jeżeli zbiegnie po kamiennych schodkach
aby uchronić oddech przed płomieniem
aby się zamknąć w betonowej trumnie
jeżeli człowiek...
To nikt mu już kwiatów
ani Bądź Wola Twoja
ani garści ziemi —
Słoik konfitur schowanych na zimę
pęknie jak granat
słodycz już rozleje
później zastygnie na twarzy człowieka
i taka będzie słodycz
umierania.

Ukrzyżować!

Gdybym miał 33 lata
dałbym się ukrzyżować
i Piłata
wziąłbym za świadka
że wszystko to było
sprawą przeznaczenia
że krzyż czekał już na mnie
zanim mnie poczęto —
Ale zbyt stary jestem
by na krzyżu konać
Ale zbyt młody jestem
by ruszyć ten kamień
który zamroził słowa
epoką lodowca —
Odejdźcie ludzie dobrzy
spod mojego okna
nie zagram już tej roli
zmieniłem scenariusz —
To ja umyję ręce
To ja z Barabaszem
przywiodę wam Piłata
na drogę krzyżową...

Wróciłem z rezerwatu

Wróciłem z rezerwatu dzikich
ludzi —
widziałem przez lornetkę jak leżą
na skałach,
śpiączka krew im uśpiła,
liżą chore łapy,
w dogasających oczach
został blady obraz
ostatnich wielkich łowów
i obfitej uczty —
a teraz pogodzeni z tym
co ma nastąpić
pójdą po raz ostatni
nad brzeg błotnej rzeki,
nikogo już nie spłoszą
swym królewskim rykiem
i nawet antylopa
nie zejdzie im z drogi —
Wzywam wszystkich myśliwych
wszystkich z bronią w ręku,
przybądźcie tu przed zmierzchem
na ostatni odstrzał,
niech zarażeni śpiączką
zginą w pięknej walce,
zabijcie ich szlachetnie
bo zdechną nad brzegiem —
i zakopcie ich ciała
bo sępy już krążą

Wieczerza (II)

... i dłonie mi pokażcie
i odchylcie oczy —
czerwona plama wina
to nie moja wina —
Umarł karp na półmisku
wieczerza się kończy
koniec jest jak początek
więc trzeba zaczynać —
Powiadam wam
spłonęła w lichtarzu przysięga
dzwoni wam krew żałobnie
bo już świt się zbliża —
Piotrze ty też odejdziesz
tam gdzie cień nie sięga —
Piotrze twój strach jest świętszy
od mojego krzyża.

ARTUR LISKOWACKI: — Przychodzili dziennikarze robić z tobą wywiad. Pytali: dlaczego pan tyle pisze o wojnie? Czy to obsesja, powracająca pamięć? A może po prostu ucieczka od współczesnego tematu? Pytali siak i owak, ale zawsze czuło się w tym jakąś utajoną pretensję: pan sobie pisze o strzelaninach, bitwach i dzielnych żołnierzach, a tu tymczasem, jak mówi Wyspiański: „rzeczywistość skrzeczy"... Pamiętam zresztą polemiki wokół „Pamiętnika z powstania warszawskiego" Białoszewskiego. Dyskusje żarliwe, bo skromna, w gruncie rzeczy, w zamyśle książka, prędko stała się odskocznią do sporu o literaturę wojenną w ogóle. A w dalszej kolejności, co było już zupełnie pozbawione sensu, spierano się o postawy wobec wojny jako takiej: czy Mironek dobrze zrobił schodząc do piwnicy? Czy nie lepiej by uczynił chwytając za karabin? Nie bez kozery przypominam ci tamte dyskusje, bo może po raz pierwszy tak oficjalnie sformułowano w naszej krytyce literackiej pewne pretensje w stosunku do polskiej literatury wojennej. Profesor Janion wypowiadała się wtedy szeroko o batalistycznej „tromtadracji", uważając Białoszewskiego za jedynego twórcę, który od tej głupawej tradycji odszedł.. Ty pisałeś „o wojnie" od początku — od debiutanckiej powieści „Po tamtej stronie życia" — aż do ostatnich w kolejności „Ballad okrutnych"... Także teraz jesteś w trakcie pisania tej niemodnej, batalistycznej prozy... Kiedy tak się zastanawiam dochodzę do wniosku, że nie napisałeś chyba żadnej książki dla dorosłych, która nie byłaby choć odrobinę związana z tym tematem.

musi być motywem wiodącym. I jedynym. W moim pisarskim widzeniu DZISIAJ to także te wszystkie odległe już sprawy, konflikty, które tkwią nadal w świadomości pokoleń wojennych. Myślę tu o powikłaniach polskich losów, o specyfice naszych doświadczeń z jakich zrodziło się i dojrzewało NOWE. Przecież powojenna polska rzeczywistość to nie tylko podnoszenie kraju z ruin, ale także ostra polityczna walka trwająca nie jeden miesiąc i nie jeden rok. Polityczne podziemie przekształcało się często w zwyczajne terrorystyczne bandy, a ostatnia taka banda („Ryby"), działająca w województwie białostockim, zakończyła swój żywot dopiero w 1957 roku. Od Manifestu Lipcowego do ogłoszonej w 1947 roku amnestii, zginęło z wyroków podziemia ponad 12 tysięcy cywilów, a w walkach z podziemiem straciło życie, w tym samym czasie, około 4500 żołnierzy, czyli dwa razy więcej niż w bitwie kwietniowej nad Odrą.

Żyją przecież dzisiaj, tworzą, aktywnie pracują pokolenia Polaków znających tamte sprawy z autopsji. Czy więc moje książki o wojnie, ale i o narodzinach władzy ludowej, takie chociażby, jak „Dzień siódmy i znowu pierwszy", „Kto grzeszył", „Teraz, zawsze, nigdy" nie mają związku z naszą współczesnością?

Interesują mnie, jako pisarza, sytuacje, w których człowiek poddawany jest ciężkiej próbie, w których nie ma zbyt dużych szans na zwycięstwo. Czasami właśnie porażka ukazuje najwierniej prawdziwe oblicze człowieka, wyzwala w nim to, co w naszych poczynaniach najistotniejsze, a nawet najwartościowsze. W moich powieściach, opowiadaniach bohaterowie często przegrywają, lecz będę się bronił, gdy ktoś powie, że są to książki pesymistyczne. Tylko w grze na loterii szybko można się dowiedzieć, kto naprawdę wygrał, a kto przegrał. Życie nie jest loterią fantową. W życiu bywa i tak, że zwycięstwa okazują się porażkami. Powiesz: przekora, gorycz. Odpowiem: to też

ROZMOWA OJCA

RYSZARD LISKOWACKI: — Ależ ja nie piszę prozy batalistycznej. Nawet takie książki, jak „Powrót z tamtego brzegu", „Ballady okrutne", dotyczące bitwy konkretnej, osadzone w historycznych realiach, pozbawione są przecież wielkiej batalistyki. Piszę o ludziach, dla których wojna była wielką próbą życia. Często tak znaczącą, że doświadczenia z okopów, z lasów, z obozów miały przemożny wpływ na powojenną codzienność. Czy można zresztą mówić o książkach dotyczących wojny ostatniej, że to modny lub niemodny temat? Jeżeli trzydzieści pięć lat po wojnie ludzie nadal bardzo chętnie takie książki kupują, czytają, jeżeli istnieje i świetnie prosperuje specjalistyczne wydawnictwo (MON), zajmujące się wyłącznie tego typu literaturą, to chyba znak, że problem tkwi głębiej, w każdym razie poza obszarem nadpływających i odpływających koniunktur.

Mówisz, że nie napisałem żadnej książki całkowicie oderwanej od wojennego tematu. A jednak napisałem jedną. Dziewiętnaście lat temu. Tytuł tej powieści („Koniec próby") mogę dzisiaj traktować trochę przekornie i symbolicznie. Mogę powiedzieć na przykład: próbowałem dobrać się do współczesności, nie bardzo mi to wyszło i... koniec próby. Ale mówiąc poważniej, nie uważam, by moje książki o wojnie, o moralnych, politycznych, ideowych konfliktach w pierwszych latach powojennych, były jednoznaczną ucieczką od współczesności. Czy naszą współczesność można tak dokładnie określić przy pomocy kalendarza? Czy początkiem współczesności był koniec wojny? A może lata pięćdziesiąte? Czy nie byłoby pewnym uproszczeniem, gdybyśmy, o współczesności mówiąc, mieli na myśli tylko te dni, w których obecnie żyjemy?

Oczywiście istnieją sytuację, w których WSPÓCZESNOŚĆ należy w taki praktyczny i dosłowny sposób traktować. Dzisiaj to dzisiaj. Ale w literaturze dosłowność nie się liczy w naszych doświadczeniach. Podobny klimat odnajduję w bliskiej mi twórczości Bykowa, Bondariewa, Okudżawy...

A. L.: — I podobny klimat odnaleźć można również w rosyjskich filmach wojennych. Od „Ballady o żołnierzu" i „Lecą żurawie" aż po „Gorący śnieg" i „Wniebowstąpienie". Nie przez przypadek zresztą — bo są to bardzo często ekranizacje dzieł autorów, o których mówiłeś... Ale wojna to moim zdaniem temat niebezpieczny szczególnie, pozorna oczywistość moralna pewnych sytuacji wytrąca twórcy z ręki wiele atutów. Łatwo wtedy o poetykę westernu, w której jest miejsce tylko na czarne i białe charaktery. Z drugiej strony również wielkim uproszczeniem jest dla mnie tworzenie na siłę pomostów ponad frontami i udowadnianie pacyfistycznych haseł przy pomocy naiwnej formuły, że we wrogich okopach siedzą tacy sami, miłujący pokój, ludzie. Remarque chyba się jednak trochę zestarzał, nie ze swojej winy zresztą. To, co oferowała światu ostatnia wojna przybrało tak apokaliptyczny moralnie wymiar, że jedyną reakcją ocalonych od zagłady musiała być okrutna proza Borowskiego...

R. L.: — Poczekaj. Powiedziałem, że pisanie o wojnie nie zawsze jest ucieczką od współczesności. Dawałem nawet przykłady, ale muszę to wyjaśnić jeszcze precyzyjniej, boś przytoczył Remarque'a, który, jak rzekłeś, zestarzał się, chociaż trudno zaprzeczyć, iż obraz wojny w jego książkach jest obrazem wstrząsającym.

Remarque pisał o wojnie, która była wielką potworną rzeźnią, ale na frontach. Nastał pokój, skończyła się fron-

towa rzeź i wszystko zaczęło się po staremu. Co prawda na wschodzie narodziło się państwo, które wstrząsnęło światem, lecz stary świat zdołał przecież powrócić do równowagi. Natomiast koniec ostatniej wojny stał się początkiem zasadniczych, niespotykanych w tej skali historycznej, przeobrażeń w wielu krajach Europy. To nie była wojna toczona wyłącznie pod dyktando generałów, sztabowców. Po raz pierwszy chyba tradycyjne pojęcie: front, stało się tak wieloznaczne. Frontem były domy, ulice, lasy, getta, obozy koncentracyjne. To była wojna narodów. I chodziło w niej już nie tylko o ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem, lecz także o to, aby po zwycięstwie zmienić stare, społeczne porządki. Mam taką książkę: „Lubelska prasa konspiracyjna 1939—1944". Zawarto w niej dziesiątki artykułów pochodzących z tajnych gazetek o różnym zabarwieniu politycznym. Te gazetki i artykuły świadczą nie tylko o złożoności życia politycznego, ale także o rozbudzeniu politycznej świadomości społeczeństwa. Spierano się o wizję przyszłej Polski, o programy społecznych reform. Słowo: wolność, już nie wystarczało. Chciano wiedzieć: jaka wolność? I w takim klimacie zaczął się, między Odrą a Bugiem, kształtować nowy ustrój. I nie można było uniknąć ostrych konfliktów. Łatwiej przecież na gruzach nowe domy zbudować, niż w tym samym czasie dokonać przebudowy całych systemów wartości. Tak więc, gdy Remarque pisał o wojnie, o zakończonej historii już pisał. Natomiast dla nas ta wojna ostatnia była i najcięższą prób, i wielką, przeogromną tragedią, a nowej historii początkiem. Sądzę, że między innymi dlatego i pisarze, i czytelnicy chętnie do tego tematu wracają. W tym, jednym temacie są odpowiedzi na dwa bardzo ważne pytania: jak się skończyło i jak się zaczęło? Jaki miała początek nasza współczesność?

A. L.: — Wrócę jeszcze na moment do losów jednostkowych, do problemów moralnych przed jakimi stają wojenni bohaterowie twoich książek. Wspomniałeś już o tych przegrywających, którzy przecież w ostateczności — wygrywają jednak. Znajdują ów symboliczny diament połyskujący, jeśli nie na dnie popiołu to we frontowym bagnie. Ale to, co mogłoby być czystym, jednoznacznym uogólnieniem osadzone bywa u ciebie w tak precyzyjnie naszkicowanej scenerii, wśród realiów odtworzonych z taką pedantyczną dokładnością, iż zastanawiam się czy cała wartość symboliczna nie zginie w tym natłoku dokumentalnych faktów...

R. L.: — Odczuwam tę sprawę zupełnie inaczej. Aby czytelnik mógł uwierzyć w prawdziwość losów bohatera, musi uwierzyć w autentyczność świata, w którym ten bohater żyje. To nie jest ogólny wyznacznik zadań literatury. Mam po prostu na myśli prozę otwartą na wszelkie doświadczenia formalne, nie stawiającą barier, gdy chodzi o kształt kompozycyjny, o konstrukcję stylistyczną, ale prozę osadzoną w konkretnych realiach i faktach. W takiej prozie wartości symboliczne pobrzmiewają fałszem, jeżeli fałszywa jest wartość scenerii, realiów.

Różnie interpretowano „Pamiętnik z powstania warszawskiego", o którym wspominałeś, ale Mironek chodzi przecież po ziemi twardej, konkretnej. Komuś może nie odpowiadać ekspresja językowa tej książki, komuś innemu filozofia życiowa Mironka. Nikt jednak nie powie, że to, co Miron słyszy, widzi, przekazuje jest niezgodne z realiami warszawskich ulic i piwnic podczas powstania warszawskiego.

Przyznaję, iż dużą wagę przykładam do scenerii, do tak pedantycznie gromadzonych faktów, że może się to komuś wydać przesadą. Zmusza mnie jednak do tego tematyka moich książek. A może i wiara, iż fakty mówią czasami same za siebie.

Gdy Zbigniew Załuski czytał, jako juror konkursu moje „Ballady okrutne" sądził, że „Ballady..." napisane zostały przez kogoś, kto zna z własnych doświadczeń bitwę pod Siekierkami. Tak mi powiedział po rozstrzygnięciu konkursu. I miałem wtedy nie tylko satysfakcję, miałem świadomość, że jeżeli Załuski, uczestnik forsowania Odry, zaufał tej książce, to zdobędzie ona chyba i szersze zaufanie. To jest odpowiedź na twoje wątpliwości. Czy w natłoku dokumentalnych faktów zginęła w tej książce symbolika losów żołnierskich?

Nie sądzę, abyśmy musieli lękać przed tematem, któremu na imię: wojna, ale zaskakują mnie takie wypowiedzi, jak na przykład Adama Fiali w „Nowym Wyrazie". Gdy pisze, że problematyka wojenna jest już dla niego od kilku lat sprawą zamkniętą, że w sensie artystycznej wypowiedzi wojna go nie interesuje, nikt mu nie może mieć tego za złe. Pisanie o wojnie nie jest przecież obowiązkiem. Gdy jednak dodaje, że bardziej jest zainteresowany, między innymi takimi sprawami, jak Atlantyda i UFO, odczytuję w tym głupie pozerstwo...

A. L.: — Zacytowałeś Fialę, skręcamy więc jednak w końcu ku współczesności. I to tej reprezentowanej przez pióra młodszych pisarzy. Panuje tu straszny tłok, prawdziwy targ dusz... Nie dziwi mnie więc specjalnie, że któryś z tego ścisku stara się być programowo obojętny wobec „tamtych spraw". Zawsze to oryginalna wypowiedź, jeśli zbulwersuje. A przecież o bulwersujące wypowiedzi coraz trudniej w literaturze. Trzeba aż Sandauera, żeby ten i ów poczuł się urażony, a inny zakipiał gniewem... Młodzi twórcy na tematykę wojenną patrzyli zawsze z pewnego rodzaju rezerwą, mówię oczywiście o tych, urodzonych po wojnie. Może to i uzasadnione społecznie, pokoleniowo, ale i naiwne w gruncie rzeczy... Tylko jeden odruch, nie zawsze zresztą uświadamiany sobie przez najmłodszych literatów, trafia mi do przekonania: myślę o tym naturalnym oporze wobec lansowanej na siłę, prymitywnymi czasem środkami, postawy baśniowo-heroicznej. Tej, która każe pokoleniu lat wojny zapewniać synów i wnuków, że jedynym sprawdzianem ludzkiej wartości w czasach okupacji było prościuchno pojmowane bohaterstwo, i że świat dzielił się wtedy na złych i dobrych. Dobrymi byli oczywiście zawsze „nasi", a nad całym okupacyjnym horyzontem jaśniała łuna czystości i poświęcenia... Szkoda tylko, że opór wobec tak szkodliwego obrazu tamtych lat, staje się, często zupełnie automatycznie, niezgodą na całą polską literaturę wojenną.

R. L.: — Literatura wojenna to książki dobre i złe. Wielki temat nie jest automatycznie recptą na wielką literaturę. Ja także miałbym pewne wątpliwości, gdyby mi kazano wierzyć wyłącznie w ową łunę czystości i poświęcenia. Różnie podczas okupacji bywało, w czasach pokoju też przecież nie brakuje zwyczajnych szubrawców.

Nie sądzę jednak, aby synowie i wnukowie musieli popadać w moralne frustracje z powodu postawy ich ojców i dziadów w latach wojny. Można się spierać o detale, lecz detale nie zmienią ogólnego faktu. Społeczeństwo pol-

Z SYNEM

skie dawało w tamtych latach przykłady największych poświęceń, wyszło z pożogi z czystą twarzą. Byliśmy jedynym wśród okupowanych narodów, który nie zrodził Quislinga, lecz jeszcze bardziej mi chodzi o naszą okupacyjną codzienność. Codzienność? Dzisiaj nawet uświadomić sobie trudno, że każdego wojennego dnia mordowano około 3 tysięcy Polaków.

Denerwuje ciebie ten prymitywny przekaz w tonacji baśniowo-heroicznej? Dzisiaj nie jest żadną sztuką wnoszenie zastrzeżeń i poprawek do tak ukazywanych postaw. Chciałbym ci natomiast przypomnieć, że już w czasie wojny, po ukazaniu się książki „Kamienie na szaniec", młodzi czytelnicy i konspiratorzy dyskutowali zawzięcie czy w taki właśnie liryczno-heroiczny, biało-czarny sposób należało ukazać historię Zośki, Rudego, Alka... Taką dyskusję można było wtedy podjąć tylko w klimacie wielkiej dojrzałości moralnej i ideowej. I w takim też klimacie rodziła się poezja Baczyńskiego, która przecież tak chętnie jest czytana dzisiaj przez młodych.

A. L.: — Mówimy: wojna, postawy moralne, heroizm, idee, poświęcenie, wybór, bohaterstwo; wciąż się zastanawiam czy problem tkwi rzeczywiście w kontekście historycznym tych kategorii, które aż proszą się o wielkie litery? Czy cała ta niechęć do literatury wojennej proponującej wersję świata uwikłanego w konflikty wielkich idei, świata ludzi walczących o wartości najwyższej życiowej wagi, nie jest przypadkiem niechęcią wobec jakiegokolwiek twórczego zaangażowania, jakiegokolwiek sporu? Sporu, w którym nikt by się nie wstydził mówić o życiu, śmierci, prawdzie, miłości i cierpieniu. Młodzi literaci ostatnio coraz chętniej dają wyraz swojej bezradności wobec tych problemów, zapewniają, iż rzeczywistość tak się skomplikowała, że na jednoznaczne postawy, obiektywne idee, nie

ROZMOWA OJCA Z SYNEM

ma w niej miejsca, że wolę nie dopowiedzieć, niż skłamać, zarejestrować na chłodno, niż sfałszować w artystycznym zapale. Ja im się nawet nie dziwię, że czasami „nie widzą" co jest czarne, a co białe. Nie dziwię im się też, że stracili wiarę — w słowa, w wielkie słowa, w wielkie sprawy. Sam jestem młody. Znam smak tych rozterek. Ale nie potrafię, nie chcę zrozumieć jednego — dlaczego — mimo wszystko — nie próbują pytać? Dlaczego boją się sparzyć na gorącym, dlaczego nie ryzykują? Przecież tworzenie — to prawo do pomyłek, bo twórczość to wieczne poszukiwanie. Niby to banał, a jednak... Momentami mam wrażenie, że więcej w najmłodszym literackim środowisku konformistów (a konformizm zabije sztukę) niż w pokoleniach ich poprzedników, wobec których moi rówieśnicy przyjmują tak często buntowniczą, wrogą nawet postawę... Oczywiście upraszczam, znalazłoby się przecież kilku twórców, z mojego, mówiąc bardzo umownie, pokolenia, którzy na takie zarzuty absolutnie nie zasłużyli, znalazłoby się też kilka haseł, będących realizacją zaangażowanego programu, ale przecież parę nazwisk nie odmieni ogólnego stanu rzeczy, a pusto brzmiące deklaracje — nie stworzą literatury...

R. L.: — Parę nazwisk to już dużo, szczególnie wtedy, gdy mówi się tylko o jednym pokoleniu. Może więc nie jest aż tak źle?

A czy te uniki, większa ochota do penetrowania obszaru słów niż obszaru problemów to tylko sprawa młodych? Oni się może tylko łatwiej odkrywają, z większą niefrasobliwością manifestują swe postawy, bo nie nabyli jeszcze odpowiedniej taktyki i rutyniarstwa. Na początku zawsze jest więcej haseł przekornych, manifestów i głośnego bicia w bęben, później przychodzi naturalne zmęczenie i pisarzowi zostaje już tylko tyle sił... aby pisać.

Twórcze zaangażowanie, literatura zaangażowana? Problem niby jednoznaczny, konkretny, a przecież ciągle wywołuje niezliczone dyskusje i spięcia. Prawdopodobnie dlatego, że ten konkret każdy widzi po swojemu. Łatwo powiedzieć: zaangażowanie to nieobojętność, ale to znowu ślepa uliczka. Nieobojętność wobec kogo, wobec czego? Jedno jest w każdym razie pewne, iż wiek pisarza nie stanowi żadnego klucza do rozstrzygnięcia tego problemu. I młodzi i starzy mają bowiem ten sam rów do przeskoczenia.

Jeden ze szczecińskich pisarzy napisał powieść o szczecińskiej fabryce, o ludziach tej fabryki. Można przyklasnąć. Czeka się na takie powieści. Ale znowu znak zapytania: na takie? Zanim książka ukazała się w księgarniach już zaczęły się spory zasadnicze nader, bo pisarz pragnął ukazać rzeczywiste konflikty i prawdziwe twarze załogi, a inni czekali na to, że będą to twarze świąteczne...

Słyszymy często: książka ma uczyć, wychowywać, uzdrawiać. Zgoda. Ale czy w czasie nauki nie stawia się dwójek, czy wychowanie odbywa się bez konfliktów? Czy leczenie zawsze jest bezbolesne, a lekarstwo musi być słodkie?

A młodzi pisarze... denerwujesz się, że nie próbują pytać. Jestem optymistą, zapytają. Mówisz, że boją się sparzyć. Zbyteczne zmartwienie, na pewno się sparzą, bo taka jest prawidłowość życia. Literackiego też...

A. L.: — Oczywiście, mówiąc o zaangażowanej literaturze nie miałem na myśli literatury służebnie apologetycznej, literatury prostych odpowiedzi i jednoznacznych prawd. Zaangażowanie to zresztą klasyczne „brzydkie" słowo. Łatwo nim twórcę ogłupić, łatwo zniechęcić... W gruncie rzeczy nie jestem wcale zgorszony poszukiwaniami Kirscha, Schuberta czy Andermana, niepokoję się raczej o dalszy ciąg tych poszukiwań. Bo to, co w pierwszych książkach było szukaniem formalnej, warsztatowej nieomal drogi, wiodącej, poprzez językowe meandry, do samodzielnych, nieznanych dotąd artystycznych światów, w kolejnych książkach tych pisarzy — stało się lub stać może, ślepą uliczką lingwistyki, zaś w praktyce twórczej — nużącą manierą... A ja cenię najwyżej, także jako czytelnik, literaturę niespokojną, nawet uwikłaną w sprzeczności, nie dopowiedzianą do końca, wątpiącą, ale i zdecydowaną, odważną, stawianą wciąż, i stawiającą swoich odbiorców, wobec problemu wyboru. Mówiłeś o Baczyńskim, przypomnę go tu o tyle, iż sięgnę do motta jakim opatrzył swój wspaniały zresztą, poemat „Wybór". Motto pochodzi z wiersza Liberta, pt. „Jeździec": „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę"...

R. L.: — W każdej chwili musimy wybierać, podejmować decyzje. Chyba, że pragniemy chodzić po bocznych ścieżkach, że wystarczają nam nie tylko półprawdy, ale zgadzamy się żyć półżyciem...

ARTUR DANIEL LISKOWACKI

Hejnał

pokonuję codziennie tyle stopni
żeby zagrać nad miastem
o czerwonych dachówkach
sygnał czasu
z wieży wariackiej
hejnał przerywany nagle
życiową stylizacją
na śmierć
wiem że zejdę
będę nawet biegł na dół
po dwa trzy stopnie
to najprostszy dowód
na siłę przyciągania.

1977/80

* * *

od wieków nie widziałem jaskółek
gdzie ten niepokój te skrzydła
komu tnie przy ustach
pierzasta czarna lotka

po moich lasach już nie krążą wilki
za moim oknem już nie krzyknie puszczyk
gdzie ten niepokój

czytam gazety
białe jak opłatek
czasami tylko czarna ramka
wiersza obok równe szeregi
liter osłonecznione kolumny
lato nad morzem śródziemnym

gdzie ten niepokój dawno
nie widziałem jaskółek uderzających
skrzydłem o wodę
na burzę

na niebie
nie ukazują się komety dwugłowe
cielęta rodzą się rzadko
gdzie ten niepokój
jeśli nie we mnie

Epoka żaglowców

dobre były morza w których drzemały potwory
tyle było wtedy nieodkrytych ziem ognistych
wysp taka daleka była każda podróż
i ludzie tak cudownie bliscy gdy za oceanem
żyły stwory o ptasich głowach olbrzymy
z jądrami jak dorodne melony
dobre były morza błogosławione dziewicze puszcze
białe plamy czarnego lądu
zamieszkałe przez ludojadów i nieulękłych
badaczy barw motylich skrzydeł
złoto było wtedy tańsze
niewolnicy silniejsi i gładsi
a ludzie serdeczni na swoich kwitnących
plantacjach wśród urodzajnych żon
dobre były morza błogosławione oceany
tak dumnie w nich tonęły najśmiglejsze żaglowce.

Panie doktorze

panie doktorze niech mnie pan wyleczy
ze mnie i z tego co we mnie
nie moje niech mi pan zapisze
jakieś ziółka bieg po zdrowie spacery
nie mogę zasnąć czerwienieją oczy
od czytania pod kołdrą
nieprzyzwoitych książek gimnastyka
może zagraniczne proszki
panie doktorze niech mnie pan wyciągnie
z tej choroby wieku męczy mnie
wieczny trądzik niezaspokojenie
zła przemiana materii
w ducha postępu
panie doktorze pan podobno czyni cuda
mówili nawet niewierzący —
co będzie ze mną
z moją zachłanną nieuleczalną
młodością.

STANISŁAW TELEGA

Spotkania, rozmowy i znów listy

cz. II

Niezależnie od przytoczonej tu korespondencji specjalny urok i wrażenie pozostawiły bezpośrednie spotkania z Salińskim czy to na jego wieczorach autorskich czy też w węższym, domowym gronie: u mnie, u Ł. Niewisiewicza czy P. Wiszniewskiego. Stałymi gośćmi takich spotkań byli np. u mnie, w gronie liczącym 20—30 osób, plastycy: Ł. Niewisiewicz, H. Boelke i H. Naruszewicz; pisarze: Pachlowski, Papuga czy (przez pewien czas) J. G. Kamiński, przygodnie zaś St. Flukowski, St. Strumph-Wojtkiewicz, Wł. J. Grabski i inni oraz różni ludzie morza. Rozmowy miały zawsze bezpośredni i żywiołowy charakter, pełny wesołych spięć i gwałtownych dyskusji. Były coraz żywsze i coraz ciekawsze w ostatnich czterech latach jego życia. Skończyła się już bowiem jego twórczość związana z dalekimi morzami, przeszły czasy wspominków z tamtych lat („Ptaki powracają do snów", 1964) i „Long play warszawski", 1966), a zaczynał się nowy okres poszukiwań tematycznych i artystycznych. Materiały te czy szkice do powieści nosiły nawet roboczy tytuł **„Jutro w Szczecinie"** i pod takim tytułem umieściłem o tym wzmiankę w moim eseju pt. **„O pisarstwie St. M. Salińskiego"**[1]. Saliński który ten artykuł czytał prosił, abym w ewentualnym przyszłym wydaniu, skreślił tytuł jako zbyt przejrzysty i krępujący. Tytuł jednak wyraźnie wskazywał kierunek jego dalszej drogi twórczej. W związku z tym w ostatnich czterech latach jego życia, przyjazdy do Szczecina stały się coraz częstsze, jego stosunek do miasta i grupy przyjaciół jeszcze cieplejszy. Rozmowy nawet najciekawsze, są ulotne, pozostają więc jako dokumenty — listy, których częstotliwość bardzo się zwiększyła w tym czasie.

Wróćmy więc do listów, raczej do ich fragmentów dotyczących Szczecina.

W a r s z a w a, 4 III 1965 r. „Z planów marcowych przyjazdu do Szczecina na razie nici, natomiast wszystko sobie układam tak, aby być w Szczecinie na kilka dni w pierwszej dekadzie kwietnia. **Strasznie brak mi szczecińskiego «ducha».** W Warszawie coraz bardziej pierniczeję..."

W a r s z a w a, 16 III 1965 r. „Z uciułanych wolnych dni uzbierało mi się kilka i planuję przyjazd do Szczecina w niedzielę... **A poza tym stęskniłem się za Szczecinem. To dla mnie zawsze ożywczy prysznic.** A jakoś czuję się zapyziały..."

W a r s z a w a, 4 X 1965 r. „...6 jadę do Gdańska na spotkanie pisarzy polskich z pisarzami krajów skandynawskich... zostanę tam na cały czas, urwę się z końcowego «wódopoju» i **do Warszawy wrócę przez Szczecin,** pobywszy dzień w Szczecinie...".

W a r s z a w a, 13 XII 1965. „Dziękuję za przyobiecane spotkanie w Klubie Oficerskim. Już to jedno mnie urządza, gdyż pokryje koszta podróży... Ale, kochany — chodzi o coś więcej: o Flukowskiego, któremu poprzysięgłem wspólny pobyt w Szczecinie **(Flukowski jest, wyobraź sobie, oczarowany Szczecinem, czego o was, szczeciniakach, rzec nie można...)** Brak mego udziału w Waszej szampańskiej nocy pomału odchoruję. Ech, **ckni mi się za Szczecinem...** Z niecierpliwością czekam na «Głos Szóstki», wobec tego piękny ukłon dla panny Aty..."[2]

W a r s z a w a, 4 XII 1965 r. „Wspomniałem w kartce z Katowic, że prawdopodobnie niebawem wpadnę do Szczecina, bo musiałem być w tych dniach w Gdańsku i zamierzałem wracać do Warszawy przez Szczecin. Ale właśnie dziś otrzymałem wiadomość, że ta impreza... została przesunięta. A szkoda, bo ta gdańska impreza nęciła mnie tylko ze względu na Szczecin. Ale trudno Ale już teraz zakreślam sobie w kalendarzu przyszłorocznym trzy razy czerwonym ołówkiem w trzeciej dekadzie stycznia: S z c z e c i n! **Niech się wali, niech się pali, a przyjadę, bo już coś za dawno w Szczecinie nie byłem. Coś nie w porządku...".**

W a r s z a w a, 14 I 1966 r. „...Ja natomiast przyjadę. **Już wytrzymać bez Szczecina nie mogę. Faktycznie, może i masz rację, że jestem „duchem zamieszkały w Szczecinie".** A propos «duchowy»... Pewnie znacie w Szczecinie ten numer londyńskiej «Kroniki»... z reportażem Tutkowskiej o Szczecinie, w którym na serio napisała, **że jestem honorowym obywatelem Szczecina.** Musiałem sprostować, że nie i «Kronika» sprostowanie dała".

W a r s z a w a, 20 II 1966 r. „...Otóż na 3 marca jestem zaproszony do Poznania na «czwartek literacki»... Tak czy inaczej — Poznań jest w połowie drogi do Szczecina, **a do Szczecina mnie aż świerzbi. Bardzo chciałbym wracać do Warszawy z Poznania przez Szczecin".**

Z listów wynika, że cały niemal 1966 rok poświęca naszym szczecińskim sprawom, przede wszystkim tzw. Sejmikowi Marynistów, który miał się odbyć w jesieni tego roku. Kłopocze się więc i denerwuje, gafami, jakie robią dwaj jego główni, beztroscy, ale oficjalni szczecińscy organizatorzy, którzy włączyli go do komitetu organizacyjnego z ramienia ZLP, ale nie raczyli o tym zawiadomić oficjalnie Zarządu Głównego ZLP, co sprawiło mu wiele kłopotów właśnie przy załatwianiu spraw organizacyjnych. Impreza ta była w sumie dość żałosną, prowincjonalną uroczystością, skrytykowaną potem ostro zarówno w „Głosie Szczecińskim", jak i m. in.. we „Współczesności", „Kierunkach" czy „Literach". Tak, z tej „mąki" chleba nie było, jak się potem mówiło, a Salińskiemu napsuło to dużo krwi. Nie czuł się wówczas zdrowym, otrzymaliśmy nawet pierwszy groźny sygnał o jego chorobie. W rezultacie, lekarze zalecili mu miesięczny pobyt w sanatorium w Kołobrzegu. Po powrocie stamtąd napisał w liście z 22 XI 1966 r.

„Drogi Staszku! No, więc melduję powrót do Warszawy na stare śmieci. Czuję się nieco pokrzepiony, jednak co miesiąc pobytu nad morzem to miesiąc, ale nie zanadto. Dalszy ciąg wszelkich chemikalów już tu w Warszawie. **Stanowcze zalecenie, abym pomieszkał na dłużej w klimacie nadmorskim, chociażby i w Szczecinie.** Kto wie, może po Nowym Roku zorgazuję sobie dłuższy pobyt w Szczecinie, zwłaszcza że popisałoby się tam, a popisało! Bo o pisaniu w Warszawie mowy nie ma. Cholerne miasto. A popisać trzeba... Czekam na adres Piotrusia i chociażby krótkie wiadomości — **co tam w moim Szczecinie? Stęskniłem się za nim".**

Wtedy to zaczęliśmy się zastanawiać, jak mu pomóc w ulokowaniu się na dłużej w Szczecinie. Już nie na tydzień czy dwa, jak dotychczas, ale co najmniej na miesiąc. Zresztą jak można było nie zareagować nawet na takie, żartobliwie wyrażone drobiazgi, ale jakże znamienne dla Szczecina, a tym samym dla nas.

K r a k ó w, 23 I 1967 r. „Kochani! Zamierzałem zamienić Szczecin na Kraków, ale to nie to. Nie ma Wałów, nie ma «13 Muz», a Wisła całkiem rzeczna rzeka. Nie! Zostaję przy Szczecinie. Nie ma na to rady".

---

[1] **Almanach Szczeciński** 1965, Rocznik Kultury i Sztuki

[2] Chodzi o wywiad przeprowadzony przez moją córkę, uczennicę Liceum Nr 6 w Szczecinie, z Salińskim, w szkolnym pisemku „Głos Szóstki". Warto przy sposobności dodać, że niezależnie od tego, inna uczennica tego samego Liceum, Ucia Niewisiewicz, sporządziła jako pracę domową z polskiego piękny album poświęcony Salińskiemu, w którym umieszczała wszystkie dostępne jej fotografie, recenzje z książek pisarza, a nawet wywiad z nim. (D. Kret, Niebieski album Łucji, „Spojrzenia", nr 26, 1979). Drobne, ale jakże znamienne fakty!

Albo list z Warszawy, 11 II 1967 r. **„Ale ckni mi się do Szczecina bardzo. Naprawdę! Szczecin ma coś takiego, co dobrze działa mi na różne moje zajoby. Nie wiem czy to miasto czy wy w nim, ludzie... Więc chcę jechać do Gorzowa przez Szczecin...** I tu i tam będę, jak przewiduję, opory — **po co Szczecin, na co Szczecin, znów Szczecin! Co ty tam w tym Szczecinie masz, co cię tam tak ciągnie?"** (to żona). **Co wy tam, towarzyszu, macie za interesy?"** (to sukin-szef).

No więc szukaliśmy tego „Lokum" dla niego, aż zupełnie przypadkowo znalazłem coś, co zarówno jego jak i nas wszystkich wprawiło w zachwyt. Oto pewni znajomi mojej żony wyjeżdżali na cały miesiąc i bez żadnych warunków ofiarowali na ten czas swój piękny domek wraz z ogrodem na Gumieńcach do dyspozycji Salińskiego. Oczywiście natychmiast zawiadomiliśmy go o tym. Odpisał zaraz.

W a r s z a w a, 9 VI 1967 r. „Kochani! Łamałem moją panią Salińską na temat Gumieniec (czy Gumieńców), łamałem, łamałem, aż wczoraj nadłamałem. Pomógł list Pani Reni (Dziękuję). Stanęło, że na sierpień instaluję się na Krzywej..."[1]

Cieszyliśmy się wzajemnie, planowaliśmy wspólne przyjęcia, spotkania, dyskusje tym bardziej, że tymczasem udało się Salińskiemu „wyskoczyć" do nas na parę dni, obejrzeć piękny domek i przysięgnąć nam jeszcze raz dozgonną przyjaźń. Potem czekaliśmy organizujac wszystko do najmniejszych szczegółów. I nagle — w przeddzień jego przyjazdu — krach! Znów choroba powaliła go do łóżka. Dostaliśmy rozpaczliwy list od żony, przerażonej symptomami jakiejś trudnej do rozszyfrowania choroby, a potem bardzo smutny list od niego samego z dnia 10 VIII 1967 r.

„...Najbardziej gnębi mnie ruina planów szczecińskich. Zanadto się cieszyłem na ten mój relaks i na możność nareszcie popisania trochę. Ruszenie z martwego punktu i choć najmarniejszego promyczka w ciężkiej chmurze umowy wydawniczej (wszystkie terminy dawno przeterminowane) No i specjalnie przykro mi wobec pp. Sajdaków, którym na pewno przysporzyłem kłopotów i, wobec których jak mi się wydaje, wyglądam na niesolidną świnię (raczej — na solidną)... Jakoś kiedyś postaram się wytłumaczyć przed nimi. Naprawdę, to jakaś wyjątkowa złośliwość losu. Wszystko było zaplanowane na «sto dwa», wszystko poustawiane i poukładane (nawet bilet trzy tygodnie temu kupiony). I wybuchło to dosłownie w ostatniej chwili. Myślę o tym wszystkim prawie z rozpacza... Jednak myśle, że do września wydobrzeję na tyle, że gdzieś po 1 września zjadę do Szczecina. Dziekuję za słowa przyjaźni i otuchy Kiedy się jest powalonym, pokurczonym, obolałym, zdeprymowanym do reszty - - takie słowa mają walor podwójny...".

Wygrzebał sie powoli z tej choroby, choć o wiele później niż przypuszczał. Był jakoś mniej ruchliwy niż przedtem, nie wolno mu było pić i palić, i zalecono bezwzględny spokój. Oczywiście stosował się na ogół do tych zaleceń, z wyjątkiem tego „bezwzględnego spokoju". Lubił podróżowanie, zmiany, towarzystwo, a już szczególnie nasze miasto. Więc znów dostaliśmy list, że przyjeżdża (z 29 VIII 1967 r.).

„Serdecznie będę wdzięczny i 13 września zjeżdżam do Szczecina, **bo wytrzymać bez Szczecina nie mogę.** Dziś równo dwa miesiące jak przekroczyłem most na Regalicy. Tak dawno, że już nie pamiętam, jak wygląda Regalica".

Przyjeżdżał więc jeszcze parę razy w tym roku. To na Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych, to znów w związku z projektem przeniesienia dotychczasowego grobu N. Rydzewskiej do Alei Zasłużonych, to wreszcie z jakiejś innej okazji. Pisał np. w liście z listopada tego roku. „...Dalej — w Szczecinie twardo będę, ale już po Gdańsku, to znaczy 1, 2, 3 grudnia... **A wracam do Warszawy przez Szczecin** i nic go to (szefa) nie obchodzi... **A gdybym do Gdańska nie pojechał to i tak twardo chcę do Szczecina".**

Mieliśmy potem bardzo piękne i miłe z nim spotkanie w Warszawie, gdzie pojechałem na Zjazd Klubu Marynistów z kazji X-lecia tej organizacji. Wspominam o tym dlatego, że spędziliśmy razem bardzo miły wieczór w jakimś lokalu, a potem w jego domu. I z tej właśnie okazji przysłał mi potem parę zdjeć i kapitalny „list z fiołkiem" á la Gałczyński, dotyczący mojej osoby. A potem, już niemal na zakończenie roku zaplanował nowy przyjazd (list z 6 XII 1967 r.). „U nas? No, szczęśliwie przewaliły się Święta. **Zaczynam coraz intensywniej tęsknić za Szczecinem (bo jakżeby inaczej).** Planujemy być w Szczecinie ze Strumphem po 10 stycznia" (1968).

Ostatni rozdział życia

Aż przyszedł ten przedostatni, jeszcze szczęśliwy, jeszcze pozornie taki sam, jak zawsze i tylko czasami zachmurzony — rok 1968. Mimo wielu i coraz to dłuższych pobytów w Szczecinie trwała między nami dalej bardzo ożywiona korespondencja — aż 21 listów i wiele kart pocztowych. Najwięcej na tematy literackie, w tym oczywiście dotyczące spraw Szczecina. Np. na temat uroczystej akademii dla uczczenia Niny Rydzewskiej w związku z X-leciem jej śmierci, którą to uroczystość zorganizowełm w Klubie „13 Muz" z jego właśnie udziałem. To znowu interesował sie żywo moimi wspomnieniami o Piętaku z okazji przygotowywanej przez J. Śpiewaka zbiorowej księgi wspomnień o tym pisarzu, która potem wyszła drukiem pt. **„Poeta ziemi rodzinnej"** (1970). Najwięcej jednak poruszyła go wzmianka o projekcie moich wspomnień z „Mojego Szczecina". Pisał więc 8 I 1968r.

...Planom na temat Twego «Mojego Szczecina» przyklaskuje oburącz. Mówisz, że historia puka do nas ze wszystkich stron, a zamiast cieszyć sie nia, musimy wspominać. A czort bierz historię, niech o nią martwią się potomni, a my wspominajmy, bo ten szmat naszej historii przeżytej, wart jest wspomnień. Nasze osobiste wspomnienia to nie sprawy osobiste, to są dokumenty... A co do naszych wspólnych zdjęć... jednak mamy. Mam z Tobą i Tymoteuszem Karpowiczem w ogródku radiowym pod magnolią, wszyscy trzej prawie o 20 lat młodsi, przystojni, pełni nadziei i wigoru. Też historia już... Potem mam też te Piotrusiowe wspólne nasze zdjęcie z jakiejś «studniówki». Ale to do rozdziału «Szczecińskie upiory nocy»... **A Szczecina mi brak, oj, jak brak. Tamten mój szczeciński zapas z grudnia już się wyczerpał...** Wracając jeszcze do tego naszego ze Strumphem nieudanego przyjazdu. W planie miałem, że zatrzymam się w Szczecinie na kilka dni. Byłbym na polu bitewnym z Twoim Kuźmą. No i nie wyszło. A żałuję. W każdym razie, gdybyś potrzebował sekundanta — służę. Przyjadę, przebiję się przez wszystkie burze i zawieje, na czworakach przedrę się ze Stargardu do Szczecina z zawalonego śniegiem pociągu, by Ci sekundować!".

Oprócz tych żartobliwych wzmianek pełno w jego listach pasji w sprawach organizującego się Stowarzyszenia Marynistów na miejsce Klubu Marynistów, służącego dotychczas raczej popularyzacji morza, a nie twórczości o morzu. To znowu dużo miejsca poświęcał gdańskiemu spotkaniu z pisarzami skandynawskimi, na które i ja miałem jechać.

I w każdym niemal liście powtarzają się te jego charakterystyczne westchnienia pod adresem Szczecina. Na przykład:

„Przekładamy przyjazd do Szczecina na połowę lutego. Trudno. Zanadto widocznie cieszyłem się na Szczecin. **Cholernie potrzebuję łyku Waszego powietrza..."** (13 I 1978 r.).

... „Proszą, abym był w poniedziałek, 25 marca, w południe w Szczecinie. Wspaniała woda na mój młyn, bo przecież wiadomo, że **dla mnie wszystkie drogi do Warszawy prowadzą przez Szczecin..."** (12 III 1978 r.).

... „Bardzo bym chciał choć ze dwa dni pobyć w Szczecinie... może wyślecie mi jakąś zapraszającą do Szczecina „bumagę", **a przyjechałbym w te dyrdy..."** (22 III 1978 r.).

Gdzieś w okresie letnim przed wyjazdem na wczasy zaprosiłem go na kilkutygodniowy pobyt do siebie, pozostawiając mu całą willę do dyspozycji. Był tym bardzo poruszony.

„Dziekuję, dziękuję i jeszcze raz dziekuję Wam Obojgu za perspektywę odsapnięcia i relaksu w Waszym zielonym raju. Bardzo bardzo tego potrzebuję. Warszawa i wszystkie sprawy domowe zmęczyły mnie do reszty" (22 7 1978 r.).

Ale mimo odpoczynku i relaksu symptomy groźnej choroby pojawiały się coraz częściej. Pewnego dnia oczekiwałem go w Szpitalu Kolejowym, gdzie wówczas pracowałem, chcąc porozmawiać z nim przed jego wyjazdem na spotkanie autorskie w Goleniowie. Przyszedł bardzo zmieniony i nieoczekiwanie poprosił o konsultację z lekarzami. A ci, po zbadaniu, nakazali mu od razu położyć się do łóżka w szpitalu! Początkowo był nawet z tego zadowolony, miał dobra opieke lekarską, bliskość nas wszystkich, odwiedzających go stale, ale potem nie wytrzymał nużacego pobytu i oczekiwań na coraz nowe badania lekarskie i zjawił się u mnie w domu. Po prostu uciekł ze szpitala i zamieszkał przez

[1] ulica Krzywa na Gumieńcach, u pp. Sajdaków

pewien czas u mnie radując się wolnością i spokojem. Tym bardziej więc nie traktowaliśmy jego choroby zbyt poważnie. Niestety, choroba była poważniejsza niż przypuszczaliśmy, toteż wkrótce musiał iść do szpitala warszawskiego. Po wyjściu stamtąd napisał obszerniej w liście z dnia 24 XI 1968 r.

„Kochany Staszku! Pierwszy mój list «z wolności». Wczoraj wróciłem po miesięcznym pobycie w Instytucie Reumatologicznym, gdzie przewentylowano mnie na wylot i w poprzek, na skos, pionowo i poziomo. Okazało się, że na takie przewentylowanie jest najwyższy czas, bo wiele spraw „in statu nascendi" jest jeszcze do pochwycenia i naprawienia. Które to sprawy — wyjaśni się niebawem w Klinice Neuro-Chirurgicznej, gdzie dobadają mnie do reszty. Potem zapewne posiedzę sobie w jakimś sanatorium (Ciechocinek albo Lądek-Zdrój)... A teraz pochwalę się: los łupnął we mnie nagrodą im. Pietrzaka. To taki «polski Nobel»... Rzecz jasna, że **za Szczecinem tęsknię cholernie, tym bardziej, że pejzaż ze szpitalnego okna na Mokotowie przypominał Szczecin.** Więc mi się czasem myliło czy to jeszcze mgły nad Odrą czy już dymy nad Służewcem. Ale na razie jakikolwiek mój wypad chociażby na kilka dni po porcję szczecińskiego tlenu (zresztą zaleconego mi jako środek leczniczy) przedstawia się mgliście. Chyba że pojadę do Ciechocinka przez Szczecin... Jak na razie bardzo czekam na krótką (w stylu telegraficznym, bo wiem, że nie masz czasu na obszerniejszy list i najzupełniej to rozumiem) relację, jak się z grubsza układają marynistyczne poczynania w Szczecinie. **Bo przecież sercem jestem z Wami, Wasz dozgonny rzecznik...**"

Po nagrodzie im. Pietrzaka i wielkim z tej okazji, jak pisał, „jublu", czekała go następna miła niespodzianka — uroczystość z okazji 40-lecia wydania „Opowieści morskich", przygotowana przez Stowarzyszenie Marynistów i grono warszawskich przyjaciół. Przesłałem mu z tej okazji serdeczne gratulacje, na co odpowiedział listem z 2 XII 1968 r. zapraszając nas na tę uroczystość i dopisując na końcu listu słowa.

„PS. Aleś mnie zagiął tym złotym piórem maczanym w błękicie morza i nieba. Mocna rzecz!".

Na warszawską uroczystość przybyło wielu gości z różnych stron. Ale tylko ze Szczecina zjawiła się solidarnie duża grupa działaczy i pisarzy z Oddziału ZLP i Stowarzyszenia Marynistów, co było dla niego miłą niespodzianką.

Wkrótce potem przyszedł jednak kryzys, jakiego nikt nie przeczuwał — nawrót choroby, która go położyła niemal na cały 1969 rok w szpitalach warszawskich. W tym fatalnym roku otrzymałem od jego żony tylko jeden list, że jest poważnie chory i drugi, już od niego z 17 II 1969 r. Odręczny — zwykle pisał na maszynie — i bardzo nieczytelny, nierówny.

„Staszku kochany — nareszcie w pozycji siedzącej — pierwszy list do Ciebie. Ale mnie połamało! Leżę w Lecznicy Rządowej (na wysokich «szczytach») i chyba jeszcze z miesiąc poleżę... Ostrzegam, ostrzegam, ostrzegam: nie daj się namówić na prezesurę Oddziału ZLP w Szczecinie. Narobisz sobie moc nieopłacalnych kłopotów i po co Ci to?".

Uśmiałem się z tej serdecznej rady, o której pamiętał nawet w takiej chwili. I bez tej prezesury „narobiłem" sobie zawsze moc nieopłacalnych kłopotów. Właśnie tym różniliśmy się w sposób diametralny. On nie był człowiekiem walki, unikał konfliktów, łatwo się poddawał, był miękki z natury, na ogół potrafił się przeciwstawić złu raczej w literaturze. Może dlatego znajdowaliśmy w sobie jakieś szczególne uzupełnienie. W każdym razie nawet w takich ciężkich chwilach pamiętał o nas, chciał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w Szczecinie. Niestety — już więcej nie mógł pisać, to był jedyny i ostatni w jego życiu list do mnie, i jak mi się zdaje — do innych.

Lekarze zalecili mu kompletny spokój, zupełną izolację od jakichkolwiek wzruszeń, samotność najcięższą z wszystkich samotności. Mimo to pisaliśmy do niego dużo, choć bez odpowiedzi z jego strony. Tak się złożyło, że i dla mnie był to ciężki, bodajże najcięższy rok w życiu. Wybierałem się do niego, mimo przekazywanych mi ostrzeżeń i zakazów lekarzy, wybierałem i nie mogłem się wybrać.

Aż pewnego dnia przyszła nieoczekiwana wiadomość o jego śmierci. Niewiarygodna, nierzeczywista i bolesna. A potem PAP doniósł w komunikacie prasowym.

„W poniedziałek, na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie odbył się pogrzeb wybitnego pisarza — St. M. Salińskiego... Na pogrzeb przybyła delegacja Oddziału Stowarzyszenia Marynistów i ZLP w Szczecinie, **z miastem tym bowiem szczególnie mocno związany był pisarz w ostatnich latach życia...** Zmarłego pożegnali: Stefan Flukowski, Zygmunt Lichniak, Stanisław Telega i Stanisław Strumph-Wojtkiewicz".

Żegnaliśmy go przemówieniami. Ale ja nie skończyłem swego przemówienia — płakałem. A zdawało mi się, że jestem twardym człowiekiem. No cóż, po prostu kochaliśmy go jako pisarza i jako człowieka. W tydzień później zorganizowaliśmy w Bramie Królewskiej „Wieczór wspomnień" o nim, wraz z ostatnim żywym jego słowem — z taśmy magnetofonowej. Wtedy też podjeliśmy uchwałę., aby Bramę Królewską przemianować na **Bramę im. St. M. Salińskiego.** Moim następcom po mojej rezygnacji z pracy w tej organizacji, przekazałem gotowy już projekt tablicy pamiątkowej wykonanej przez plastyka, M. Nyczke, oraz zgodę PŻM na pokrycie kosztów tej tablicy. Następcy moi tak intensywnie jednak myśleli nad rozszerzeniem szczecińskiej działalności Stowarzyszenia na cały kraj, że o tablicy zapomnieli i do dziś jej nie wykonali. Bramę zaś oddali w testamencie Klubowi „Ruchu" uzbrajając ją w muzeum broni. Nie zorganizowali też żadnej uroczystości związanej z tą bolesną rocznicą. Podobnie zresztą zapomniał o tej rocznicy Oddział ZLP w Szczecinie. Tylko Rozgłośnia Szczecińska pamiętała o niej i przeprowadziła ze mną dłuższą rozmowę na temat jego życia i twórczości. Pamiętał też o tej rocznicy warszawski Zarząd Główny Stowarzyszenia Marynistów oraz Polskie Towarzystwo Nautologiczne w Gdyni, na zaproszenie którego wygłosiłem tam odczyt o nim.

„Ostatnich kilka lat życia — pisze L. Prorok we wstępie do pośmiertnych wydań «Dzieł wybranych» Salińskiego (1972) — **wypełnia mu późna, lecz bardzo żarliwa miłość do Szczecina"** (s. 24).

Jak widzimy z przytoczonej tu dokumentacji nie było to tylko „kilka lat życia". Czy była to „miłość" do miasta? Można to i tak nazwać, gdyż coś z tego uczucia było niewątpliwie w jego stosunku do Szczecina. Temu uczuciu chciał też dać wyraz w ostatniej, zaplanowanej trylogii powieściowej z życia szczecińskiego portu, marynarzy i rybaków.

Ma więc Szczecin — jak rzadko które miasto — w swej tradycji znakomitego pisarza i najwybitniejszego współczesnego marynistę. Czy miasto odwzajemniło to uczucie? Czy wykorzystało wielką szansę jaką dać może taka tradycja — **w nazwie ulicy, nazwie statku, patronacie którejś szkoły, w tablicy pamiątkowej w Bramie Królewskiej, w konkursie marynistycznym jego imienia,** nie mówiąc **już o ewentualnym pomniku** w amfiteatrze portu czy na placu K. J. Gałczyńskiego, który to plac oczekuje na pomnik Gałczyńskiego, a mógłby pomieścić obu wspaniałych, bliskich sobie przyjaciół i pisarzy?

Ponad rok temu zwróciłem się do pewnego wydawnictwa, patronującego twórczości naszego miasta, z propozycją wydania „Księgi wspomnień o Salińskim", podając nazwiska kilkunastu dobrze mi znanych autorów, m. in., ostatnich żyjących jeszcze „kwadrygantów", którzy mogliby dużo i ciekawie opowiedzieć o Salińskim. Odpowiedziano mi bardzo uprzejmie, że „wobec licznych priorytetów publikacji Wydawnictwo nie widzi możliwości opublikowania tego typu książki w najbliższym czasie". Podobnie i jeszcze uprzejmiej odpowiedziało mi inne wydawnictwo specjalizujące się, m. in., w serii „portretów współczesnych pisarzy polskich". A przecież właśnie w bieżącym, 1979 roku, ukazały się dwie ciekawe pozycje wspomnieniowe. Jedna, licząca 426 stron pt. **„Sceptyk pełen wiary"**, poświęcona Stefanowi Otwinowskiemu i zawiera wspomnienia 39 autorów oraz wybrane fragmenty listów tego pisarza. W drugiej, liczącej 222 strony pt. **„O Magdalenie Samozwaniec"** pisze wspomnienia o niej kilkunastu autorów i przyjaciół. Obie wydało Wydawnictwo Literackie w Krakowie, w mieście związanym mocno z twórczością tych pisarzy.

No cóż, „pomnikami Kraków stoi" i tradycjami. Ale Szczecin potrzebuje ich bardziej i więcej. Dlatego apeluję do wszystkich przyjaciół i znajomych Salińskiego, do wszystkich prominentów kultury i literatury w Szczecinie — za dwa lata minie druga kolejna rocznica St. M. Salińskiego: 80 rocznica jego urodzin Będzie więc czas i okazja uczcić odpowiednio pamięć pisarza, który swoją twórczością marynistyczną i żarliwym umiłowaniem naszego miasta związał się z nim na stałe w szerszej, społecznej pamięci.

SZYMON KACZMAREK

z cyklu „galeria szeptów”
DZIECI MAKOWSKIEGO

wystraszone oczy dzieci makowskiego
patrzą na podwórko
odrapane z tynku
zepsute zabawki lalki bez włosów
krzyk w podwórku studni
a na parapetach pelargonie
w oknach pożółkłe zasłony
w śmiesznych czapkach dzieci makowskiego
chodzą sztywne wokoło podwórka
i cicho szepczą wiersze
te na śmierć
na miłość i
na pogodę
. . .
na parterze w oknie twarz starej kobiety
na parterze w oknie kwitną pelargonie
zapomniane przez słońce dzieci makowskiego
lalki bez włosów krzyk w podwórku studni
i cichy szept
ten na śmierć
na miłość i
na pogodę

SALA NUMER CZTERY

na sali numer cztery
mało myśli
i wiatr nie kołysze biodrami kobiet
na sali numer cztery
bielone ściany i barszcz
jeden chodzący i jeden już nie stąd
na sali numer cztery
przechodniów tłum
ktoś przestał oddychać
na sali numer cztery
życie rozpala swoje kolory
na dwoje spod okna
i na chodzącego
na sali numer cztery
poobiednia drzemka
szelest krajobrazu za oknem
cisza

* * *

wzrok niespokojny już trochę posiwiał
spod palców
na chwilę wymyka się cicho
gdy nikt nie widzi że patrzy nie widząc
z oczami wprost w ścianę
rzuconymi niedbale
ogarnia horyzont bliski niebezpiecznie
zatroskanym spojrzeniem
pamięć
czy aktem odwagi jest czy kaprysem tylko
zależałych komórek uśpionego mózgu
wstawionego w wazon zimny
wazon kamienny klatkę z butelką mleka
czekającą świtu cierpliwie

Uprawiam wielki rzeźbiarski teatr

W. HASIOR

Rozmowa z Władysławem Hasiorem

W lipcu 1975 r. na skarpie pod Zamkiem Książąt Pomorskich w Szczecinie odsłonięto rzeźbę plenerową jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich rzeźbiarzy, Władysława Hasiora zatytułowaną **„Płonące ptaki"**. To swoiste Hasiorowe theatrum, albo inaczej happening, uświetniło inaugurację VI Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych. Misterium połączenia wyciętych w blasze ptaków z żywiołem ognia obserwowały setki szczecinian. Zainteresowanie było tym większe, że kilka miesięcy wcześniej BWA zorganizowało pierwszą w Szczecinie wystawę prac tego głośnego i niezmiernie kontrowersyjnego artysty.

Podzamcze nie sprawdziło się jednakże jako miejsce ekspozycji **„Płonących ptaków"**. Przede wszystkim teren ten nie gwarantował rzeźbie pełnego bezpieczeństwa. Na skutek pewnych aktów przesadnej adoracji, **„Płonące ptaki"** trzeba było zdemontować. Powodem była także pobliska budowa Trasy Zamkowej. która zmieniła krajobraz Podzamcza.

Władze miejskie podjęły decyzję przeniesienia „Płonących ptaków" w inne miejsce. Władysław Hasior wybrał trawnik przy placu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. A więc, z otwartej przestrzeni rzeźba została przeniesiona w krajobraz gęstej zabudowy handlowego centrum miasta. W nowej scenerii jest to już inna rzeźba. Nad nową wersją **„Płonących ptaków"** Władysław Hasior pracował od grudnia 1979 do kwietnia 1980 w Hali Napraw Taboru Kolejowego Huty „Szczecin". Tam też zobaczyłem po raz pierwszy Hasiorowe ptaki w nowej szacie, oszałamiające niezwykłym bogactwem kolorów, przywodzące na myśl śmiałością zestawień barwnych sztukę ludową. Zaskoczenie było zupełne. Pamiętałem przecież **„Płonące ptaki"** w jednolitym, szarym „upierzeniu". 10 kwietnia 1980 r. na tle żarzących się jaskrawymi barwami ptaków, których działanie potęgował kontrast z mrocznym wnętrzem hali i czernią lokomotyw, przeprowadziłem rozmowę z Władysławem Hasiorem.

Jerzy Jurczyk: — Z pewnością u niektórych widzów wystawy „35 lat malarstwa w PRL" eksponowanej z dużym sukcesem w Poznaniu i Warszawie, zdziwienie musiał budzić fakt, iż znalazły się na niej prace rzeźbiarza, Władysława Hasiora. Wszystkich, mających zastrzeżenia do decyzji komisarza tej wystawy, zaprosiłbym do Szczecina, aby zobaczyli malowane, Hasiorowe „Ptaki".

Władysław Hasior: — Nie sądzę, żeby to był powód do wielkiego zdziwienia. Po prostu w zawodzie plastyka również umiejętność kojarzenia kolorów z sobą, mimo że ma się administracyjny przydział do sztuki rzeźbiarskiej, obowiązuje na każdym kroku. I tutaj ta moja próba posługiwania się przede wszystkim kolorem na formie rzeźbiarskiej — nazwijmy to rzeźba polichromowana — jest właśnie pierwszoplanowym środkiem ekspresji. Bardzo się cieszę, że tak mi to wyszło. Tak bardzo kolorowo. I cieszę się z tego, że uciekłem wreszcie od mojej przez długi czas przeważającej nuty poezji dramatycznej, tragicznej, że właśnie ta kompozycja w tej chwili ma cechy bardziej radosne, bardziej optymistyczne. Mam nadzieję, że wreszcie mnie przestaną przezywać jako najsmutniejszego człowieka w PRL.

J. J. — Tworząc pierwszą wersję „Ptaków" — na Podzamczu w 1975 r. — także chciał Pan stworzyć rzeźbę o radosnym, optymistycznym wyrazie. Jednakże szarzyzna, a także ogień spowodowały, iż pierwiastki dramatyczne w bardzo istotny sposób wpływały na obraz całości.

W. H. — Miały jakąś iskierkę dramatyczną, aczkolwiek rzeczywiście już wtedy bardzo chciałem, żeby to były ptaki radosne, fantastyczne. Z ciepłych krajów ptaki. Rajskie. Pomysł tych ptaków wywodzi się z legendy o „żar ptici", ptaku radosnym, na którego się oczekuje, za którym się tęskni. I właśnie wtedy, w 1975 roku, z racji tego, że była to realizacja bardzo pospieszna, nie dopięliśmy w pełni tych wszystkich akcentów, które by sprzyjały temu, że kompozycja byłaby odczytywana jako fantastycznie radosna. Teraz, dzięki bardzo dobrym warunkom pracy, jakie znalazłem w gościnnej Hucie „Szczecin", mogłem absolutnie do końca dopiąć wszystkie swoje intencje kompozycyjne, nastrojowe. Ogromnie się cieszę z tej współpracy i z tego, co, mam nadzieję, właśnie będzie moją pierwszą kompozycją o cechach wybitnie innych w rodzaju ekspresji.

J. J. — Nie wiem, czy mogę używać nadal nazwy „Płonące ptaki"?

W. H. — Właśnie, chyba stało się tyle nowego, tyle innego, że pierwotna nazwa nie jest w tej chwili w pełni adekwatna. Ptaki te nie będą płonąć. Z powodów racjonalnych po prostu. Trudno by je było zapalić paliwem płynnym. Oprócz tego spostrzegliśmy, że ten typ dodatkowej ekspresji po prostu niszczy powłokę blach i przyspiesza korodowanie. W związku z tym wymieniliśmy żywy ogień na efekt oświetlenia kolorowego i prawdopodobnie nie statycznego światła, a właśnie pulsującego, zmiennego. Podniesie to jeszcze atrakcyjność kompozycji. Liczymy na współgrę cieni, jakie się uzyska przez fakt oświetlenia. Cieni, które będą igrały na ścianach znajdujących się tuż za kompozycją na placu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

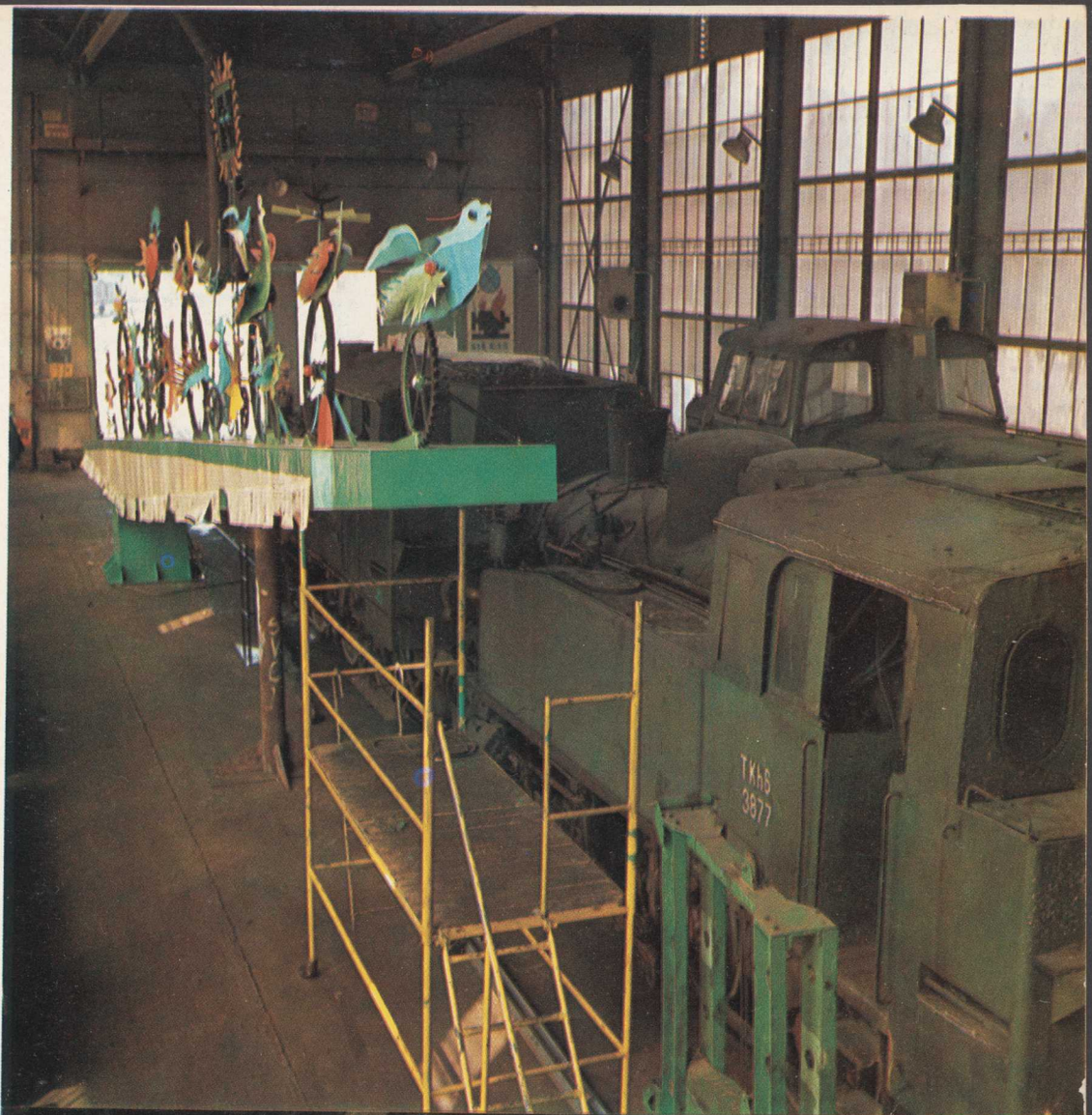
J. J. — Nowe miejsce usytuowania — bliskość zabudowań — chyba zmuszało do zmiany koncepcji.

W. H. — To też jest racja, że właśnie tu nie można było ryzykować wprowadzenia ognia, co było możliwe na Podzamczu.

J. J. — Czy w nowej wersji wykorzystano elementy kompozycji z Podzamcza?

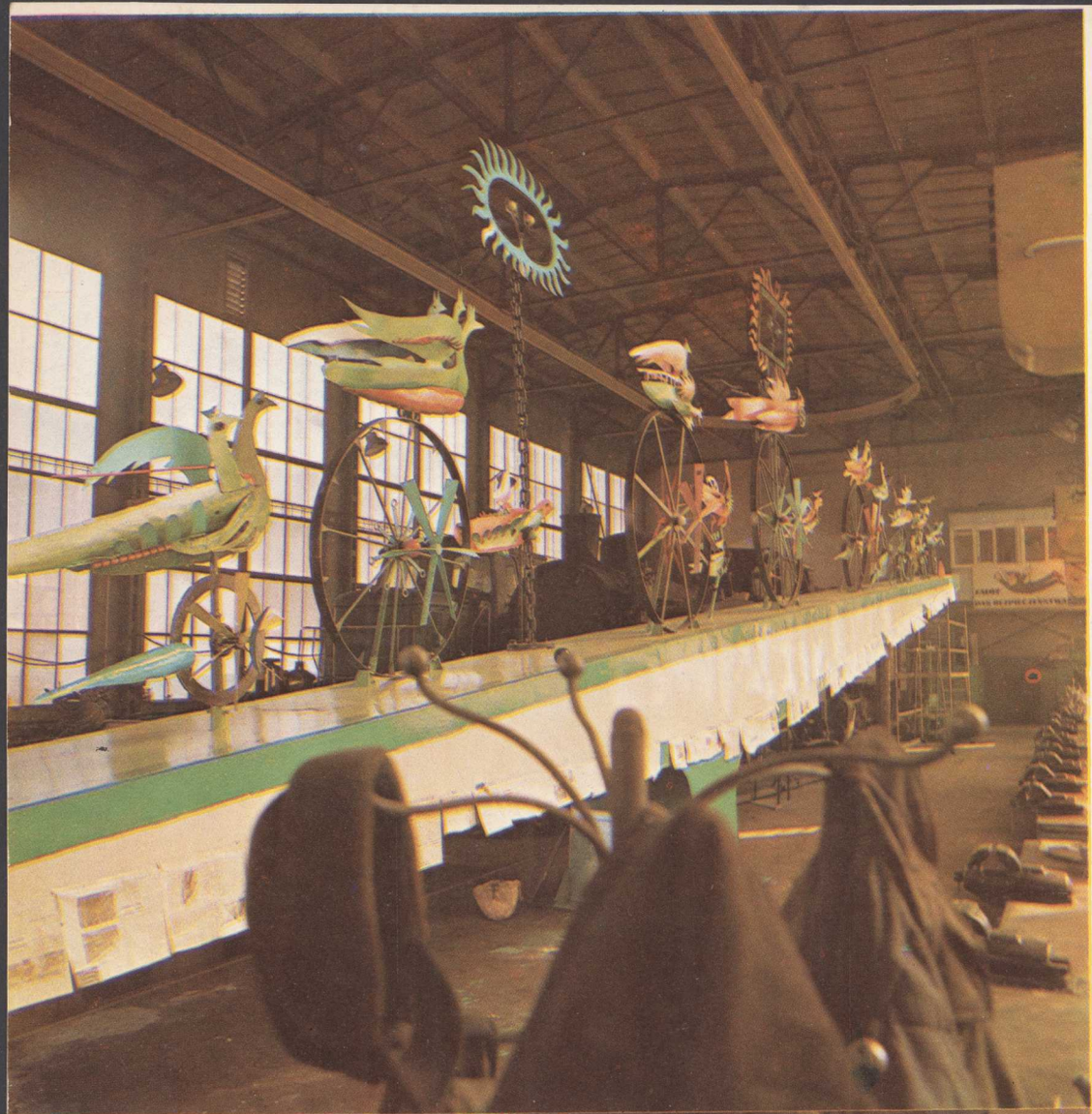
W. H. — W dużej mierze. W zasadzie jest to trzon tej sumy ptaków, która tam była niemniej jednak bardzo istotnie rozwinięty w liczbie, w różnorodności skali. Jest całkiem inny układ przestrzenny. Wydaje mi się on bardziej zwarty, bardziej przejrzysty. Nadaje się do oglądania w całości jako ogólna kompozycja i można sobie również analizować urodę poszczególnych ptaszków, ich różnorodność. Dbałem właśnie, aby każdy ptaszek był w miarę absolutnie inny od tego, który jest przed nim oraz od tego, który jest za nim.

Fot. Z. Ryngwelski





WŁADYSŁAW HASIOR — „Ptaki" — rzeźba plenerowa podczas montażu w Hucie „Szczecin"



Fot. Z. Ryngwelski



WŁADYSŁAW HASIOR — „Ptaki" — rzeźba plenerowa podczas montażu w Hucie „Szczecin"

J. J. — W Pana intencji, jak sobie przypominam z rozmowy, którą przeprowadziłem w 1975 roku, najlepszy, optymalny punkt oglądu kompozycji był wówczas gdy ptaki rysowały się sylwetowo na tle nieba.

W. H. — Tutaj będzie inaczej z racji innego otoczenia, z racji nieubłaganego faktu istnienia dwóch wielkich, ślepych ścian budynków, które w tym miejscu zamykają plac. I właśnie między tymi dwiema ścianami przeprowadzamy małą rekonstrukcję byłego murku, troszkę go podnosimy, mając nadzieję, że on spełni, łącznie z tymi ścianami, rolę ekranu, który zastąpi nieobecność czystego nieba. Oczywiście najidealniej byłoby widzieć ptaki na tle czystego nieba. Niestety musimy jakoś wybrnąć z tej sytuacji i mam nadzieję, że będzie to korzystne.

J. J. — Przy naszej rozmowie jest obecny inż. Tadeusz Janiak — kierownik Wydziału Remontowo-Mechanicznego Huty „Szczecin". Jaki był udział inżyniera i jego współpracowników przy tworzeniu nowej wersji „Ptaków"?

W. H. — Na początku grudnia 79, gdy się pierwszy raz spotkaliśmy, inż. Janiak z wielką życzliwością pokazał mi całą Hutę i wspólnie wybraliśmy miejsce, gdzie najlepiej można „Ptaki" składować i rekonstruować. Jest to Hala Napraw Taboru Kolejowego. Znalazłem tam, po pierwsze, bardzo istotną swobodę przestrzenną, potrzebne uzbrojenie narzędziowe, no i co najważniejsze życzliwych ludzi, którzy zostali mi przydzieleni i bardzo chętnie współpracowali ze mną. Od czasu do czasu jednak z konieczności musieli wychodzić do zajęć służbowych, do remontu zepsutego taboru kolejowego. Niemniej jednak nie odczuwałem tego boleśnie. W końcu pracowali przy „Ptakach" w czynie społecznym i za to ogromnie cenię ich, że z takim entuzjazmem pomogli mi zrekonstruować i rozwinąć te kompozycję.

Ich udział był niezbędny przy etapie stwarzania nowych ptaków. Tu występował problem obróbki metalu: spawanie, cięcie, potem montaż — udzielali fachowego poradnictwa jak zmontować formę z formą, by to było logiczne, jeśli chodzi o reguły sztuki ślusarskiej, w czym nie jestem mocny. Oczywiście bez nich, nie mając uprawnień do posługiwania się skomplikowanymi narzędziami do obróbki metalu, nic bym nie zrobił.

J. J. — A jaki był ich stosunek czysto emocjonalny do Pana realizacji?

W. H. — Więc muszę powiedzieć, że dopiero ostatni etap, gdyśmy zaczęli wszyscy, którzyśmy przy tym pracowali, widzieć w miarę całościowo, wtedy widziałem pełne olśnienie i zrozumienie: „acha, to o to chodzi...". Bo gdy całe stado ptaków było rozrzucone po kątach hali i każdego z osobna się rekonstruowało, czy innego robiło się od nowa, to tylko ja wiedziałem o co mi chodzi. Oczywiście uświadamiałem moich miłych współpracowników jak to ma być rysując na ścianach moją koncepcję, ale zdaję sobie sprawę, że ci ludzie reprezentują inny typ wyobraźni, bardziej precyzyjnej i racjonalnej niż ja. Nie odczuwałem więc konieczności czy potrzeby, żeby już na samym początku mieć z ich strony pełne zrozumienie. Ale jak mówię, gdy to się zaczęło konkretyzować i montować w jednolitą całość wtedy złapaliśmy tak zwany „drugi oddech" i bardzo dobrze nam się pracuje w dalszym ciągu.

Ptaki zostały ocynkowane, przedtem były tylko pokryte srebrzanką, i pomalowane farbą okrętową antykorozyjną. Odejmując niebezpieczną energię ognia, mam nadzieję, że będzie to zdrowo bardzo długo stało w pejzażu miejskim. A sam fakt kolorowania w przyszłości dla celów odświeżenia zostawiam jako problem otwarty dla przyszłego mistrza, artysty szczecińskiego, który ma prawo, chciałbym to w tym miejscu właśnie niejako w testamencie stwierdzić, ma prawo zmieniać atmosferę kolorystyczną całej kompozycji, żeby „Ptaki" przy tej okazji uzyskiwały co jakiś okres czasu zmienność. Będzie to dla nich korzystne. Niemniej jednak prosiłbym o przestrzeganie generalnej zasady: zawsze ma to być romantyczna, radosna kompozycja. Ale jaka będzie gama kolorystyczna, pozostawiam to decyzji następnych użytkowników.

J. J. — Czyli nie zastrzega Pan dla siebie wyłącznego prawa dokonywania dalszych zmian?

W. H. — Widzę w tym szansę na większą żywotność. A poza tym, nie mogę sobie uzurpować na zawsze prawa, że ja to najlepiej pomaluję. Zróbmy wyścigi, po prostu.

J. J. — Podejmując motyw ptaka ognistego odwołał się Pan do mitologii ludowej wielu narodów. Ale związki z folklorem, ze sztuką ludową — zawsze zresztą dostrzegalne w Pańskiej twórczości — zostały w tym wypadku szczególnie mocno pokreślone przez kolorystykę, której nie umiem w tej chwili nazwać inaczej jak „jarmarczną" i nie traktuję tego określenia jako obraźliwego czy pejoratywnego. Sądzę, że o takie skojarzenia Panu chodziło.

W. H. — Może nie tak precyzyjnie o ten typ urody, niemniej jednak z pełną świadomością, mając w końcu jakąś ograniczoną ilość kolorów, zestawiłem je tak, aby były wspomnieniem ludowej harmonii kolorystycznej. O to mi chodziło. Również mi chodziło o to, żeby to było w pełni zjawiskowe, fantastyczne i miało cechy maksymalnej atrakcyjności. Jest to po prostu wielkich rozmiarów zabawka. Nie mogę tego określić jako poważny pomnik. Jest to wielka zabawka, w którą również dość sporo energii swojej włożyłem, prawie tyle samo co w tak zwany „poważny pomnik". Tylko po prostu grałem tym razem na absolutnie inną nutę. Zobaczymy jaki będzie osąd publiczny?

J. J. — Jeśli użyłem określenia „jarmarczny" to dlatego, iż właśnie tak sobie wyobrażam olśniewającą, żywiołową atmosferę ludowych jarmarków. A przy tym widzę swobodę w posługiwaniu się kolorami, jaką Pan podpatrzył — czy też znakomicie — zrozumiał u twórców ludowych.

W. H. — Rzeczywiście tu jest dużo podpatrzonego w sztuce tamtych twórców, ale oprócz tego również się posługuję po prostu elementem ryzyka, odwagi i nie mam z góry ułożonej harmonii kolorystycznej, a zwłaszcza takiej, która jest pielęgnowana i skanonizowana. Mam tu na myśli chociażby reguły malarstwa akademickiego, które zabraniają zgrzytnąć, że wszystko musi być absolutnie wyważone itd. I właśnie w takim zestawieniu kolorystycznym, w tak pojmowanej gamie kolorystycznej nie ma tych drgnień niepokoju, tej żywiołowości, o którą mi jednak chodzi.

J. J. — Pańskie „Ptaki" wyglądają w tej chwili wręcz surrealistycznie na tle lokomotyw w scenerii hali fabrycznej. Aż szkoda, że stąd będą musiały „wylecieć". Tworząc polichromię „Ptaków" był Pan pod działaniem tego wnętrza. Czy nie obawia się Pan ich zderzenia z zupełnie inną scenerią?

W. H. — Nie mam powodu się obawiać, natomiast ogromnie jestem ciekaw. Niewątpliwie zaistnieje jakiś element niespodzianki. Ta ich jaskrawość w obecnym otoczeniu rzeczywiście dominuje przez fakt sąsiedztwa czarnych lokomotyw, natomiast przewidując, że na placu będą oglądane z dalekich odległości, z wielkich przestrzeni świadomie używałem zderzeń kolorystycznych prawie że plakatowych. Bardzo wybiegających w przestrzeń swoimi sygnałami barwnymi. Przy oglądaniu z bliska chciałem zagwarantować bardziej wysublimowane emocje malarskie pobudzane przez cichsze impulsy.

J. J. — W ubiegłym roku został odsłonięty w Szczecinie Pomnik Czynu Polaków Gustawa Zemły, który również — podobnie jak Pańska rzeźba — przedstawia ptaki. Oczywiście orły Zemły mają inny charakter, patetyczny, monumentalny. Odmienne były założenia twórcze i ideowe rzeźb obu Panów. Trudno dokonywać porównań. Nie byłyby one zresztą niczym usprawiedliwione. Niemniej jednak, ponieważ obie rzeźby istnieją w jednym organizmie miejskim, Pomnik Czynu Polaków stał się w pewnym sensie jakimś tłem dla Pańskich „Ptaków".

W. H. — Nie mam żadnych obaw na ten temat. A gdyby chodziło o moment usprawiedliwienia to ja byłem pierwszy z tą kanwą tematyczną. Mistrz Zemła doniósł jako drugi w tkankę miejską pojęcie ptaków, ale sądzę, że rozmowę na ten temat trzeba przerwać. Jest to zupełnie odmienna sprawa, nie mająca szans na nakładanie skojarzeń. Jest to tak jak w przyrodzie. Bocian jest ptakiem, tak? Jaskółka też jest ptakiem. I nikt, kto widział bociana, a potem jaskółkę, nie mówi, że widział dwa takie same ptaki. Liczę właśnie na tę zdolność rozróżniania — co jest dowodem wyobraźni społecznej — właśnie ptaszków, ptaków... W całej gromadzie tego gatunku, który generalnie jest nazwany rodziną ptasią.

J. J. — Nie miałem na myśli dokonywania porównań w sensie oceny...

W. H. — To jest zupełny przypadek. Nie należy robić żadnych skojarzeń, czy dziwić się, że „znowu ptaki, czy ci artyści nie potrafią nic innego wymyśleć?" Jest to po prostu co innego.

J. J. — Dla mieszkańców miasta powstała bardzo korzystna sytuacja. Zdobyliśmy nie tylko dzieła dwóch wybitnych artystów, ale ponieważ występuje podobny motyw zaistniała dodatkowo możliwość poznawania różnych konwencji, stylistyk czy postaw twórczych. Istnienie obok siebie tak odmiennych dzieł wpływać będzie na społeczeństwo w sensie pogłębiania jego świadomości estetycznej.

W. H. — Chciałbym tu jeszcze zaznaczyć, że szczecińskie „ptaki" są szczególnie ważnym momentem w moich doświadczeniach plastycznych. Ten temat ja realizuję w różnych wersjach już od ośmiu lat. Pointa tych doświadczeń — poprzez doświadczenia szczecińskie — zamyka się w Koszalinie, gdzie rzeczywiście na kanwie motywu ptaków realizuję kompozycję przestrzenną w plenerze, która się nazywa — zgodnie z moją w pełni świadomą intencją — pomnikiem. Są to ptaki symbolizujące orły polskie, skomponowane w tyralierę, jadące na bojowych rydwanach, ciągnące za sobą wieloskibowe pługi. Orły te są dramatyczne, uzbrojone w broń i płoną żywym ogniem. W swej poetyce są tragiczne i dramatyczne. Symbolicznie ilustrują nasze lawiny wojska, które wypchały wojska niemieckie i faktem jest, że po zwycięstwie nad Niemcami to wojsko natychmiast orało i siało na odzyskanych ziemiach Pomorza. I ja w pomniku koszalińskim właśnie tę ideę w pełni chcę zrealizować. Jak więc widać, w Koszalinie powód rzeźbienia jest historyczno-społeczno-patriotyczny. Natomiast w Szczecinie jest w oderwaniu od historii, w oderwaniu od problemów społecznych. Jest to, jak powiedziałem przed chwilą, wielka radosna zabawka. Mimo że i tu, i tam ptaki. Czyli, co można z ptaków zrobić.

J. J. — Gdybyśmy więc chcieli czynić porównania z pomnikiem Zemły...

W. H. — Absolutnie słuszniej byłoby porównywać go z realizacją koszalińską. Z tym, że pomnik Zemły w Szczecinie nie ma cech świadomie podjętej decyzji by kompozycja rzeźbiarska miała charakter maksymalnie teatralny, wręcz operowy. Jest to rzeźba podporządkowana klasycznym rygorom rzeźbiarskim, jak lapidarność i jednorodność tez, bardzo dobrze. Jest to bardzo poważna nuta w rzeźbie. A ja z kolei właśnie i w Szczecinie, i w Koszalinie u p r a w i a m w i e l k i r z e ź b i a r s k i t e a t r. W Koszalinie kompozycja będzie miała 85 metrów długości, wysokości 7—8 metrów. W Szczecinie ma 25 metrów długości. A więc jest to pas, po którym można wodzić oczami, od krańca do krańca i mieć zmienność obrazów. I właśnie o zmienność obrazów, o długi stan przeżycia emocjonalnego mi chodzi. Jest to stanowisko antyklasyczne w stosunku do rzeźby pojętej jako forma stabilna, jednorodna.

J. J. — Niedawno w Madrycie, Bilbao, Lizbonie, Barcelonie i Paryżu była eksponowana z wielkim sukcesem wystawa 16 najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy. Komisarz wystawy doc. dr Aleksander Wojciechowski przewodniczący polskiej sekcji Association Internationale des Crtiques d'Art w wywiadzie dla miesięcznika „Radar" 4/80, w którym często wymieniał Pańskie nazwisko jako wybitnego przedstawiciela nurtu neoromantycznego, powiedział: „Krytycy zgodnie stwierdzają, że rzeźba na świecie przechodzi dziś poważny kryzys.(...) Kryzys bierze się stąd, że nie tylko u nas, ale i na Zachodzie trudno rzeźbie wejść w dziedzinę najbardziej dla niej istotną, a więc w architekturę, w organizowanie przestrzeni. Przyszłością rzeźby są kompozycje przestrzenne w wielkich miastach".

Wydaje mi się, że swoimi realizacjami potwierdza Pan jego diagnozę.

W. H. — Cieszę się, że jest to na linii przemyśleń i spostrzeżeń tak wybitnego krytyka, aczkolwiek sądzę, iż z mojej strony jest to bardziej intuicjonalne działanie niż z góry założony twardy program.

J. J. — A czy zgadza się Pan z twierdzeniem o kryzysie?

W. H. — Wprawdzie z powodu realizacji koszalińskiej i szczecińskiej nie wyjeżdżałem za granicę przez ostatnie dwa lata, niemniej jednak bez przekonania bym twierdził, że jest kryzys w światowej rzeźbie. Sądzę, że występuje ogromna różnorodność zjawisk. Czy głęboko artystycznych? To jest druga sprawa, niemniej jednak ferment jest naprawdę widoczny. Ale sądzę, że pan Wojciechowski, jeśli mówi o kryzysie rzeźby, to mówi to na podstawie świadomości, wiedzy o tym jaka przedtem, w dawnych czasach była piękna rzeźba. Po prostu ma wyśrubowaną tęsknotę za czymś wielkim, za czymś wspaniałym i na tej podstawie ma moralne prawo stwierdzić, że w tej chwili tak dużo arcydzieł, które by ilustrowały i potwierdzały wartość współczesności, to rzeczywiście może aż tak dużo nie ma, jak się to uskładało z dawnych czasów.

J. J. — Gdyby nie to, co Pan powiedział o pomniku koszalińskim, można by pomyśleć na podstawie nowej wersji szczecińskich „Ptaków", że w Pana poszukiwaniach nastąpił generalny odwrót od twórczości o cechach dramatycznych, tragicznych.

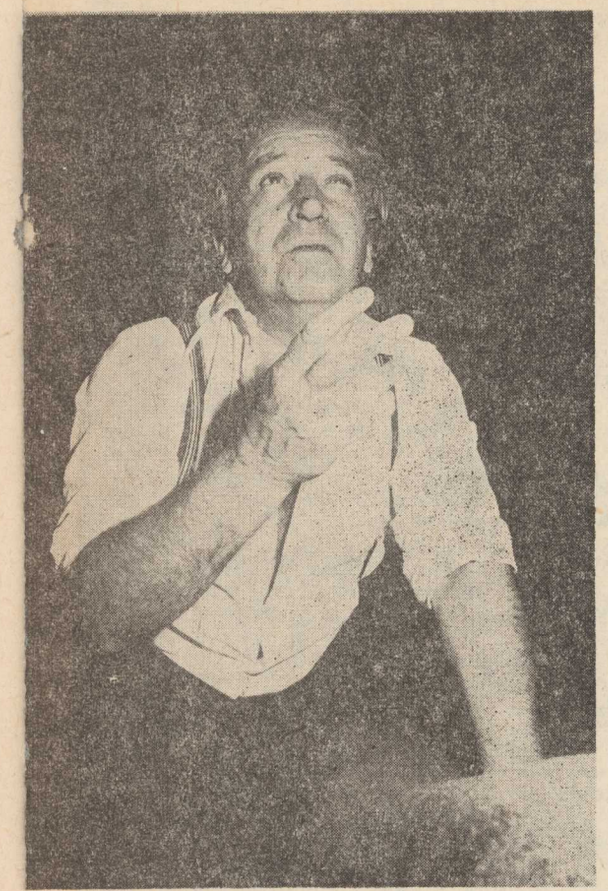
W. H. — Nie chcę, aby poprzednie stwierdzenie, że szczecińska kompozycja ma cechy radosne było odczytane jako moje zobowiązujące credo na przyszłość, że zawsze taki będę. Po prostu potrzeby, otoczenie społeczne i impulsy, które sprzyjają temu, żebym jakąś kompozycję zrobił w miejscu publicznym, decydują o jej nastroju.

J. J. — Plany na przyszłość?

W. H. — Żadnych planów! Przede wszystkim wkrótce muszę jechać do Koszalina.

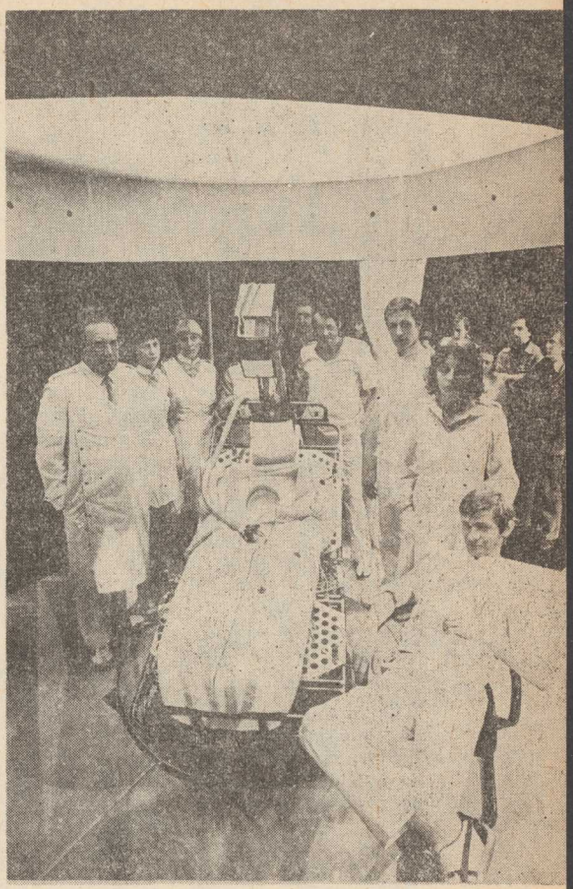
J. J. — Czyli w dalszym ciągu ptaki. Dziękuję bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Jerzy Jurczyk



cena ze sztuki „Kamienne niebo"
Fot. J. Fijałkowski

Bywają fałsze, które tak dalece udają prawdę



Scena ze szpitala, ze sztuki „Czyje to życie"
Fot. A. Smolny

ANNA STANKIEWICZ

Rolą Nauczyciela Filozofii w sztuce Moliera pt.: „Mieszczanin szlachcicem" Jerzy Wąsowicz jeszcze raz potwierdził to, co zwykło się mówić w odniesieniu do jego sylwetki artystycznej: to aktor mieszczący się w formule estetycznego realizmu, niekiedy skrajnego, „podglądacz życia". I mimo że stara kostiumowa komedia pozwoliła wszystkim aktorom ujawnić komediowe talenty i pomysły, dopuszczała nawet takie zachowania i ich motywacje na scenie, których nie spotyka się normalnie w rzeczywistości, to Nauczyciel Filozofii posługiwał się mimiką i gestami w sposób oszczędny, wyrozumowany i w takiej skali na jaką pozwalał mu status i powaga reprezentanta królowej nauk. Niemniej, swojego ucznia i pracodawcy zarazem nie traktował całkiem serio, dawał to do zrozumienia pobłażliwym uśmieszkiem i odpowiednią barwą głosu. Jego, jakby przekorne dostojeństwo, podkreślał strój, czyli szeroka czarna peleryna i mała czapeczka z nausznikami oraz wielka księga (persyflażowy rekwizyt) wszechmądrość zawierająca, dźwigana przez małego asystenta.

Sama „lekcja filozofii" zawierała wykład na temat rodzajów głosek w języku i sposobów ich wymawiania oraz układanie listu do ukochanej... Jerzy Wąsowicz lekko, płynnie i dobitnie, swobodnie i błyskotliwie zmienia tempo, artykulację, charakter ruchu i nie może tu być mowy o błazenadzie, gdy wygłasza „naukowe kwestie" ilustrując je przykładami. Gdyby zedrzeć całą farsową otoczkę tego widowiska Nauczyciel Filozofii pozostałby rzeczywistym nauczycielem korepetytorem wbijającym do głowy, oczywiście tylko dla pieniędzy, podstawowe wiadomości tępemu uczniowi.

Ale tak czy inaczej w tym momencie zawsze pojawia się gra, ponieważ ustalono konwencję wspólnej zabawy, i nie tylko, jeżeli przyjmiemy, że w ogóle teatralność to udawanie kogoś innego niż się jest w rzeczywistości, na co dzień.

Na temat gry i nie-gry aktorów napisano wiele. Są aktorzy, którzy zawsze pokazują siebie i jedynie siebie; i są aktorzy zawsze grający, kryją się wówczas za rozmaitymi maskami. Bywają różne motywacje takich sposobów podchodzenia do roli. Jerzy Wąsowicz — jak powiada — nie lubi swojej twarzy, dlatego ona inspiruje go twórczo. Na jego pracę nad rolą ma duży wpływ owo nielubienie swojej powierzchowności. Determinuje go także kostium, plastyka postaci, zrozumienie jej, jak też idea całego artystycznego przedsięwzięcia.

Ten aktor gra zawsze. Gra realistycznie, ale w żadnej mierze nie pozostaje osobą prywatną na scenie. Można w tym miejscu posłużyć się maksymą La Rochefouculda: „Bywają fałsze, które tak dalece udają prawdę, że byłoby pomyłką nie dać się im oszukać".

Jerzy Wąsowicz dąży do ukazania prawdziwego obrazu człowieka, mimo że posługuje się formalnymi metodami. Naturalnie, że tworzy postać Nauczyciela Filozofii nie tylko na kanwie molierowskiego tekstu, ale dotwarza do tego, co napisał autor rozszerzając gamę środków aktorskiego wyrazu, tak, by gra jego mogła być prawdą. A zatem poprzez „udawanie", ale jednak nie przerysowując portretu Nauczyciela

Filozofii tworzy sceniczny znak „nauczyciel", uwypuklając tylko dwie — trzy cechy komiczne tej postaci, korespondujące z całością przedstawienia, lecz wykorzystuje je świadomie dla efektu komediowego. Nie wciela się za wszelką cenę w kreowaną postać, nie demonstruje też swojej prywatności. To swoiste skrzyżowanie. Może żart? A w każdym żarcie tkwi ponoć źdźbło prawdy:

Źdźbło prawdy wnoszone przez Wąsowicza nawet rolami epizodycznymi, jest zauważalne, nie bez znaczenia. Jak kadr w filmie, tak epizod w wykonaniu opisywanego aktora to zazwyczaj całe pojęcie, znak, niemal litera w słowie. Warunek dobrego epizodu to — jak mi się wydaje — wymowność, treściwość, siła wyrazu, zdolność emocjonowania.

Bywają aktorzy, którzy są ekspresyjni w dosłownym tego słowa znaczeniu, wykrzykują swoje kwestie, miotają się na scenie, są niezwykle dynamiczni. Inni są przeciwieństwem tych cech.

Wąsowicz — aktor, sytuuje się pomiędzy tymi indywidualnymi rodzajami gry: jest między techniką gry lirycznej i gry dramatycznej.

Zza maski czynionej w własnej twarzy spogląda oblicze człowieka opanowanego, sygnalizującego jedynie dobrodusznym uśmiechem posiadanie swoistej filozofii życiowej, na którą stać tylko tego, kto ma za sobą solidną szkołę życia. Nie warto się irytować, wykłócać o to, czy taniec jest ważniejszy, czy muzyka, czy w końcu właśnie filozofia...

Człowiek uwikłany we współczesnym świecie w przeróżne zależności sam dostrzeże śmieszność i błahość problemu molierowskiego bohatera.

Praca artystyczna Jerzego Wąsowicza obejmuje ponad 100 ról w ciągu 31 lat bycia w teatrze. Mimo że większość postaci przez niego kreowanych to nie zawsze pierwszoplanowe, wszak wiadomo, że w biografii każdego aktora są role główne i epizodyczne oraz statystujące, jednak co najmniej kilkanaście ról w dorobku tego artysty układa się w swoisty ciąg drobnych znaków. Jako doświadczony aktor biorąc na warsztat najmniejszą choćby rolę (to pojęcie względne, ale zrozumiałe w odczuciu powszechnym) odwołuje się do wyobraźni współczesnego człowieka, do jego umiejętności myślenia obrazami, odczytywania skrótów i znaków. Myślenie i operowanie obrazami to m. in. wpływ pracy w telewizji, gdzie zagrał 54 role.

Ale wróćmy do teatru żywego planu. Wśród ról ważnych i znaczących w biografii artystycznej Wąsowicza, a zagranych od początku pobytu w Szczecinie, znajdują się m. in.: Profesor w „Hotelu Astoria", Gospodarz w „Weselu", Gniewosz w „Zawiszy Czarnym", Mąż w „Pani Dally", Jurandot w „Dziewiątym sprawiedliwym", tytułowa postać w „Horsztyńskim", Gnębon Puczymorda w „Szewcach", Sierżant w „Wyszedł z domu", Sylwester w „Klik-Klak", Dziadzio w „Szczęśliwym wydarzeniu", Ojciec w „Ślubie", Sędzia w „Panu Tadeuszu" i inne. To wszystko znaki nie tylko konkretnych ludzi, głównych lub epizodycznych postaci, ale również ogólnych pojęć czy osobowości korespondujących z każdym z ukazanych bohaterów, traktując problem dosłownie albo w kontekście danego spektaklu i w kontekście życia.

Dla tego aktora będącego zwolennikiem estetycznego realizmu i stosującego zresztą tę metodę w praktyce, bardzo ważny jest tekst literacki zawierający niejako duże stężenie rzeczywistości, jakiejś konkretnej realności. Ceni też wskazówki reżysera, zwłaszcza gdy są lapidarne i trafne.

Zwykło się twierdzić, że aktora jako wzór pewnej osobowości tworzy widz. Teraz „nie chodzi się na aktora" — jak to dawniej bywało. W dzisiejszych czasach na pierwszy plan wysunęły się interesy zespołu, w zasadzie nie ma popisów solowych. Mimo to na podstawie choćby przelotnych odczuć, wyobrażenia i luźnych skojarzeń widz tworzy sobie wizerunek danego aktora, czy to odtwarzającego regularnie pierwszoplanowe postacie czy „tylko" epizodyczne. Takie są czasy, że w istocie żaden aktor nie buduje roli na miarę mitów artystycznych. Zdaje się, że nie potrzebuje tego też obecnie publiczność. A rytm życia niesie wzrosty i upadki, zwycięstwa i porażki. Trzeba być realistą i w życiu, by mówić: „Nie marzyłem o sławie i nie mam rozczarowań. Czułem się potrzebny".

Jerzy Wąsowicz tego życiowego realizmu i swojej prywatności nie demonstruje na scenie. Jego sceniczny realizm jest rezultatem żmudnych poszukiwań, podpatrywania życia i samokrytycyzmu.

Dyrektor w „Daczy" Iredyńskiego to znak współczesnego dorobkiewicza, cwaniaka, który za państwowe pieniądze stawia sobie domek letni na działce. Wąsowicz z wyczuciem skreślił postać sabaryty zadowolnego z siebie, rozsyłającego wokół pogodny uśmiech; życzliwy dla ludzi.

Inspektor w „Kopciuchu" Głowackiego. Udało się aktorowi zrealizować wizerunek urzędnika na wysokim stanowisku, który ma podjąć decyzję, lecz czegoś się boi, nie jest pewny, nie potrafi zdecydowanie zająć jakiegoś stanowiska. Znajdują tu zastosowanie celowe przemilczenia. Zamiast słów wykonawca posługuje się uśmiechem świadczącym o bezradności i nakazującym zrozumienie jego sytuacji. Znów tworzy nie tylko sceniczny znak „urzędnik", lecz również z pełną świadomością wykorzystuje dla efektu komediowego owe niezdecydowanie, tchórzliwość, chwiejność charakteru bohatera.

Gajew w „Wiśniowym sadzie" Czechowa to ulubiona rola opisywanego aktora, postać złożona wewnętrznie. Oczywiście jej literacki pierwowzór daje możliwość wyżycia się aktorskiego, ale w interpretacji Wąsowicza ta postać utrzymana jest w kategorii normalnego dramatu i zachowuje swoją psychologię, bogate wnętrze. Jej odtwórca zaznacza subtelną kreską zmianę nastroju, świadomie panuje nad skalą napięć, by nie popadać w skrajny liryzm czy z drugiej strony, by zbyt nie dramatyzować.

Profesor w „Kamiennym niebie" i najnowsza rola — dr Emerson w spektaklu „Czyje to życie?" Tu bohaterowie — ludzie nauki, intelektualiści za pomocą logicznych, filozoficznych przesłanek usiłują — jeżeli nie znaleźć konkretne, zdecydowane wyjście z trudnej, nietypowej sytuacji, w jakiej się znaleźli, to na pewno chcą ją wyjaśnić, przeanalizować, odpowiedzieć na szereg pytań, zastanowić się i zmusić do refleksji. W tych spektaklach, w sensie teatralnego działania, nie dzieje się wiele, w zasadzie nic. O doniosłości i wadze tych sytuacji świadczą dialogi. Wąsowicz w obu przypadkach stara się odkryć przyczyny i skutki zmian zachodzących w psychice postaci, które krystalizują się pod naciskiem chwili. Takie jest literackie założenie tych ról, ale nie tylko, ponieważ znak — człowieczeństwo i uczłowieczenie zbudowany na rzeczywistych zachowaniach ludzi zdeterminowanych rangą sytuacji i problemów zyskuje miano uogólnienia, chociaż można z interpretacjami aktora zgadzać się lub nie, zwłaszcza, że motywacji kształtowania tych postaw i decyzji nie zawsze udaje się jasno wyartykułować.

Ostatnie sezony nie przyniosły nowatorskich osiągnięć w sztuce aktorskiej Jerzego Wąsowicza. Utrzymuje się on nadal w swoim nurcie pokoleniowym: być realistą na scenie, ale też nie przekraczać granicy umownej teatralności. Grać i pokazywać widzowi tę grę, stwarzać iluzję i znak. Wydaje się, że ma zawsze określony stosunek emocjonalny i intelektualny do przedstawianej postaci. Nie objawia go zanadto, nie narzuca, zazwyczaj mieści się w granicach możliwości odczytania i zrozumienia go.

Zawód ten wymaga dyspozycyjności i jest w dużym stopniu odtwórczy, ale aktor ma prawo wyboru. Wąsowicz nie gra amantów, pięknoduchów, moralnie czystych, postaci wydumanych. Godzi się na te bardziej skomplikowane wewnętrznie, mające swoje racje, lecz budzące sprzeciw ogółu, niosące niezgodę ze światem, nawet jeżeli jest to rola epizodyczna. Ona też stwarza perspektywy, ale wówczas, gdy zawód ten — jak mówi Jerzy Wąsowicz — traktuje się żywiołowo.

I tu nasuwa się refleksja. Człowiek ma wiele twarzy, zwłaszcza aktor. To jego przywilej. Która z nich jest prawdziwa, a która konformistycznie stosowana do potrzeb i warunków? Jak w tym szczególnym wypadku łączy się żywiołowość z dyscypliną myślenia i świadomym działaniem? Odpowiedź — między innymi — kryje się w kreowanych rolach i postawie wobec zawodu, która wyraźnie mówi o szukaniu spełnień artystycznych w każdym przedsięwzięciu teatralnym.

Na zakończenie warto dodać, że Jerzy Wąsowicz zanim został aktorem teatrów szczecińskich zdobywał szlify zawodowe w teatrach Warszawy, Lublina, Gdańska. Do naszego miasta przyjechał w 1962 roku — tylko na jeden sezon, a trwa on już 18 lat.

Obecnie, oprócz tego, że jest aktorem Teatru Współczesnego, pełni funkcję kierownika artystycznego Teatru Małych Form „Krypta". Za pracę artystyczną i społeczną otrzymał wiele odznaczeń, m. in. Krzyż Kawalerski, Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę Gryfa Pomorskiego i inne.



Fot. Archiwum

ROMAN KRASZEWSKI

W siedzibie szczecińskiej Polihymnii

Można bez obawy popełnienia omyłki stwierdzić, że nie znalazłoby się w Szczecinie ani jednego kulturalnego człowieka, który by nie znał sali na piętrze w lewym skrzydle gmachu przy placu Dzierżyńskiego. Na pewno zaś nie ma w naszym mieście i jego okolicach miłośnika muzyki, który nie bywałby chętnie w tym pomieszczeniu — siedzibie szczecińskiej Polihymnii. Przeznaczone dla potrzeb instytucji muzycznej skrzydło tego budynku już ponad trzydzieści lat służy dźwięcznej muzie i jej wielbicielom. W latach sześćdziesiątych dawna sala posiedzeń została ostatecznie zaadaptowana na salę koncertową z prawdziwego zdarzenia wraz z zapleczem, co prawda zbyt skromnym, lecz w miarę możności dobrze służącym przygotowywaniu „strawy duchowej" dla rzesz melomanów. Co piątek i sobotę gromadzą się oni tutaj, by oderwać się od trudów i trosk życia codziennego przenosząc się w krainę dźwięków tej najidealniejszej ze sztuk — niewyrażalnej słowem, niewyobrażalnej kształtem — sztuki przemawiającej sobie tylko właściwym językiem, który dla wrażliwego słuchacza jest pełen przebogatych treści...

Piątki i soboty, to dnie publicznej, „afiszowej" prezentacji dorobku instytucji, na który składają się pięć dni pracy orkiestry i dyrygenta nad przygotowaniem programu koncertu (do czego dochodzą jeszcze próby z solistą lub chórem) pomnożone o wieloletnie doświadczenie muzyków pozwalające im w tak krótkim czasie opanować niełatwe pozycje repertuaru. Jego trzon stanowią wielkie formy — symfonie i koncerty, a ponadto suity, uwertury, poematy symfoniczne, fragmenty operowe. W ubiegłym roku z estrady filharmonicznej rozbrzmiewały m. in. symfonie Haydna, Mozarta, Beethovena, Schuberta, Berlioza, Czajkowskiego, Brahmsa, Hindemitha, koncerty Bacha, Dittersodrfa, Chopina, Schumanna, Mendelssohna, Liszta, Lalo, Dworzaka, Karłowicza, Rachmaninowa, Prokofiewa, Chaczaturiana, Rodriga.

Z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Szczecińskiej pracują jej stali dyrygenci Stefan Marczyk, będący zarazem dyrektorem i kierownikiem artystycznym tej instytucji, oraz Walerian Pawłowski — zarazem autor omówień w drukowanych programach. Oczywiście do pracy z zespołem filarmonicznym zapraszani są — ostatnio coraz częściej — inni, nieraz wybitni dyrygenci na zasadzie występów gościnnych. Oto niektórzy z nich: Renard Czajkowski (w latach sześćdziesiątych był tu stałym dyrygentem), Jerzy Salwarowski, Zbigniew Chwedczuk, Krzysztof Missona, Zygmunt Rychert, Zygmunt Hassa, Karol Teutsch, Arkadiusz Basztoń, Witold Krzemieński, Kazimierz Wiłkomirski, Józef Radwan, a także goście zagraniczni Gonzalo Romeu (Kuba), Tomas Bolberitz (Węgry), Gothard Lienicke (NRD), Miloslav Bervid (Czechosłowacja).

Potężnym magnesem przyciągającym melomanów na koncert symfoniczny jest zwykle osoba solisty — postać pierwszoplanowa w utworze koncertującym. W roku minionym melomani ci nie mieli powodów do narzekań. Wystąpili m. in. artyści polscy: Halina Czerny-Stefańska, Tadeusz Żmudziński, Stanisław Kawalla, Konstanty Andrzej Kulka, Wanda Wiłkomirska, Andrzej Orkisz, Barbara Górzyńska, Lidia Grychtołówna, Piotr Milewski, Joanna Mądroszkiewicz, Michał Grabarczyk, Andrzej Ratusiński oraz liczni soliści zagraniczni, wśród nich pianista Neal Larabee i skrzypek Peter Zazofsky (obaj z USA), pianista Silvio Cardenas, gitarzyści Jesus Ortega i Leo Brouver (wszyscy z Kuby), pianiści Michaly Bacher (Węgry), Zdenek Hnat (Czechosłowacja), Grigorij Sokołow (ZSRR), wiolonczelista Josef Schwab (NRD) i inni.

Niemałą atrakcją są zawsze występy innych orkiestr, a także recitale wybitnych solistów. Takimi wydarzeniami był koncert nadzwyczajny, w którym wystąpiła Orchestre Philharmonique des Pays de la Loire pod dyrekcją Marca Soustrota z udziałem skrzypka Pierre Amoyala, a także recitale fortepianowe Deana Kramera i niezapomnianego Światosława Richtera. Inną atrakcją był gościnny występ zespołu kameralnego „Collegium Musicorum Posnaniensium" pod kierownictwem Włodzimierza Kamińskiego. Zespół ubrany w stylowe stroje grając na dawnych instrumentach prezentował instrumentalną i wokalną muzykę renesansu i baroku.

Czasem się zdarza, że za orkiestrą na praktykablach staje chór i wówczas rozbrzmiewa oratorium, kantata lub msza. W takim wypadku miejsce obok dyrygenta zajmują soliści śpiewacy, którzy na przemian z chórem lub wspólnie z nim prezentują owe dzieło. W omawianym okresie były to m. in. utwory Vivaldiego, Bacha, Haydna, Szymanowskiego, Orffa. Do wzbogacenia repertuaru koncertowego o formy wokalno-instrumentalne przyczynia się współpraca Filharmonii ze szczecińskimi chórami, w tym najdłuższa i najowocniejsza — z Chórem Akademickim Politechniki Szczecińskiej kierowanym przez Jana Szyrockiego, zespół ten gościł najczęściej. Inny miły i częsty gość, to Chór Chłopięcy „Słowiki' pod dyrekcją Elżbiety Kus-Berczyńskiej. Rok 1979 był w pierwszej swej połowie ostatnią fazą trwającej przez dwa sezony artystyczne imprezy typu festiwalowego pod nazwą „Academia Cantat" — przeglądu chórów studenckich z całej Polski. Sezony te stały więc pod znakiem muzyki oratoryjno-kantatowej (mowa o Filharmonii, jako że koncerty chórów z utworami a cappella odbywały się w Zamku Książąt Pomorskich). W pierwszym półroczu 1979 r. wystąpiły gościnnie Chór Akademii Medycznej w Białymstoku pod dyrekcją Romana Zielińskiego i Chór Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu pod dyrekcją Stanisława Kulczyńskiego. W końcu czerwca odbył się koncert finałowy wspomnianej imprezy z udziałem wymienionych chórów akademickich ze Szczecina i Poznania, do których dołączy się jeszcze Chór Akademii Rolniczej w Lublinie pod dyrekcją Andrei Jaworskiej. Uroczystość tę uświetnił też Chór Uniwersytetu z Utrechtu pod dyrekcją Jaapa Hillena oraz Chór Męski Akademii Rolniczej z Rygi pod dyrekcją Arnisa Pornuka.

Koncerty oratoryjno-kantatowe pozwoliły licznie uczęszczającym na nie melomanom usłyszeć wielu solistów śpiewaków — Ewę Ignatowicz, Barbarę Nowicką, Lidię Juranek, Aleksandrę Gustowską, Barbarę Figas, Aleksandrę Imalską, Romana Werlińskiego, Piotra Liszkowskiego, Teresę May-Czyżowską, Mariana Kondellę, Andrzeja Bachledę, Jerzego Sergiusza Adamczewskiego. Poza koncertami chóralnymi wystąpiły Antonina Kawecka i Krystyna Tyburowska.

Ta przydługa wyliczanka miała na celu ukazanie, jak bardzo rozległa i zróżnicowana jest działalność czołowej szczecińskiej placówki muzycznej w jednej tylko dziedzinie — w zakresie otwartych, „afiszowych" koncertów odbywających się w siedzibie przy plan F. Dzierżyńskiego. A przecież w tejże sali miało miejsce w ubiegłym roku 87 specjalnych koncertów dla szkół podstawowych w ramach stałej akcji umuzykalniania dzieci, przy czym imprezy te były ujęte w cykle tematyczne: „Muzyka polska", „Muzyka naszych przyjaciół", „Kompozytorzy dzieciom". Ponadto Filharmonia wychodząc naprzeciw potrzebom szczecińskich szkół peryferyjnych oraz na terenie województwa organizuje w tych szkołach comiesięczne audycje kameralne również o jasno sprecyzowanych tematach. Oto niektóre z nich: „O muzyce, muzykach w poezji i prozie", „Muzyka komnatowa", „Wirtuozowstwo wokalne i instrumentalne", „Stanisław Moniuszko" (w 160-lecie urodzin), „Polska miniatura instrumentalna", „Musorgski, Puszkin, Czajkowski", „Tematy marynistyczne w muzyce". Audycje te, ujęte w odmienny sposób dla szkół średnich i podstawowych, opracowuje i prowadzi Jerzy Karolus, który mieszkając w Warszawie związany jest silnie z Filharmonią Szczecińską i jej wieloletnią akcją upowszechniania muzyki wśród dzieci i młodzieży.

Natomiast orkiestra filharmoniczna obsługuje wiele uroczystości rocznicowych wypełniając części artystyczne okolicznościowych akademii o znaczeniu ogólnowojewódzkim lub miejskim. Ponadto dorocznym terenem pracy orkiestry w sierpniu jest Świnoujście, gdzie odbywają się koncerty promenadowe, o których w ubiegłym roku pisał tak barwnie Walerian Pawłowski.

Oczywiście tę całą ogromną pracę wykonują konkretni ludzie, a więc przede wszystkim muzycy stanowiący zespół orkiestry symfonicznej. Jest ich ogółem osiemdziesięciu pięciu (stan na dzień 1. I. 1980 r.), z których wyższym wykształceniem muzycznym legitymuje się dwudziestu ośmiu, co stanowi jedną trzecią zespołu i obejmuje zwłaszcza sekcję instrumentów dętych, gdzie stanowią oni blisko połowę. W sekcji instrumentów smyczkowych występują niedobory ilościowe i jakościowe. Dla zachowania właściwej proporcji brzmieniowej w utworach o pełnej obsadzie instrumentów dętych i perkusyjnych potrzeba co najmniej sześćdziesięciu smyczków (ok. 60% całego składu orkiestry). Obecnie na skrzypcach, altówkach, wiolonczelach i kontrabasach gra łącznie czterdziestu ośmiu muzyków (niecałe 50 proc.). Ten brak dwunastu smyczków daje się niestety słyszeć podczas wykonywania dzieł zwłaszcza późnoromantycznych. Sytuację pogarsza fakt, że w sekcji tej tylko jedenaście osób posiada wyższe wykształcenie muzyczne, co nie pozostaje bez wpływu na jakość produkcji artystycznej. Z konieczności zatrudnia się kilku smyczków pobierających jeszcze naukę w szkole muzycznej II stopnia, a więc nie posiadających wykształcenia średniego, co (z całym szacunkiem dla pracy pedagogów i samych adeptów) częściowo likwiduje skutki niedoboru wyłącznie od strony ilościowej... Pełna obsada instrumentów dętych mogłaby zadowalać, jeśliby poprzestać na dniu dzisiejszym. Sprawa wygląda jednak niezbyt różowo, gdy spojrzeć na nią perspektywicznie. Muzycy grający na tych instrumentach ze względu na specyfikę pracy mają prawo do wcześniejszego przejścia na emeryturę. Jeśli wszyscy „dęciacy" zechcą skorzystać z tego przywileju, wówczas w ciągu najbliższych dziesięciu lat z trzydziestu jeden grających obecnie aż dwudziestu dwóch (a więc 70 proc.), w tym prawie wszyscy z wyższym wykształceniem, opuści orkiestrę. Odsetek smyczkowców-emerytów będzie mniejszy, jednak przy już istniejącym niedoborze i to odbija się fatalnie na stanie zespołu.

Jakie są perspektywy? W kraju po niedawnej reformie podziału administracyjnego istnieje niezdrowa tendencja tworzenia wciąż nowych orkiestr i innych zespołów muzycznych. W tej sytuacji liczenie na znaczący import muzyków z innych ośrodków jest utopią, Pozostaje jedno wyjście — kształcenie kadry na miejscu. Wzmocnienie i rozwój szkół muzycznych I i II stopnia (łącznie z podstawową szkołą muzyczną i liceum muzycznym) oraz natychmiastowe uruchomienie wyższej szkoły muzycznej kształcącej instrumentalistów dla potrzeb orkiestry symfonicznej, to jedyna droga do utrzymania ciągłości pracy Filharmonii Szczecińskiej i podnoszenia jej poziomu.

A poziom pracy artystycznej można określić jako bardzo nierówny, co zresztą nie jest cechą wyłącznie orkiestry szczecińskiej. Obok koncertów dobrych, a nawet świetnych, bywają też mierne, a czasem wręcz żenująco słabe. Przyczyn jest na pewno wiele. Bardzo dużo zależy od umiejętności dyrygenta i jego postawy wobec orkiestry. Są tacy, którzy swoją osobowością potrafią skłonić zespół do maksymalnego i umiejętnego wysiłku oraz zaangażowania. Do takich należy przykładowo Karol Teutsch, którego każdorazowy pobyt w Szczecinie daje jakiś nowy impuls orkiestrze, zwłaszcza smyczkowcom taki, że słuchacze nie mogą wyjść z podziwu słuchając prowadzonego przezeń koncertu — czyżby to grała ta sama orkiestra? Częste zapraszanie tego i jemu podobnych artystów pomogłoby niewątpliwie wyrobić i utrwalić dobre nawyki wśród członków zespołu.

Inny problem to rozproszenie sił ludzkich. Dobrze jest, jeśli muzyk zatrudniony w orkiestrze jest także członkiem zespołu kameralnego. Skłania go to do częstszego kontaktu z instrumentem i przyczynia się do zwiększenia poczucia odpowiedzialności za wykonawstwo. Jeśli jednak muzyk ten uczestniczy w kilku zespołach, jeśli ponadto pracuje w szkole muzycznej (co skądinąd jest niezbędnym warunkiem kształcenia młodych kadr), wówczas trudno oczekiwać od niego pełnej koncentracji i stuprocentowego wysiłku w orkiestrze. Najgorszą sprawą są kolizje w terminach różnych zajęć, co nieraz dezorganizuje pracę zespołów. Sytuacja taka nakazuje daleko idącą wstrzemięźliwość w tworzeniu nowych zespołów muzycznych przy tak szczupłej, jak obecna, kadrze muzyków w naszym mieście.

I wreszcie instrumentarium. Od jakości instrumentów i ich firmowej jednolitości zależy w dużym stopniu sprawność techniczna orkiestry i jej walor brzmieniowy. Obecny stan pozostawia wiele do życzenia. Wystarczy np. posłuchać gry dwóch obojów, by się przekonać, jak bardzo różna i niestopliwa jest ich barwa, a przecież rzecz dotyczy większości instrumentów. Sprawność techniczna instrumentów i ich dobre brzmienie — to obok kadry muzyków zagadnienie podstawowe w perspektywie lat najbliższych, to warunek, od spełnienia którego zależy możliwość goszczenia wybitnych dyrygentów, którzy też mają — i słusznie — określone wymagania w tym zakresie. Zaś Filharmonia plany ma ambitne — w nadchodzącym sezonie zamierza organizować koncerty autorskie polskich kompozytorów współczesnych prowadzone przez nich samych. Rozmowy z Witoldem Lutosławskim są już sfinalizowane...

Szczecińscy — i nie tylko szczecińscy, bo także z terenu województwa oraz sąsiedzi „zza miedzy" — melomani lubią przybytek Polihymnii przy placu F. Dzierżyńskiego i tłumnie go wypełniają w dniach koncertów. Niska frekwencja lat sześćdziesiątych należy do przeszłości. Zwłaszcza pierwsza połowa mijającego dziesięciolecia była rekordowa, jeśli chodzi o zainteresowanie Filharmonią. Do tego zainteresowania przyczynia się też na pewno miłe wnętrze, wystawy plastyczne w foyer na piętrze, stoisko „Domu Książki" z płytami i książkami muzycznymi na parterze oraz przytulny bar kawowy.

I na koniec jeszcze jedno. Filharmonia Szczecińska obchodziła w ubiegłym roku 30-lecie orkiestry prezentując z tej okazji dzieła Mieczysława Karłowicza — swego patrona. W związku z tym wydarzeniem nasuwa się pewna refleksja. Jak to się dzieje, że Szczecin mający od trzydziestu lat orkiestrę symfoniczną, a od ponad dwudziestu pięciu lat Państwową Filharmonię nie dorobił się dotąd stałej imprezy muzycznej typu festiwalowego? W miesiącach letnich na życie muzyczne miasta oddziałują Festiwale Muzyki Organowej i Kameralnej w Kamieniu Pomorskim oraz Festiwale Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach, w których zresztą zespół filharmoników również uczestniczy, lecz samo miasto nie jest siedzibą żadnej imprezy tego typu. Sądzę, że Filharmonia Szczecińska współdziałając ze Szczecińskim Towarzystwem Muzycznym im. H. Wieniawskiego oraz oddziałem szczecińskim Związku Chórów i Orkiestr (że wymienię tylko branże muzyczne) mogłaby zainicjować i stać się głównym organizatorem takiej imprezy, której Szczecin jest chyba wart. Morskie miasto, polskie okno na świat mogłoby być na przykład siedzibą (to tylko luźna propozycja) czegoś w rodzaju festiwalu muzyki krajów czy miast nadbałtyckich, czego zalążkiem byłaby istniejąca wszak już współpraca z Rostokiem i Rygą.

Wszystkie dane liczbowe i wiele innych uzyskałem dzięki uprzejmości Zastępcy Dyrektora Filharmonii Szczecińskiej p. Jadwigi Igiel, której tą drogą składam serdeczne podziękowanie za ich udostępnienie. R. K.

MARIAN YOPH-ŻABIŃSKI

PALENIE KOŁYSKI

Wczoraj otrzymałem telegram, abym natychmiast przybywał do rodzinnego domu, gdyż macocha ciężko zachorowała i chce mnie przed śmiercią zobaczyć. Poza tym nadarza się okazja, żebym był na odpuście, który akurat się odbędzie w Białymbobie — depeszowała mi moja siostra.

Gdy więc już dojeżdżam do miasteczka, wypatruję przez okno pociągu wzgórza zwanego zamczyskiem, za którym w dolinie leży czy raczej leżał Przysiółek. Podobno go już nie ma, a dolinę zalano wodą; powstała zapora wodna, zatopiono kołyskę mojego dzieciństwa. Myśl o tym targa jednak za włókno serca, bo to odzywa się we mnie przywiązanie do kolebki, a jednocześnie rozsądek już dorosłego człowieka podszeptuje mi uznanie tego, co się zastało, niby zmienione na lepsze, bo i gazety piszą, że cóż znaczy zalać jedną dziadowską wieś — chodzi o to, by z zebranej tu wody popłynął światłodajny prąd. Tak więc przede wszystkim idzie o ten elektryczny prąd nawet za cenę setek dusz, takich jak ja, przywiązanych do miejsca swego urodzenia. Im dalej się mieszkało od niego, im dłużej się go nie widziało, tym większemu ulega się złudzeniu, iż człowiekowi przychodzi moment, że przez ściśniętą wzruszeniem krtań nie możesz wydobyć słowa sprzeciwu.

Nie ma wyśmigniętych topól na zamczysku, podobno już nie straszy w tym miejscu, gdzie obecnie stoją majestatyczne konstrukcje trakcji elektrycznej, fetysze współczesności. Zresztą patrząc na zamczysko, ma się nieodparte wrażenie, jak gdyby się patrzyło na wtargnięcie kosmitów w te — do niedawna jeszcze lampą naftową oświetlone — wsie. Nie widzę również kapliczki, którą jeszcze za nieboszczki Galicji lud świątkom postawił. Ani śladu też i po drugiej kapliczce, wzniesionej na pamiątkę zniesienia pańszczyzny, ze świątkiem, co podparłszy głowę frasował się od niepamiętnych lat. Obecnie na tym miejscu stoi przystanek pekaesu, czyli znaczy to, że już nie furmanką jedzie sie do doktora, albo na mszę, jak za dawnych lat bywało, litościwy Boże.

Muchówki, czyli dzikiego ustronia też nie ma, ale nazwa została; nazwy mają żywot niepomiernie dłuższy, niż ludzie i rzeczy.

— A na dawnym targówku — dopowiada mi chłopiec z przedziału — postawiono dwurodzinną willę.

Mignęła ta willa za oknem. Willa, jak willa, tyle że dwurodzinna, a to może być diabelnie ważne, kiedy sie tak ludzie nienawidzą, jak bywało, pamiętam, czasami w rozdartym i kłótliwym Białymbobie, któremu odebrano prawa miejskie za niepłacenie podatków w trzydziestym czwartym roku.

Pociąg przejechał nad brudnym potokiem, którym ściekają nieczystości z rzeźni, gdzie omalże kiedyś nie utonąłem podczas zabawy w wojnę, ale wyciągnęli mnie wozacy na końskich lejcach. Nieczystości wciąż mają zapewne ten sam zapach odchodów i kolor krwi, i łączą się z górską rzeką Białą, która już nie jest biała, ani tym bardziej porządną górską rzeką, skoro rzeźnia produkuje na całego, zaś tablica na brzegu informuje, że „kąpiel wzbroniona".

I oto koniec jazdy. Wysiadam. Wyjeżdżałem chłopcem, wracam mężczyzną. Tak więc we mnie samym wielka nastąpiła przemiana. „A przeżyło się, proszę pana, sporo, może mi pan wierzyć — słyszę jak nieznajomy z pociągu mówi do nieznajomego mi mężczyzny. Widziało się niejedno, było się na wozie i pod wozem". A ja? Też. Niby znam te twarze, ale nie widzę znajomych. Pomimo to czuję, że gonią mnie spojrzenia wielu ludzi. Rówieśników, którzy mnie nie bardzo poznawali po tylu latach rozłąki, że nie wspomnę o starszych. Szli skupieni, z pracy, Bóg wie skąd, wsłuchiwali się w swoje mijające kroki i w ciężki odgłos ziemi.

Myślę, kto jeszcze pamięta tamte sprawy, zdarzenia, ludzi?

Nie może się obejść bez wymiany uśmiechów i słów, które od biedy dadzą się przewidzieć, a raczej przedsłyszeć.

— Ależ tak, poznaję cię!, tak właśnie wyglądał twój ojciec, tak, zupełnie tak samo, poznaję, zupełnie tak samo..., tylko rysów nabrałeś, no i lekkoś łysawy. Napij się z nami.

Nagle może się okazać, że jestem podobny do mego ojca — tak się w oczach ludzi z dawna niewidzianych traci tamtą własną twarz — podobno mam te same rysy, tę samą sylwetkę. Cienie tamtych lat nagle ożywają w dorosłości pod budką z piwem. Pili w skupieniu, a barman wysunąwszy głowę z budki proponował im wino patykiem pisane. Poznali mnie, nalali mi pełną musztardówkę czerwonego jak bycza krew wina. Wypiliśmy i wyciągnęliśmy swoje papierosy i ogień. Zapaliliśmy. Wzdychnęli kłębami gryzącego dymu do wspomnień, kiedy ich sprowokowałem, by mówili o naszej zalanej wodą kolebce, tak że jeden rozpłakał się jak bóbr, drugi zaś ledwie powstrzymywał napływające do oczu łzy. Mówili o swej przeszłości, jak romantyczni chłopcy roją o poszukiwaniu skarbu ukrytego na dnie głębokiego jeziora.

W dzień mego przyjazdu była sobota. Nie od razu ze stacji poszedłem do mojego rodzinnego domu, gdyż postanowiłem, że się powłóczę po okolicy. I napiwszy się z rówieśnikami piwa i wina, włóczyłem się smętnie po miejscach mego dzieciństwa. Z niecierpliwością czekałem wieczoru, żeby mój świat ogarnął zmierzch, gdzie po raz pierwszy ujrzałem światło dzienne. Wkrótce szarówka przeszła w zmierzch, ale oto zaczęły rodzierać go światła hydroelektrowni; spiętrzona woda dudniła nad moją młodością. W pamięci — izba bielona wapnem, krzywy płot, dziczki. Obecnie tam dudniła woda, elektryczny przemysł, łeb gorzał od nasuwających się metafor, że niby człowiek zwykł miarę swego zdziwienia nazywać losem i tak dalej.

Wieczór, który po wiosennym dniu nadszedł, rozbłysnął gwiazdami, rozdarła się zasłona ciemności nad hydroelektrownią, nad miasteczkiem, od wzgórza przy elektrowni biła łuna jak od cudu Golgoty. Ujrzałem chłopa idącego ku tej światłości, niosącego przerzucony przez ramię worek, jak w tym żarcie przeznaczonym dla frajerów: „weź no, Antek, worek i skocz przynieś trochę prądu".

Minęła godzina siódma, kiedy doszedłem do mostu. Most, jak most, spinał dwa brzegi, jak przeszłość i teraźniejszość, pomyślałem. Przeszedłem nim na drugi brzeg, gdzie rechot żab to się wzmagał, to znów przycichał, milknął zupełnie, by po chwili wybuchnąć frenetycznym chórem, jak gdyby nimi jakiś dyrygent dyrygował. Łeb gorzał od metafor. Pachniała zieleń wikliny, gdzie latem ptaki i dziewczyny piszczą z miłości czy czegoś takiego, a potem z tymi dziewczynami znachorki mają pełne ręce roboty. Owszem, był tu kiedyś ginekolog, dyplomowana jucha, aleć przy pomocy jakichś metafizycznych sposobów znachorki go wygryzły z

ciepłej posady. Pachniała czeremcha, głuszona bukami, jak panna w kręgu otoczających ją wiejskich kawalerów, pachnących tytoniem, potem własnym i zwierząt. W Białymbobie, zdarzają się panny, niestety, już z bękartami; są jak nacięte drzewa — wieczorami skomli wokół nich z całej wsi kawalerka, z wąsów podobna do chartów. Pachniały dziczki. Ten zapach sprawia, że zatrzymuję się na chwilę na brzegu i przyglądam się rzece, która jest idealnie pusta. Prócz plaży z letnikami pamiętam liczne tratwy. Teraz to rzadkość. Kolej rzeczy, przyśpieszona transportem samochodowym i wędrówką ludów.

Wyjeżdżali młodzikami, teraz wracają mężczyznami i damami, a czasem wśród nich zdarzy się jakaś dorosła życiowa kaleka, istny wrak, a czasami zetempowiec na wysokim stanowisku, ukrywający ze swego życia fakt, że ma rodowód chłopski, jest teraz urzędnikiem ministerialnym, który wpadnie do Białegobobu jak po ogień, zapali się myślą do kupna od Kowalskich obrazu przedstawiającego ułana Byliny i hoże dziewczę na huśtawce na tle dworu, obecnie zamienionego na liceum ogólnokształcące. Obrazek raczej kiczowaty, ale ciekawy, choćby dlatego, że malował go brat pułkownika Wieniawy, adiutanta Piłsudskiego, później generała i przez jedną dobę prezydenta II Rzeczypospolitej — inżynier Długoszewski. Przyjeżdżał tu ongiś i Jan Matejko i uwieczył na rysunku drewnianą zabudowę wokół rynku, która następnie spłonęła w wielkim pożarze; przyjeżdżał i Jacek Malczewski i zostawił po sobie Ukrzyżowanego, podarowawszy go parafialnemu stadu. Pani Wojnowa stąd weszła do filmu „Wesele". Ach ta pani Wojnowa: pan Wajda ją lubi, a z Olbrychskim wymieniła całusy i na planie na pierwszej furmance jeździła jako starościna.

— Olas już zszedł na psy? — dowiaduję się pod budką z piwem.

— Nie zszedł. Jest nauczycielem.

— Daleko zaszedł.

— A tak.

Nareszcie w okolicy zaczęli traktować go jak swego.

Młodych już nie znam, doskonale jednak wiem, kto jest stąd, kto nie. Nietubylcy są wyraźnie inni, ich słowa dadzą się przewidzieć, a raczej przedsłyszeć.

— No, no?

— Nie znaliście mnie przedtem, to mnie raptem znacie.

— Myślałem, że będziesz miał sporą gromadkę, a ty ciągle sam.

— Już nie sam. Ale długo szukałem takiej, co by chciała przyjść na hektary.

— Wystarczyło tylko stąd zbiec... i proszę, masz nawet hektary.

— Jako dyrektor pegeeru...

— A ja myślałem, że zostajesz tutaj?

— Jeszcze nie wiem.

Tak sobie myślałem o tym i owym przed wejściem do rodzinnego domu: stoi wciśnięty między domy sąsiadów — Kipielaka i Chuby — którzy zawsze zatruwali nam życie. Kipielak nie przepuszczał przez swoją działkę, tak że obornik wywoziło się taczkami przez sień domu i wywalało na placu zwanym szumnie rynkiem tego miasteczka; rynek miał dobrze przystrzyżony trawnik i kwitły róże, a piramida obornika rosła z godziny na godzinę i odór zgnilizny bił w nozdrza przechodniów, jak również pchał się do budynku GRN, gdzie może akurat tematem narady było odzyskanie praw miejskich. W gospodzie pozamykano okna, tak się smród dawał miasteczku we znaki. Lecz GRN nie miała rady ani na ten smród, ani tym bardziej na Kipielaka. Był skłócony z macochą, której pogodzenia się z nim zabrakło rozsądku mego ojca, który załatwił kiedyś Chubę, kiedy ten pieniacz, przedwojenny granatowy policjant, a po wojnie sekretarz USC, nie chciał po prostu zabrać własnych uli z zakupionej przez ojca posesji pod budowę nowego domu.

Obecnie w całym domu panowała cisza, przed wejściem zauważyłem światło na piętrze w pokoju stryja Franciszka i w mieszkaniu siostry. Na parterze było ciemno, zajmowała go macocha. Zajmowała go tak od śmierci ojca, po którym swoje wdowieństwo obnosiła z dumą tym większą, im więcej go jej brakowało. Zdaje mi się, że lubiła swe cierpiętnictwo, pomimo iż zdawać się mogło, że gra, i pomimo iż było paru takich, co się starali o jej rękę. Czy to nie zadziwiające, myślałem, skoro przecież świadomość przemijania młodości i miłości dziesięciokrotnie je wzmaga. Tak jak śmierć określa cenę życia. Ponoć już raz kiedyś umarła śmiercią kliniczną. Odratowana, stała się dewotką; ciągłe jej ślęczenie na modlitwie, przy całym szacunku do religii, w której się wychowałem, budziło we mnie odrazę. Zastanawiałem się, dlaczego ludzie tak bardzo cenią życie — nawet wtedy, gdy jest ono pełne bólu, żalu i upodlenia. Wszyscy chodzimy w jarzmie tego, co nieuniknione, a śmierć mocno trzyma wodze tego zaprzęgu. Po cóż więc stawiać opór do końca?

Poszedłem korytarzem, w mdłym świetle małej żarówki, wszedłem na schody prowadzące na piętro, odbierając autentyczny smutek tego domu, jak własną klęskę, ale tak, jak się ma nadzieję na zmianę tej sytuacji. Wiele razy mówiłem sobie, że dziedziczę sporo ciepła tego domu, ale musiałbym tu zaistnieć, by podsycać wzajem nasz ogień.

Od strony podwórza przechodzącego w ogród, pokój z balkonem zajmował brat Czarek z żoną i dziećmi. Stanąłem przed drzwiami i zapukałem niepewnie. Uchyliły się drzwi, a w nich, jak w ramie wąskiego obrazu, ujrzałem ciekawskie twarze: dzieci, brata i siostry, szwagra, a na końcu stryja Franciszka. Domyśliłem się, że czekają na mnie.

— Martwiłam się, że nie przyjedziesz — zaczęła siostra.

— Siadaj, napijemy się po małym — powiedział szwagier, nalewając bimbru do rżniętych kieliszków.

— Jak ci przeleciała podróż? — spytał brat, ale tak żebym słyszał. — Kiedy wracasz tam, skąd przybyłeś?

— Więc to prawda, żeś jest dyrektorem pegeeru? — przemówił stryj Franciszek. — Wielka ryba wielkie wody lubi. No i jak ci się na tej państwowej ojcowiźnie wiedzie? Nieźle? No to przypijmy za twoją dalszą pomyślność i za nasze spotkanie.

Podnieśliśmy kieliszki do ust.

Stryj pił mało, bo chory. Gdy go brały bóle, przeginał się do przodu, bo mu się zdawało, że to pomaga, a może rzeczywiście pomagało. Narzekał, że chorowity, że nabawił się reumatyzmu w obozie koncentracyjnym, z którego chyba cudem uszedł z życiem, że jak relikwię przechowuje swój kapelusz podziurawiony kulami podczas ucieczki z niewoli, że wreszcie dzisiaj odmawiając pacierz spostrzegł, że dni stają się krótsze, że jak to dziwnie pomyśleć o Bogu, no że już długo nie pociągnie i tak dalej. A ja mu na to, że wydoli do setki i więcej, mówiłem obcując z jego starością jeszcze krzepką na tyle, że być może uległbym na moment złudzeniu wieczności.

Dopytywał się o moje zdrowie, pracę, żonę, dzieci, moje zainteresowania. Zdaje mi się, że najbardziej go zainteresowała moja praca, stanowisko dyrektora pegeeru. On wiedział, że noszę w kieszeni pieczątkę z moim nazwiskiem i tytułem dyrektora. Być może wydawało mu się śmiesznym noszenie zamkniętego w pudełku nazwiska, jak gdyby było godnością podlegającą ochronie, godnością odziedziczoną po znakomitym przodku. Nie wiem, czemu właściwie to zrobiłem pewnego razu, podpisując list do rodziny urzędową pieczątką. Opieczętowałem go może dlatego, żeby im udowodnić, że żyję, że nie zszedłem na psy, że zaszedłem daleko. Tego mi nie przebaczono. Ciężko trawi się sukcesy innych. Właściwie zostałem posądzony o cyniczną przyjemność w szokowaniu bliźnich. Potem długo, długo chodziłem jakby z poczuciem winy.

Nie rozmawialiśmy o spadku, ani o macosze, która spisała swą wolę w testamencie, ten temat wisiał nad nami jak tabu zastrzeżone na inną, specjalną okazję. Poza tym w rozmowie przeszkadzał telewizor, program sportowy — niech to szlag trafi — zabierający niektórym ćwierć życia. Świat skurczył się do rozmiarów na poły ciemnego pokoju, w którym tylko na ekranie telewizora toczyło się życie intensywne.

Wieczór tego dnia był ciepły acz mglisty. Kilka minut temu próbowałem wyjść na dwór z postanowieniem, by zajść do drwalni i ujrzeć w świetle kieszonkowej latarni kołyskę, która zawsze tam była, i... w pół drogi zawróciłem. Ale myśl o tym zamiarze nie ustępowała, coś jak drzazga siedząca zbyt głęboko, a boli przypominając ciągle o swej obecności. Opadła mnie jak mara myśl, żeby po śmierci macochy spalić własną kołyskę. Przeszłość trwa, kołatało w głowie, przeszłość trwa. Nie uwolnię się od niej, dopóty nie zerwę z nią choćby symbolicznie. Lecz nie wiem, czemu zawróciłem, albo co to było takiego, co mnie powstrzymało, nie puszcza. Poza tym bałem się zabłądzić w ogrodzie. Mgła była jak ser. Trzeba znać dobrze drogę, żeby się w takim czymś poruszać. Wolałem nie ryzykować. Toteż wyszedłem na ryneczek i zaszedłem do gospody. Kazałem sobie podać jednego i szybko wypiłem. Przy stolikach nad poplamionymi obrusami, bełkotliwe rozmowy: „Janek, ja ci powiem... Michał, ty mi nie mów..." Wychodziłem z mordowni żegnany czyimś odgłosem długo powstrzymywanej czkawki.

Potem zrobiłem rundę naokoło rynku, doszedłem pod neoklasycystyczną kaplicę patrona strażaków świętego Floriana, popatrzyłem na żółte światła ledwie widocznych furmanek

kramiarzy, którzy jutro przed kościołem rozłożą swe kramy i cofnąłem się. W życiu tak nie pragnąłem jak teraz śmierci macochy i spalenia kołyski. Przerażała noc, raziło zimne światło hydroelektrowni. Miałem uczucie jakby ucisku w skroniach, jak gdyby natłok myśli. Nagle zapragnąłem widzieć ogień, stos, krzyk dziecka, płonącą kołyskę. Żeby się coś stało; morderstwo, albo samobójstwo: wejść na słup wysokiego napięcia i dać się razić tysiącom woltów, spłonać doszczętnie. W pewnej chwili zemdlałem. Śniłem, że płonę na czymś twardym, jak gdyby belka stosu napoczętego od spodu. Ale kiedy obudziło mnie oparzenie papierosa tlącego się w moich palcach zrozumiałem, że siedzę na twardej ławce opodal kapliczki świętego Floriana. Jeszcze raz mówię: nigdy w życiu nie pragnąłem tak jak teraz spalić kołyski; byłem jak lis, który w potrzasku zjada własną nogę. I chyba w życiu nie odczuwałem takiego lęku przed zgubieniem się w swoim miasteczku.

Nie wiem jak wyszedłem z rynku, ale znalazłem się w domu, jak człowiek co zapada w sen tak głęboki, że nie pamięta, gdzie był po powrocie do swego pokoju.

Nocleg urządzono mi w pokoju na poddaszu.

Wyciągnąwszy się na łóżku, pomyślałem o śmierci, że umrę, tak jak umrą wszystkie istoty, które mnie otaczają i to daje mi chęć zrobienia tysięcy rzeczy... Przyłapuję siebie na tym, że czasem, słuchając jak ludzie mówią do mnie, myślę, że oni umrą i zaczynam ich inaczej słuchać. Widzę ich pomniejszonych do właściwej skali, do tego, czym wszyscy jesteśmy i mam ochotę wyciągnąć ich z własnej tej farsy, zapytać dlaczego się tak podniecają, dlaczego samych siebie traktują serio, dlaczego stroją takie ważne miny. Wówczas bierze mnie chętka powiedzieć im, co naprawdę jest dla nich ważne... Pragnę, by pili. Lubię ten moment, kiedy po kilku głębszych ludzie zaczynają się wahać, tracą pewność siebie, opadają z nich komediowe przebrania: spadają maski i wreszcie mówią rzeczy prawdziwe. W wódce nawet czasem mam uczucie, że jestem bardziej użyteczny, a równocześnie tracę poczucie użyteczności, to znaczy jestem mniej dyrektorem pegeeru, niż bym tego pragnął na trzeźwo. Wtedy lubię zwierzenia. Lubię ludzi... nieszczęśliwych, którzy nie umieją sobie życia ułożyć; zbłąkanych, którzy nie wiedzą, gdzie się znajdują. Mam poczucie, że im pomagam. A w rzeczywistości — nie jestem silny, nie mam też określonej indywidualności. Ale też nie potrzebuję zwierciadła. Jeśli patrzę na kogoś, to dlatego, by go widzieć, a nie po to, by w jego oczach szukać własnego odbicia. Następnie odkryłem, teraz jestem tego całkowicie pewny, że są czyny, których nie popełniłbym, bez względu na to, co miałoby się stać. Ta pewność daje siłę.

Obudziłem się wcześnie, lecz nie wstałem. Zapaliwszy papierosa położyłem się na wznak, z jedną ręką pod głową i patrzyłem w sufit. Zza okna dochodził tu gwar odpustu, rejwach przy straganach, gdzie ożywił się frasobliwy lud z przyrośniętymi na zawsze „wio ty szkapo" i „niech będzie pochwalony", lecz gwar nie zagłuszał głośniejszych partii rozmowy w sąsiednim pokoju: tam brat, siostra i szwagier sprzeczali się o ziemię, o ojcowiznę. Jedno z nich powiedziało, że zwykła skiba ornego jest bardziej skomplikowana niż komputer. Dalej jeden drugiemu zarzucał, że zebrało mu się na filozofowanie, że filozofowaniem nie zdobywa się prawa do ojcowizny. Dalej ktoś próbował mnie usprawiedliwiać, że to nie była moja wina... Dalej ktoś odpierał, że testament macochy jest tylko świstkiem papieru. Że wreszcie nie wolno nikomu z nas odmówić prawa do ojcowizny, moralnego prawa, bo jesteśmy przecież braćmi i siostrami przynajmniej z jednego ojca. W takich sytuacjach stryj Franciszek zwykł mawiać, że Abel umarł bezdzietnie, dlatego prawie wszyscy jesteśmy z nasienia Kaina. Chyba docierał do jakiegoś zła, o którym wiem, że jest, bo jest we mnie i w moich bliskich.

W pewnej chwili do mego pokoju wtargnął stryj Franciszek i szybko powiedział:

— Wstawaj, dyrektorze, bo macosze dzieci rozbierają ojcowiznę!

— Skoro taka jest jej wola — odparłem spokojnie — nie będę w tym brał udziału.

— Mówisz tak, bo ci wygodnie umyć od tego ręce? — rzekł ze ściągniętą twarzą. — Pomagasz w ten sposób swojemu sumieniu, uspokajasz je.

— Po to właśnie przyjechałem — ja na to.

— Ale pogrzebu nie przewidziałeś? — on na to.

— Jak to?...

Stryj potrząsnął głową smutno.

— Ona umarła tej nocy — wymówił i uśmiechnął się gorzko.

— Jak to się stało? Chorowała?

— Chorowała, jeszcze jak chorowała — zniżył głos niemal do szeptu. — Widzisz, przychodzi taki czas, że nie ma dnia, byś nie myślał o śmierci. Myślisz i myślisz aż zrozumiesz, że człowiek jest przypadkiem, istotą całkowicie błahą, która musi odgrywać rolę w wiecznej grze.

Potem wstałem, umyłem się, ubrałem, przygładziłem włosy.

— Zaprowadź mnie do zmarłej — powiedziałem i poszedłem za stryjem, wiedziony do pokoju na parterze, gdzie ujrzałem ją ubraną w czerń, w otoczeniu świec i kwiatów. Pachniały wosk i świerk. A więc tak wygląda śmierć — właściwie nic strasznego; przyjęliśmy jej śmierć jako coś nieuniknionego. I tyle.

Nawinął się brat Czarek. Przeszliśmy do drugiego pokoju, żeby porozmawiać.

— Zostajesz tutaj? — spytałem.

— Zostaję — spojrzenie Czarka zapadło wstydliwie na staroświecki portret ojca. — Twoja macocha, a moja matka, przepisała mi ziemię, teraz wezmę się za budynki. Jak widzisz, nie mam gdzie porządnie cię przyjąć. Będą robił remont, jak mam pewność, że to będzie moje.

— Pamiętasz, jak obydwaj spaliśmy w chlewie? — znowu spytałem.

— A tak. Tak! Pamiętam, jak spaliśmy w chlewie, jakeśmy jedli z jednej miski biedę, chodzili na bosaka od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ale wiesz, co było, a nie jest... — mówił niecierpliwie. — Widzisz stary, u nas czas zgrzebnej nędzy minął bezpowrotnie. Dawnośmy już powyskakiwali z łapciów lub bosych nóg — w kamasze, w lakierki, w szpilki nierzadko z importu.

— W końcu nie przyjechałem tutaj ustawiać was.

— Ale masz żal o macochę.

— Mam.

— Ze mną było zupełnie inaczej.

— Wiem, bo mnie macocha wydała losowi.

— Dostaniesz za fatygę.

— Co takiego?

— Powiedzmy z dwadzieścia tysięcy w spadku po ojcu.

— Przyznasz chyba, że wystrychnięto mnie na dudka, że dostałem kopniaka.

— Nie zostałeś pokrzywdzony, stało się to, co było postanowione, o czym zawsze wiedziałeś niezależnie od tego czy się na to godziłeś, czy nie: tobie mieszkanie w mieście, mnie ojcowizna.

— Uważasz, że jedno warte drugiego?

— Taka jest wola matki.

— Gdyby ojciec żył...

— Obydwaj wiemy, że nie żyje.

Mój brat nie był tym samym bratem, z którym spaliśmy w stajni, w dzieciństwie, tym młodszym ode mnie bratem Czarkiem, któregom traktował z pobłażliwością, jak na to zasługiwał. Ale był to już mężczyzna, który wie czego chce, kiedy mówił, że pieprzy moje sentymenty, że liczą się tylko obecne fakty, że trzeba żyć... Być na widoku cały czas — żyć. Nie wspominkami, tylko tym, co teraz potrzebne do tego życia.

Tylko jak taki człowiek, jak on, odarty z pamiętliwej kory dzieciństwa, jak taki może brać w swoje posiadanie naszą kolebkę? — zapytywałem siebie i chwilami go nienawidziłem.

— Zamierzasz doktoryzować się ze wspomnień z dzieciństwa? — patrzył na mnie drwiąco.

— Nie mówiłbyś tak będąc na moim miejscu — odparłem. — Ty nie wiesz, nie zdajesz sobie nawet z tego sprawy, że człowiek poza miejscem swego urodzenia nie może być naprawdę szczęśliwy.

Ale on był zachłany, ciągle chyba myślał, co by tu jeszcze z tego domu wziąć, nienasycony tym, co już miał nierzadko kosztem pozostałych spadkobierców. Nie da się ukryć, że chciałem dziedziczyć ojcowiznę, by ocalić wprawdzie nienajszczęśliwszy okres mego życia, lecz kto by źle go wspominał w dorosłości? Czarek, on jak gdyby w ogóle nie miał wspomnień, tak że kiedy usiłowałem o tym rozmawiać, on wyszukanymi sławami wprowadzał inny temat do dyskusji, najczęściej fantazjując o własnej i Białegobobu przyszłości.

Postanowiłem odetchnąć od tego wszystkiego i wyszedłem na rynek. Odpust zbiegł się z festynem ludowym. Na chodniku wzdłuż ulicy kościelnej stały kramy. Gromadziły się przy nich tłumy. Na rynku zaś grała orkiestra strażacka. Dyrygował podpity komendant. Na nierównych deskach falował tłum tańczących. Wydekoltowane biusty dziewcząt ki-

piały obficie, chłopaki nieznacznie wygładzali sobie rozporki lub ciasno objęci nogami kobiet, kwiczeli: kocham! lubię! szanuję! i wargi krzywili w uśmiechu, żeby nie podpadło rodzicielom, co się młodzi z boku przyglądali. I nagle rozległ się okrzyk należący zapewne do kandydata na pustelnika:

— Ten, który jest bez winy, niech rzuci w nią kamień!...

To się pisze powoli, ale robi szybko.

Otóż zaraz czyjaś ręka podniosła w górę i cisnęła z daleka butelką. Wstrzymałem oddech i wszyscy wokoło zdawali się robić to samo. Orkiestra przybrała żywszy rytm, na znak, że taniec się kończy. Słońce zapaliło blaski w przelatującej łukiem butelce, zmieniając ją w prawdziwą pochodnię, rzuconą na zapalne prochy parkietu. I byliśmy tak pochłonięci symboliczną wymową tego obrazu, że nie zwróciliśmy uwagi na reakcje stróżów porządku, którzy niczym hufiec anielski, z opaskami na ręce i napisem ORMO, w tłum wpadli płazując pałkami jak mieczami i krzyczeli: „Rozejść się, rozejść się, nie będzie żadnego sądu. Rozejść się! Dokądkolwiek..."

— Widziałeś? — powiedział chłopak do chłopaka. — Udało mi się parę razy kopnąć w tyłek naszego sąsiada, za to, że sobie naszej miedzy przyorał.

A wreszcie uspokoiło się. Rozeszło się po kościach.

Zainteresowanie obywateli teraz budziły półciężarówki, na których piętrzyły się skrzynie z wódką i sterty kiełbas. Dom kultury i kawiarnia nagle opustoszały. Bo w małym miasteczku, bez praw miejskich, nie czuło się kulturalniejszych powiewów, no i młodość musi się wyszumieć w niewyszukany sposób, prawili wyrozumiale notable. Wnet też ich troskę zakrzyczał dyrygent zapowiadając nową piosenkę. Po czym zaśpiewał dyszkantem:

W górę woda nie popłynie,
nie wrócą młode lata,
kto się kocha w mej dziewczynie,
marnie zginie z tego świata...

Na to ktoś obok mnie oznajmił, że śpiewak śpiewa tak, że należałoby mu zapłacić fałszywymi pieniędzmi.

Ktoś inny z innym stawiał zakład, że mu prędzej zajebisty kaktus wyrośnie na dłoni niż Białybób dostanie prawa miejskie. Chciałbym uwierzyć, bardzo uwierzyć, że Białybób jednak odzyska prawa miejskie, mimo że jeszcze nie wita cię tu zapach róż.

I znów, jak za dawnych lat, gospodarze wypędzili na pastwiska krowy, które z zaciekawieniem obwąchiwały nowo położone płyty chodnika. Bo pomimo całego wysiłku zmierzającego do przebudowy z gromadzkiego na gminne miasteczko — pozostawało nadal mieszaniną drobnego rzemiosła i małych gospodarstw. Nawet ci, którzy mieszkali w rynku, wiedli o świcie na postronkach łaciate, porykujące bydło lub wywozili obornik na taczkach przez korytarz domu na ów rynek.

Obszedłem rynek, przeszedłem koło kościoła parafialnego; z głośników umieszczonych na zewnątrz świątyni rozległy się aksamitne słowa: „Na początku było słowo..." Przystanąłem na chwilę z ciekawości. Co będzie na końcu? Wkrótce usłyszałem kazanie misjonarza: „Kto wybaczy swemu bratu, otrzyma trzysta dni odpustu. Kto wybaczy matce..."

I wtedy zawróciłem i ruszyłem do domu. Zaszedłem do drwalni, gdzie zawsze stała sfatygowana sieczkarnia i stara jaworowa kołyska na biegunach, której dotychczas nikt nie odważył się porąbać choćby na podpałkę. Wziąłem ją, nie czując żadnego wysiłku, wyciągnąłem z drwalni i zaniosłem do ogrodu. Przedtem jeszcze wziąłem z sobą butelkę nafty.

Polałem kołyskę, po czym zapaliłem zapałkę i przytknąłem ogienek do zielonej deski. Od razu ogarnęły ją płomienie i oto całe wspomnienie dziecińswa odpowiedziało suchymi trzaskami palącego się drewna.

Dłuższą chwilę stałem w smutnym zamyśleniu: wyglądało to jakbym tam stał dla ogrzania się. Kiedy życie wypala się do cna, wówczas w popiele pozostaje jedna ostatnia iskierka. Tli się, gaśnie, a potem następuje chłód... W niej to właśnie, w tej ostatniej iskierce zawarte jest doświadczenie całej przebytej drogi. Ludzie żądają od losu szczęścia, powodzenia, bogactwa — najbogatsi zaś nie są ci, którzy dużo dostali, ale ci, którzy najszczodrzej ze wszystkich rozdawali siebie ludziom. Jeśli chodzi o mnie, zrozumiałem tę prawdę dawno.

XV SZCZECIŃSKI

Rok temu pisząc o XIV Szczecińskim Tygodniu Teatralnym przypomniałem opinię Bożeny Frankowskiej, która stwierdziła, że szczecińskie ogólnopolskie przeglądy zawodowych teatrów małych form mają przebieg falisty. Godzą się z tą oceną XIV przegląd uznałem za mało ciekawy i wyraziłem nadzieję, że następny będzie lepszy. Przewidywania okazały się słuszne. XV STT wzniósł się ponad zwykłą festiwalową przeciętność, prezentowane spektakle zapewniły widzom bogactwo przeżyć artystycznych i intelektualnych.

Jubileuszowy Ogólnopolski Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form został zdominowany przez sztukę jednego aktora. Były to przedstawienia dobrze opracowane, oparte na sprawdzonej literaturze. Ta poprawność w połowie przeglądu zaczęła niepokoić, bo przecież nie po to są organizowane coroczne festiwale małych form teatralnych, by stwierdzić, że sporo jest w literaturze tekstów dobrych, a aktorzy opanowali sztukę gry w teatrze ubogim. Mała scena — myślałem patrząc na „Sądzone mu było wybierać", na „Konopielkę", na „Mgłę", na „Panią" czy na „Pierwszą miłość" — przestała być jakąkolwiek nową propozycją teatralną, nie szokuje widza eksperymentami, ciąży na niej charakter produkcyjności, troska o odbiór maksymalnie szeroki. I oto w ostatnim dniu festiwalu musiałem zmienić opinię. Był to najciekawszy dzień przeglądu. Jak żaden dotąd był on urozmaicony w doborze różnych form scenicznych. Widzowie obejrzeli „Małego księcia" A. de Saint-Exupery'ego w adaptacji i reżyserii Magdy Teresy Wójcik, jeszcze jedną udaną propozycję dla teatrów małych form. Popularna wśród szczecińskiej publiczności aktorka i reżyserka tekstom Saint-Exupery'ego nadała teatralny kształt przemawiający świeżością pomysłów reżyserskich, tchnący dobrą poezją.

Zupełnym zaskoczeniem dla widzów był występ aktorów Teatru im. Stefana Jaracza z Łodzi, którzy przyjechali do Szczecina z „Kwartetem" Bogusława Schäffera. Najpierw spektakl ten, jako nietypowy, był przedstawieniem pozakonkursowym, dopiero w przedostatnim dniu zmieniono decyzję, dopisując go do spektakli konkursowych. Zupełnie słusznie. Był to jedyny w tym przeglądzie spektakl, który proponował małym formom teatralnym nowe, ciekawe rozwiązania w traktowaniu takich materii scenicznych, jak: muzyka, słowo, ruch sceniczny, elementy widowisk cyrkowych, estradowych, poetyckich itp. „Kwartet" to metakabaret, w którym każdy znalazł dla siebie coś, co go mogło bawić, zająć intelektualnie. Przy tym przedstawienie to miało dobrych wykonawców, którzy przez cały czas potrafili utrzymać się w obranej stylistyce scenicznej.

Przed obejrzeniem „Kwartetu" i „Małego księcia" większość widzów była przekonana, że z główną nagrodą wyjadą ze Szczecina Paweł Galia i Krzysztof Jędrysek za „Wyspę" A. Fugarda. Oczekiwanie takie w pełni było uzasadnione. „Wyspa" to dobry, wieloznaczny tekst o konflikcie jednostki z państwem tworzącym prawa dla jednostek, w imię tego prawa pozbawiając wolności lub obdarowując nią. Gra aktorów wprowadzała widzów w nastrój więziennego zmęczenia, wywoływała wielkie wrażenie. Jednak po występie aktorów łódzkich nastąpiło błyskawiczne przewartościowanie na korzyść tego ostatniego zespołu.

Festiwale teatralne szybko się starzeją. Zwykle już po kilku latach przyjęta na wstępie formuła jakiegoś festiwalu okazuje się zbyt krępująca, przestaje wystarczać, więc zastępuje się ją nową, zmieniając tym samym kształt imprezy. Organizowany od piętnastu lat w Szczecinie Ogólnopolski Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form nigdy nie miał wyraźnie sformułowanego programu, co — być może — uchroniło go przed skostnieniem.

MARIAN KOWALSKI

TYDZIEŃ TEATRALNY

List otwarty do Jurorów XV SZCZECIŃSKIEGO TYGODNIA TEATRALNEGO

Szanowna Komisjo!

Piszę ten list ze zdumieniem i z odrobiną niedowierzania. Bo nie chce mi się wierzyć, żeby Szanowna Komisja była całkowicie przekonana o słuszności swego werdyktu. (Żeby nie było dwuznaczności, chodzi mi o werdykt Komisji w sprawie I nagrody.

Daleki jestem od posądzania Komisji o to, że zasugerowała się werdyktem publiczności, że przysłuchując się reakcji audytorium żywo oklaskującego spektakl Nr 12, uważała za właściwe podporządkować w pewnym sensie swój gust i opinię, żeby wyrazić pełną zgodność z oceną ogółu. Daleki jestem — powtarzam — żeby coś podobnego imputować.

Uważam, że Komisja w podejmowaniu ocen ostatecznych jest całkowicie niezależna i nie może podlegać żadnym wpływom i naciskom z zewnątrz. Tym bardziej zdumiewa mnie ów nieoczekiwany werdykt, którego uzasadnienia nie potrafię sobie wytłumaczyć.

Uznanie przez Komisję spektaklu „Kwartet" Bogusława Schäffera za najlepszy spektakl Festiwalu Małych Form Dramatycznych 1980 roku w Szczecinie uważam za szokujący zgrzyt i przykre nieporozumienie. Mogę usprawiedliwić i wytłumaczyć sobie opinię publiczności, którą w znacznej większości stanowiły miłe nastolatki: licealistki i maturzystki. U nich prezentacja czterech dziarskich młodzieńców z łysiejącymi czuprynami w nienagannie uszytych frakach mogła budzić pełny aplauz. Snobujące się na nowoczesność wątpliwego autoramentu, polegającego na popisowym bełkocie lub tak zwanych mocnych uderzeniach słownych, mogły bezkrytycznie i z cielęcym zachwytem oklaskiwać cyrkowe wygłupy czterech skądinąd sympatycznych facetów, którzy pustkę i jałowość treściową swego repertuaru chcieli zapchać byle czym, nawet przysłowiowym i dosłownym staniem na głowie. Mogły oklaskiwać wątpliwej wartości dowcipy i powiedzonka, uzurpujące sobie tzw. komizm słowny.

Słuchając tego wszystkiego, patrząc na to, co ci skądinąd sympatyczni, podtatusiali młodzieńcy wyprawiali, a nade wszystko obserwując reakcje tych nastolatek dochodziłem do wniosku, że obecnie śmiech bardzo potaniał, że można go kupić za byle jakikolwiek geścik czy gag cyrkowy: podniesiony palec czy — excusez le mot — wypięty tyłek. Ale jeżeli to bezkrytyczne, najczęściej jeszcze bardzo niedojrzałe pod względem życiowym i artystycznym audytorium nastolatek tak reagowało, to w niczym nie znajduję usprawiedliwienia ani racji dostatecznej dla podobnych reakcji Szanownej Komisji, która umie na pewno odróżnić autentyczny komizm od cyrkowych wygłupów. Przecież ci czterej skądinąd sympatyczni faceci we frakach wyraźnie się nudzili. Szukali więc najrozmaitszych receptur na ten przykry stan ducha. Rzeczywiście, inwencji im nie brakowało: stawali na głowach, przewracali się, szamotali, szarpali nawzajem, gnietli się na podłodze tak, że aż szkoda było nienagannie odprasowanych fraków. Nawet próbowali śpiewać, choć im to nie wychodziło. Imitowali grę na instrumentach smyczkowych. A nade wszystko mówili, mówili. Gadali jeden przez drugiego pragnąc się nawzajem przekrzyczeć. Była to improwizacja bełkotu albo bełkot improwizowany, takie trelemorele o wszystkim i o niczym. Raz na wesoło, raz, dla odmiany na smutno, nawet w tonie jeremiady. Potem, zdaje się, zastanawiali się czy połamać krzesła, na których siedzieli, nie wiem z jakim skutkiem, bo wyszedłem. Wyszedłem, bo fizycznie i psychicznie nie mogłem już dłużej znieść tego bełkotu, tej cyrkowej klownady, tej słownej degrengolady. Wytrzymałem całą godzinę, o wiele za długo. Inni byli mniej wytrzymalsi. Wyszli zaraz na początku.

Jeżeli to stwierdzam, to nie po to, by podpierać się w swojej krytyce opiniami innych, tylko dla dowodu, że nie cały tzw. ogół był zachwycony cyrkowymi popisami i elukubracjami słownymi czwórki facetów z „Kwartetu" B. Schäffera. Byli i inni, którzy uważali to podobnie jak ja: za kompletne nieporozumienie artystyczne.

Bo na dobrą sprawę, Szanowna Komisjo, czemu miały służyć owe cyrkowe wygłupy, owe żałosne popisy zorganizowanego czy tylko na poczekaniu improwizowanego bełkotu i kociokwiku myślowego? Jaka ich funkcjonalność, sens, racja artystyczna? Żeby nam powiedzieć, że ludzie nie mogą się porozumieć, że czterech mężczyzn nie może znaleźć ze sobą wspólnego języka?

Ależ przecież to banał — Szanowni Jurorzy! Otwieranie drzwi dawno już otwartych. Jeżeli się koniecznie chciało to jeszcze raz powiedzieć, można to było zrobić daleko ciekawiej i znacznie krócej. Ale wtedy to musiałby być zupełnie inny scenariusz, nie „dzieło" B. Schäffera? Zofia Nałkowska tę myśl wyraziła w „Domu Kobiet" bardzo lapidarnie: *„Między człowiekiem a człowiekiem jest ciemność"*.

I dlatego poddając w wątpliwość słuszność werdyktu Szanownej Komisji, upominam się o I nagrodę dla wykonawców spektaklu Nr 7, dla „Wyspy" Athola Fugarda. Ci dwaj młodzi ludzie, aktorzy z Młodzieżowego Centrum Kultury w Krakowie: Paweł Galia i Krzysztof Jędrysek podjęli bardzo trudne i niewdzięczne zadanie: musieli odegrać role ludzi skazanych, pozbawionych

XV SZCZECIŃSKI TYDZIEŃ TEATRALNY

wolności, odizolowanych na szereg lat od normalnego życia, od społeczeństwa.

W moim przekonaniu wywiązali się z tego zadania doskonale: wczuli się świetnie w role więźniów, pokazali prawdziwe, sprawdzalne psychologicznie ich sylwetki. W tym spektaklu też były wygłupy, choć przebieranie się ciężkiego i grubego Winstona za eteryczną Antygonę. Ale te wygłupy były uzasadnione, one czemuś służyły, ich funkcja była wyraźna. To była określona postawa obronna, postawa psychicznego odporu, jaki chcieli stworzyć ci młodzi więźniowie, żeby nie dać się stłamsić, zeszmacić, żeby nie zabić w sobie godności człowieczeństwa. To było nawet coś więcej. Wybór „Antygony" jako repertuaru do występu wśród więźniów, był określoną manifestacją solidarnego protestu i walki przeciwko prawom, których nie uznawali, przeciw którym się buntowali.

I dlatego ten właśnie spektakl pretendował do I nagrody XV Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego. Za swoją prawdę psychologiczną, za humanizm przekazywanych treści.

Na zakończenie niech mi wolno będzie podnieść jeszcze jedną kwestię, kwestię niekonsekwencji Komitetu Organizacyjnego. W drukowanym programie imprezy spektakl „Kwartet" B. Schäffera jest otoczony ramką, nie posiada kolejnego numeru. Był zatem pierwotnie zaliczony do imprez pozakonkursowych, na zasadzie przerywnika artystycznego. I jako taki może byłby do strawienia i przyjęcia pod warunkiem koniecznego skrócenia przynajmniej o połowę. Dopiero w przedostatnim dniu imprezy, dosłownie na pięć przed dwunastą ogłoszono „Kwartet" spektaklem konkursowym i opatrzono go numerem 12.

Nikt z organizatorów nie pokwapił się wytłumaczyć publiczności, jakie powody skłoniły Komitet Organizacyjny do przekwalifikowania „Kwartetu" na spektakl konkursowy.

Myślę, że to wielka szkoda.

Bardzo byłbym ciekaw tego uzasadnienia.

TADEUSZ GRABOWSKI

Organizatorzy zgubili cel

Impreza ta jest dobrze rozreklamowana w mieście i na terenie województwa. Na długo przed jej rozpoczęciem zamieszczane są w prasie informacje o spektaklach zakwalifikowanych przez komisję artystyczną do udziału w Festiwalu i biorących udział poza konkursem.

Na ulicach pojawiają się plakaty. przed wejściem do Klubu „13 Muz" — głównej siedziby Festiwalu — powiewa transparent obwieszczający rozpoczęcie kolejnej jego edycji. A w czasie trwania konkursu prasa codzienna podaje kalendarz: jakie spektakle i o której godzinie można obejrzeć.

Można obejrzeć? Tak, można obejrzeć, jeżeli ma się wykupiony karnet, a karnet można mieć, jeżeli ma się tzw. układy. I tak powstaje splot powiązań, zależności, zainteresowanie Tygodniem Teatralnym rośnie, bo... trudno o bilet.

Po co więc ta cała reklama? Zachęcanie? Skoro przeciętny widz nie może normalnie kupić karnetu lub pojedynczych biletów na wybrane z programu spektakle.

Wiadomo, bo tak jest co roku, że w ciasnej, zadymionej sali Klubu „13 Muz" spotykają się niemal ci sami widzowie, stali bywalcy, którzy raczej ze względów towarzyskich nie są w stanie zrezygnować z jakiegoś Tygodnia Teatralnego. Dla pozostałych, kierujących się — naiwnie — innymi pobudkami nie ma miejsca.

Dyskusja, która jest w założeniu tej imprezy, wskazuje na to, że ta publiczność nie ma nic do powiedzenia, a już na pewno na temat małych form teatralnych.

Sądzę, że każdy szanujący się festiwal (a Szczeciński Tydzień Teatralny chciałby takim być) oprócz tego, że ma prezentować dokonania artystyczne, powinien także w równym stopniu dbać o stronę organizacyjną imprezy, zwłaszcza gdy ona odbywa się w mieście o nikłych tradycjach kulturalnych, lecz mającym ambicje posiadania imprezy o randze ogólnopolskiej.

Szczeciński Tydzień Teatralny winien być tak pomyślany, żeby zapewnić miejsce wśród publiczności młodzieży, głównie akademickiej, pedagogom, i w ogóle tym wszystkim, którzy z własnej, nie przymuszonej woli chcieliby obejrzeć, chociaż niektóre festiwalowe spektakle. Wreszcie, żeby to były spotkania ludzi teatru z widzami. Spotkania żywe. Bo tu już nie wystarcza okołofestiwalowa otoczka, fama, wymiana informacji, podekscytowanie i tylko mówienie o imprezie, bez faktycznego jej oddziaływania na różne środowiska i grupy społeczne.

Dotychczasowa praktyka pokazała, że mimo tworzenia atmosfery wokół Tygodnia Teatralnego, stosowania różnorodnej propagandy, to jednak pozostaje on imprezą zamkniętą, niedostępną ogółowi. Zdaje się, że organizatorzy zgubili cel, jaki zwykle przyświeca tego typu imprezom, a mianowicie: wciągnąć w zakres swego oddziaływania szeroki krąg widzów.

Poza tym dopuszczanie do konkursu co roku niemal tych samych wykonawców nie sprzyja konfrontacjom aktorskim, mało tego, z tegorocznego programu wynikało, że gros przedstawień to monodramy. A więc nie spełniona w stopniu zadowalającym jeszcze jedna funkcja Festiwalu: skupiać, konfrontować, ujawniać tendencje teatrów małych form, a nie teatrów 1 aktora. Te ostatnie mają od dawna swój festiwal o dobrych tradycjach, a jego nazwa w pełni odpowiada temu, co na nim się dzieje.

Myślę, że najsłuszniejszym krokiem w kierunku zdynamizowania Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego byłoby przede wszystkim przeniesienie całej imprezy z Klubu „13 Muz" do sali lub sal spełniających warunki organizacyjne takiej imprezy. By wreszcie mógł on pomieścić na widowni przedstawicieli wszystkich środowisk bez stwarzania sztucznej atmosfery elitarności czy snobizmu, jaka powstaje w momencie próby dostania się na Tydzień Teatralny.

A z drugiej strony należy wreszcie — po tylu latach — zadbać o różnorodność małych form teatralnych, dobrych wykonawców, atrakcyjność repertuaru i imprez towarzyszących.

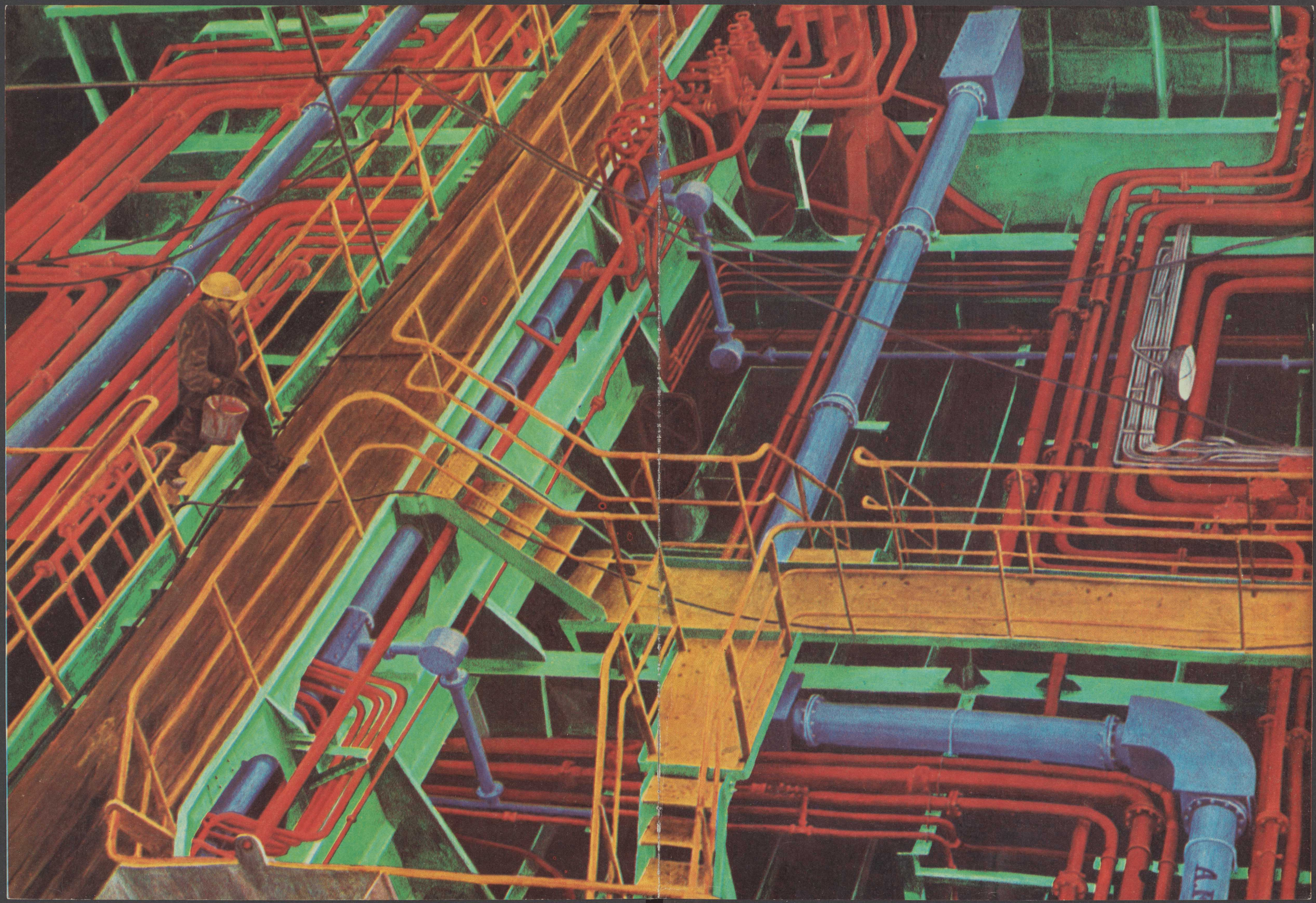
Festiwal ten powinien przekształcić się w forum twórcze, w którym uczestniczą fachowcy: ludzie teatru, krytycy i publiczność odgrywająca aktywną rolę we wszystkich spotkaniach. Tylko trzeba jej zapewnić odpowiednie warunki uczestnictwa, bo w przeciwnym razie cała reklama wokół Tygodnia nadal będzie tylko mamić.

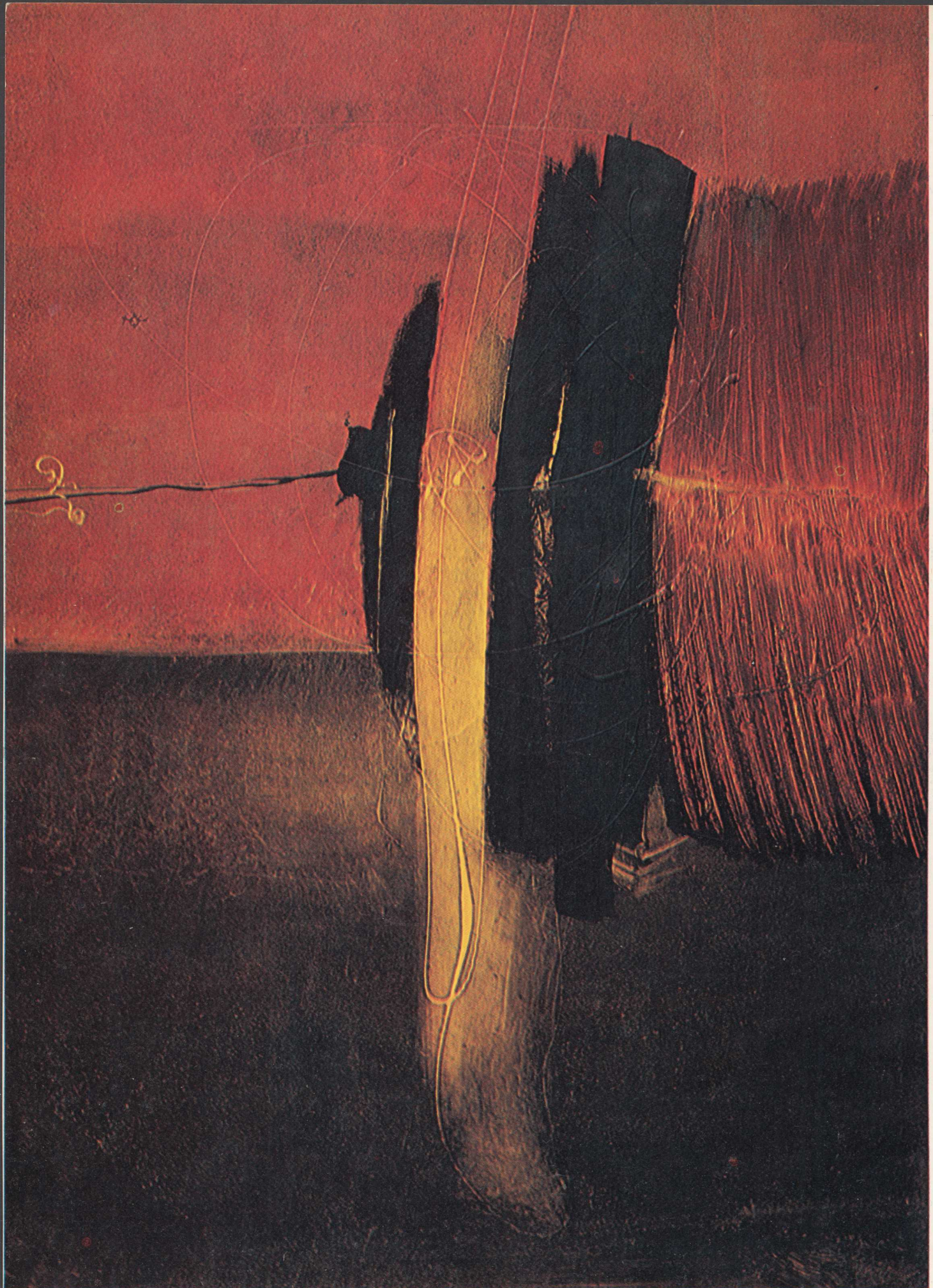
DOMINIK HOFFMAN



JONASZ STERN — „Kompozycja czerwona" — *olej* (1955 r.), własność Muzeum Narodowego w Szczecinie
Fot. W. Termanowski

ANDRZEJ FORYŚ — z cyklu „Dziennik budowy statku" — *technika mieszana*, zwystawy „Piękno Ziemi Szczecińskiej" →





STANISŁAW KUSKOWSKI — „E=MC ²" — *olej*, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — nagroda prezydenta miasta Szczecina

Fot. W. Termanowski

Ze świadomością dziejów, z pojęciem czasu w historii jest podobnie jak ze świadomością czasu kosmicznego — obie na ogół przykładamy do naszej miary trwania, naszej miary czasu, bo trudno nam się wyzwolić z egocentryzmu, z doczesności, z tego, na co potrzymy własnymi oczyma i co sami oceniamy. Nic tu nie pomaga historia, której daje nam trochę liznąć szkoła. Trzeba doprawdy wielkiego wysiłku i samozaparcia, a także wyobraźni, żeby zauważyć, że nasza egzystencja jest właściwie nic nie znaczącym epizodem w tym ogromnym świecie przyrody, w rytmie przemijających spraw i pokoleń. Na co dzień nie potrafimy po prostu patrzeć na siebie i przed siebie, a jeśli już to robimy, to tak, jak byśmy byli najważniejsi.

Wszystko tamto, co było, wydaje nam się małe i nieważne, a to, co przyjdzie — do zdobycia. To swoiste skracanie perspektywy czasowej ma swoje dobre strony, trzyma nas w poczuciu własnej wartości, nie daje na ogół przystępu pesymizmowi, ratuje nas przed lenistwem, podnieca do działania. Jest nawet tak, że nie potrafimy się nawet porządnie obejrzeć na własne życie. Jego wymiar jest bowiem kształtowany przez dzień dzisiejszy, a to, co było wczoraj uchodzi naszej uwadze — przestało się liczyć. Oczywiście dzieje się tak tylko wtedy, gdyśmy sami pełni nadziei. Ci wszyscy, którym zostało już tylko wspominanie, wydają nam się marudni, głównie wtedy, gdy domagają się dla siebie nadzwyczajnych względów, gdy próbują nam narzucić swoje pojęcie czasu. Do przeszłości mamy stosunek pobłażliwy. Ważne jest tylko to, co robimy sami.

Takie odczuwanie czasu jest znamienne szczególnie dla nas, szczecinian, gdańszczan, w ogóle Pomorzan. Mówią o nas, że to z braku tradycji, z braku szacunku dla przeszłości, ale myślę, że to przede wszystkim z młodości, z rozpędu. I nie jest to wcale objaw jakiejś chytrości, nastawienia na prymitywną doczesność, kult rzeczy — wręcz przeciwnie. Więcej wśród nas marzycieli niż gdzie indziej, bo tutaj u nas więcej się zdarzyło niż gdziekolwiek indziej w Polsce powojennej. Wracanie zaś do wspomnień może być smutne, krępujące, wstydliwe — najczęściej ich po prostu nie ma. Nie o fałszywym wstydzie nowobogackich myślę, co to zapomnieli swego najczęściej chłopskiego, siermiężnego pochodzenia, kiedy awansowali razem z całym narodem w trzydziestopięcioleciu, ale o tym, co nas po cichu męczy najbardziej — żeśmy za mało w przeszłości zrobili, żeśmy w jakimś tam stopniu winni sami, że nie jesteśmy dalej. Narzekamy na rząd, na układy, na to, na owo, bo chcemy lepiej.

Zdumiewające w tym myśleniu i działaniu jest to, że nikt nie powołuje się w nim na Smętka. Kto zresztą pamięta jeszcze tego okrutnego wichrzyciela od tysiąclecia podkopującego byt polski na Pomorzu? Świadomość tego, że odjeżdża on, na zawsze pobity przez niezłomnego ducha polskości, słodziła nadzieją ostatnie lata życia Stefana Żeromskiego. Nie na długo zniknął zawzięty Smętek — musiał mu wyjść naprzeciw z całą siłą swojego talentu i odwagi Melchior Wańkowicz, bo stary wilkołak przyczaił się tylko, żeby w stosownej chwili wychynąć i ujawnić całe swoje bestialstwo w latach drugiej wojny. To jego grymas wykrzywia uśmiechnięte gęby morderców Westerplatte i Poczty Gdańskiej, oprawców ze Szpęgawska i Sztutowa. Bo Smętka nie ma tu raz na zawsze dopiero dzisiaj. Dlatego w naszym myśleniu coraz mniej niepokoju, a młodych trzeba go nawet uczyć.

Przed chwilą syn, licealista, poprosił, żebym go przepytał z historii — bo p r z e r a b i a j ą akurat o wojnach polsko-szwedzkich, o jakichś tam Brandenburgiach i Hohenzollernach i on się m u s i tego uczyć! Musi się uczyć tego, co się kiedyś wiedziało od urodzenia, co działało tak samo, jak odruch bezwarunkowy, odwieczne zagrożenie, które weszło w krew polską tak mocno, że śniło się po nocach, żeby nawet we śnie człowiek był czujny.

Czy martwić się z tego powodu? Nie, po stokroć nie. Przecież po raz pierwszy w dziejach jesteśmy tutaj nie w odwrocie, spychani przez brandenburską, szwedzką, krzyżacką, pruską i jaką tam jeszcze zaborczą potęgę, ale jako naród posiadający własną teraźniejszość i cel. Nie trwamy tu siłą ciemnoty, rozpaczą obrońców ostatnich redut czy pojedynczych placówek, nie jesteśmy marzycielami pozbawionymi w ojczyźnie oparcia i zrozumienia, opuszczonymi samotnikami w słusznej, ale tragicznej walce. Już nie giniemy, tępieni i tłamszeni łatwo przez świadome swego, prące na wschód i południe zaborcze i mądrzejsze od nas germaństwo.

Skądeśmy się tu wzięli nagle od Braniewa przez Elbląg, Gdańsk, potem dalej przez Łebę, Kołobrzeg po Świnoujście i Szczecin? Skąd się wyroiliśmy tak licznie, tak zwycięsko, że dzieci nasze nie czują już zagrożenia, że trzeba je już uczyć tego wszystkiego, co dla nas było pierwszą literą w elementarzu patriotycznego wtajemniczenia? Jak doszło do tego, żeśmy tu postawili oprócz tego spłacheka sztandaru, który w Kołobrzegu pamiętnej wiosny wbili w dno Bałtyku umęczeni żołnierze I Armii, ślady tak trwałe, że nie da się ich porównać do żadnej naszej wcześniejszej tu działalności? Dotąd zawsze byliśmy tutaj w obronie. Jeśli były sukcesy, to chwilowe. Nigdy na trwałe nie działała w tym kierunku konsekwentna państwowa polityka. Chrobry, Krzywousty, nawet Grunwald, Wazowie, nieśmiałe próby Sobieskiego czymże były jak nie epizodami nie doprowadzonej do końca sprawy, fragmentami tysiąc lat trwającego dramatu odpychanego od morza i wybrzeża narodu, trwonienia energii i życia jego najświetlejszych przedstawicieli?

Doszło do tego, że już nawet własnego syna muszę przeprowadzać po kartkach najbardziej wstrząsającej i bliskiej mi książki na ten temat — *„Wiatru od morza”: — O co im w końcu szło?* — pyta. — *To to się tu wszystko działo, tutaj pod Kościerzyną, Chojnicami, Tczewem, Malborkiem, Cedynią, Kołobrzegiem?* — zdumiewa się. — Rzeczywiś-

WOJCIECH BAJEROWICZ

RODOWÓD

cie — myślę — właściwie prócz pomników, wspomnień i literatury nie ma innych śladów tych odwiecznych bitew, potyczek i pojedynków — jeśli są cmentarze, to tylko po ostatniej wojnie. A tak naprawdę to jesteśmy my i kraj. Wybrzeże — ojczyzna naszych dzieci. Innej nie znają, do innej nie tęsknią. Tamto wszystko ucichło, minęło, niknie.

Skądeśmy się więc wzięli, żeby zaludnić ten kraj, zaorać i zasiać pola, pobudować drogi, miasta, przemysły, żeby rękami i maszynami sprząc go ze starą Polską, ją samą przybliżyć do morza, żeby dokonać tego, na co poprzednie pokolenia nie potrafiły się zdobyć?

Brandtowie są stąd, spod Kartuz, ze Starych Polaszek. Byli tu zawsze. Gdzieś tu w 1779 roku jeden z największych Polakożerców, grabarz szlacheckiej Rzeczypospolitej, Fryderyk II Hohenzollern nocował w kaszubskiej chałupie. Gdzieś tu, może właśnie w ich gnieździe, patrząc na chłopski dobytek i chudobę umacniał swoją pogardę dla *„liederliche polnische Zeug”*. Uświadamiam sobie w tym momencie, że było to również dwieście lat temu. Czy była to ta sama, kryta słomą drewniana chata, w której dwadzieścia pięć lat temu odbyło się wesele Kaszuba Józka Brandta, młodego nauczyciela, z moją siostrą. Chata, z której on i jego rodzeństwo wyszli raz na zawsze, żeby zasiedlić na nowo Gdańsk, Elbląg, miasta i tereny, z których ich kiedyś wypchnięto. Być może, bo nikt przedtem ani dzisiaj nie wie, kto tę chatę postawił. Brandtowie na pewno, ale kiedy? Pradziadek nawet nie pamiętał. Po wojnie młodzi porzucili ją bez żalu sprzedali za parę groszy. A teraz, po latach, wracają w jej okolice, parkują samochody pod dawnym ojcowskim domem, schodzą stromym zboczem do jeziora i biwakują w cieniu buków, które szumią im dzieciństwem.

Józek Brandt opowiada mi, że żal im teraz tego domu, ale jego dzieci nic z tego nie rozumieją, są spadkobiercami innej tradycji, tej, którą im tworzy on sam, polski na-

uczyciel. Zmienne są koleje losu — król Fryderyk głęboko wierzył, że najlepszym sposobem zgnębienia polskości jest szerzenie oświaty, postępu technicznego, wyrywanie ludzi z kręgu tradycji, pchanie ich do przodu — bo dla niego symbolem tego kraju były zawsze Nędza i Głupota. Dorastające dzieci Józefa Brandta nie wiedzą, że ich ojciec jest Kaszubem z krwi i kości. Dwadzieścia pięć lat temu brałem udział w jego weselu, dzisiaj, wiosną 1980 roku uczestniczę w weselu jego córki. Wtedy, obcy, przybysz z Polski, tyle że brat ówczesnej panny młodej, dziwnie się czułem wśród tych powściągliwych, trzymających się razem, trochę nieufnych i mówiących starodawnym słowiańskim językiem ludzi. Poruszali się z godnością, siadali do stołu według odwiecznych hierarchii. Biesiadowaliśmy na dworze, a stoły były na koziołkach, z drzwi wyjętych z zawiasów. Pod wieczór poprzedzani kapelą grającą nieznane mi starodawne melodie weselne poszliśmy tanecznym korowodem w rytm chodzonego — miedzami, piaszczystą dróżką na obchód Brandtowego dziedzictwa. Na łączce nad jeziorem siedliśmy na złomowisku głazów narzutowych, może jeszcze miejscu ofiarnym, a stary muzykant odśpiewał kilka obrzędowych piosenek pewnie nawet Kolbergowi nieznanych. Było tak, jakby starzy chcieli odchodzącemu stąd do miasta w nauczyciele Józkowi przekazać coś z tych niewypowiedzianych uczuć łączących ich z tymi kamieniami, z tym jeziorem, lasem bukowym, ciszą, za którą można się było kiedyś schronić przed wrogiem. Było trochę smutno. Czyżby tak przywykli do tego swojego oczekiwania na Polskę, że jego szczęśliwy finał nie potrafił ich już cieszyć?

Wszystko to było dla mnie wstrząsającą inicjacją. Tu po raz pierwszy otarłem się o tajemnicę odwiecznego trwania Pomorzan, której nie pojął zapiekły w nienawiści do sprawiedliwy dyro Iwanowicz. Nasze dziewczyny, jak to zwykle one, układne, cichutkie. Nad dyrem Romek Cywka z umęczoną gębą. Czuję jeszcze dzisiaj, jak kurczowo trzyma się mojej ręki, a z drugiej strony ucapił Kazia Starczewskiego, żeby się nie zapomnieć i nie wystawić rogów dyrowi czy łacinnikowi Sadzewiczowi. Tadzio Chudoba wyciąga szyję, chce być bliżej kamery, jest strasznym krótkowidzem i mimo okularów wydaje mu się, że jest za daleko. Bogdan Prądzyński patrzy w dal — wymyśla kolejną zwrotkę pieśni według wzoru: „Napoleon nosił rapier". Andrzej Kosior wykorzystuje okazję, żeby być bliżej Nelly Mroczkowskiej, ona też nie jest przeciw. Lachs z Zacholskim mieniają się paliwem. Władzio Władyka drażni kulą (jest kaleką) Beńka Konkola — ten opędza się sztywno — stoi przecież przed kamerą i wychodował sobie wspaniałą fryzurę, boi się o nią. Jasio Wiatrowski tęsknym wzrokiem prowadzi gołębie zrywające się akurat z dachu internatu, ach, jakby zagwizdał na nie, wie przecież o nich tysiąc więcej niż o matematyce.

Jest to zwykła fotografia zwykłej polskiej klasy szkolnej. Ale kiedy patrzę na nią z perspektywy ćwierćwiecza — staje się ona dla mnie symbolem wielkiego procesu, zdarzenia bez precedensu, czegoś z czego znaczenia i zasięgu nie zdajemy sobie na ogół dzisiaj sprawy, czegoś, co dla naszych historyków będzie kiedyś w przyszłości jednym wielkim społecznym fenomenem chyba tylko dla nas właściwym. Bo już wtedy stanowiliśmy zgrany zespół, kolektyw, mimo tego, żeśmy się w tym Lęborku pozbierali

RODOWÓD c.d.

Polski król Fryderyk — oni przez tysiąc lat wyczekiwali z nadzieją pomocy stamtąd, ze swojego kraju. Teraz oto oddają jej wszystko, co mają najlepszego — swoje dzieci.

Biorę dzisiaj udział w weselu córki Józka Brandta, Joasi, już jako jej wujek. Dzisiaj wszyscy jesteśmy tu Polakami. Wystarczyło zaledwie trzydzieści kilka lat na to, byśmy włączyli się wszyscy w życie narodu. I tym razem nie im, a mnie robi się żal. Właśnie tego, co widziałem na tym pierwszym weselu, co się skończyło. A skończył się czas cichego, nieprzepłaconego męstwa, odeszli bezimienni bohaterowie, faktyczni twórcy dziejów. Nigdy już nie poznamy nawet ich nazwisk, nikt nie postawi im pomników. Żal mi języka, dawnych obyczajów, żal tamtej ich zamkniętej w sobie godności, żal zapiekłej, fanatycznej wiary w nadejście lepszych czasów — chociaż wiem, że nic na to nie można poradzić, że to minęło.

A przecież to oni przez ten tysiąc lat wołali swym trwaniem o nasz powrót tutaj, zaświadczali o naszym prawie do tego powrotu. W żadnym innym regionie Polski integracja etniczna, społeczna, językowa i obyczajowa nie nastąpiła szybciej niż tu dzisiaj. Więc trochę mi żal.

A my, skądeśmy się tu wzięli? Brandtowie — to już wiadomo — zawsze tu byli. A pozostali? Mam w domu takie śmieszne zdjęcie, taką zbiorową fotografię naszej trzeciej „b" gimnazjalnej z 1950 roku. Stoimy sobie oto w trzech rzędach na tle potężnego gmachu szkoły w Lęborku. Przed nami siedzi dostojne grono z rączkami poukładanymi porządnie na kolanach. Pośrodku srogi, ale w końcu z połowy świata — Cywka spod Warszawy, Władyka ze Lwowa, Starczewski ze Skarszew, Chudoba ze Środy, Kosior z Tarnopola, Konkol z Wejherowa, Prądzyński spod Chojnic, Zacholski z Rzeszowszczyzny, Wiatrowski z Lubelskiego. Nigdy wśród nich nie odczułem żem Poznaniak, nigdy nie miało to znaczenia. A było ledwo pięć lat po wojnie i bardzo różniliśmy się językiem, doświadczeniami i obyczajami. Było jednak coś, co przeganianych przez los, umęczonych przez wojnę, zabiedzonych łączyło zarówno nas jak i nauczycieli, to była właśnie owa świadomość przynależności do jednego narodu tak mocna, że niwelowała wszystko, co mogło przeszkadzać we współżyciu i naruszyć upragnioną wolność.

Patrzę z szacunkiem na tamtych belfrów. Kaszub Mowiński nauczył mnie najważniejszych patriotycznych pieśni. Góral Mularczyk czułości do sztuki, lwowianin Leśniakowski prowadził mnie przez plewiony ogród ojczystej literatury — a wszyscy byli dobrzy dobrocią ludzi, którzy traktowali swój zawód jako służbę społeczną. Szast, który tyle mnie namęczył swoją wiedzą, zostawił mi w spadku graniczący niemal z zazdrością podziw dla wszystkich, którzy bez trudu radzą sobie z tą niepojętą magią cyfr i pojęć. On też jednoczył wilnianina Leona Anisimowicza i Pomorzanina Wacka Krauzego, gdy przy tablicy przeprowadzali swoje zawiłe dowody. Mogłem wtedy spokojnie i prawie oficjalnie łasować „Kuźnicę" i „Odrodzenie".

Myślę, że to właśnie stanowi o nowoczesności naszego narodu a nas, mieszkańców Wybrzeża w szczególności —

owa tolerancja nie tylko wobec cudzego pochodzenia, ale i jego obyczajów, języka, przeszłości. I ją wnosimy jako kapitał podstawowy do narodowego dorobku, jako element decydujący o sile polskości i jej kultury w ogóle. Przecież mało jest w świecie narodów tak zintegrowanych jak nasz, społeczeństw tak polskich jak to tutaj na Wybrzeżu. Nie ma tu u nas „Krzoków" i „ptoków" — asymilujemy wszystkich nie przemocą, ale właśnie żywiołowym otwarciem się ku cudzym prawdom, nawykom, przeszłości. Nikt tego nie sankcjonował, nie zebrał w punkty kodeksów, jest to sama istota nas, Pomorzan.

Pisał Żeromski w *„Opowieści o Helu"*, przecież trzeba to odnieść do całego Wybrzeża:

„Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny. Przychodzimy jako spadkobiercy Krzywoustego drużyny... Ona szła wielkie rzesze słowiańskie wesprzeć o polskie mocarstwo, obronić i zachować... Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady ochronić... Przybywszy na to jałowe wybrzeże budujemy portowe paliszcza, wprawiamy w ruch nowe koleje, prowadzimy poprzez błota bite drogi i zbogacamy mieszkańców... Strzały armat ze statków wojennych łoskot roznoszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępiciela nigdy tu już nie postanie. Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy krzywdy. Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i spokój. Przynosimy dobro i pracę".

Ta najpiękniejsza i najmądrzejsza synteza naszych ludzkich praw do tej ziemi, jaką znam, streszcza także te cechy narodowego charakteru Polaków, które pozwalały im zawsze dźwignąć się po klęskach ze zdumiewającą żywotnością.

To jest właśnie nasz wkup do ogólnonarodowego dorobku, że stworzyliśmy tutaj — nie z jałmużny, nie z lichwy, nie ze spadku po bogatych krewnych, nie z grabieży i wyzysku — kraj, który wydaje się nam samym, pamiętającym przecież gorsze czasy, zwyczajny — jakby taki był zawsze. Inni na swój dobrobyt, na przemysłową tradycję, na morską cywilizację i kulturę pracowali przez stulecia, przez wieki. Minęło zaledwie trzydzieści pięć lat, a na Wybrzeżu powstało nie tylko nowe społeczeństwo, ale i cywilizacja, wobec której wszystko tu pozostawione przez poprzedników dokonania wydają się nikłe. Stoją za nami nie tylko wielkie miasta, porty, stocznie, elewatory, flota, ale i małe osiedla, wsie i to wszystko, co składa się na pojęcie ojczyzny, na to, co jest nasze, czego nie można nam już żadną siłą odebrać, co zmusza nas do obowiązków, wymaga szacunku, żąda zagrożone obrony, a równocześnie daje poczucie bezpieczeństwa, zapewnia spokój myślom, chroni od zła, patronuje miłości i przyjaźni.

Kiedy z synami w zagranicznej podróży komentowałem głośno po polsku jakąś budowlę, podszedł do nas starszy pan i powitał rodaków; ucieszył się ze spotkania i bardzo chciał rozmawiać. Był ciekaw, z jakiej to dzielnicy ród nasz mianowicie wiedzie się, bo on nie bywszy, znaczy się po wojnie, w kraju, a takiej gwary jak nasza onegdaj nie świadom. Słuchaliśmy owego pana mniej zaskoczeni samym spotkaniem, bo na naszych można się natknąć w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach, więcej zdziwieni jego językiem, śpiewnym, kresowym, wileńskim — jak się go kiedyś nazywało. Szczeciniacy jesteśmy — powiedział młodszy syn, nie chcąc z grzeczności poskąpić rozmowy staruszkowi i jeszcze uśmiechnął się do niego, dziwaka, zachęcająco. A w tym panu nagle coś zadrgało, trzasnęło — nagle poczerwieniał, zapienił się. — *Cóż to za nacja, Szczeciniacy!* — krzyczał, jąkając się ze złości — *Coś ty za ojciec, jak ty synów wychował, a?* — ruszył ku mnie zamierzając się laską — *Ty jesteś Polak? Jacy Szczeciniacy?*

Ustąpiliśmy staruszkowi, daliśmy dyla po prostu. Próbował, zniedołężniały, dotrzymać nam kroku, przekrzykiwał powiększającą się między nami przestrzeń, groził kijem, błagał w końcu o coś. Coraz bardziej samotny i zniedołężniały.

O co mu szło — nie mogli zrozumieć chłopcy — przecież chcieli być dla niego uprzejmi. Wariat, jak nic wariat — powiedział młodszy. E, zaraz tam wariat — tylko się, tata, nie obraź, nic z aluzji — uprzedził mnie starszy. — Przecież to klasyczny, patologiczny wapniak. A spierałeś się, że wam nie odbija, że to tylko my jesteśmy nieczuli i aroganccy. I natychmiast zapomnieliśmy o tym incydencie.

Cóż im miałem powiedzieć, co tłumaczyć? Idzie to zdarzenie za mną od kilku już lat — przecież tego, czym jest ojczyzna, nie da się wytłumaczyć, z tym przychodzi się na świat, to pierwsze obok matki i ojca rozpoznają młode oczy, do tego przymierza się każdy inny widok i kraj. Jednemu się zazdrości, jeśli ten jest lepiej urządzony niż nasz, drugiemu współczuje, jeśli radzi sobie gorzej. Staruszek wziął nas za zdrajców swojej ojczyzny, a my przecież mamy inną, pomorską, tym piękniejszą, że powstawała razem z nami. Żal mi staruszka — emigranta, ja go jeszcze rozumiem, mimo że walczył o swoją tożsamość daremnie. Jakże mógł się łudzić, że zamąci moim synom raz na zawsze zakodowany w świadomości obraz życzliwych ludzi, dzieł wspólnie tworzonych, nadziei na jutro, drogi do naszego lasu, tych brzózek przy niej w wiosennej zieleni, migotania fal na naszym jeziorze — jakże mógłbym im odebrać tę radość życia, którą czują, gdy z krzykiem w skwarny dzień skaczą w jego orzeźwiającą wodę, a ta pryska wokół w wesołych tęczach i zachęca do zabawy. Wariat! Wapniak!

Dziadka, poznaniaka, pochowaliśmy w żuławskich madach. Teściową, babcię — w szczecińskich piachach na morenowym wzgórzu, na cmentarzu, któremu początek dali nieznani żołnierze I Armii. Przychodzimy tu czasami, żeby odpocząć. Tu najlepiej, najspokojniej pracuje się pszczołom i trzmielom, tu też chyba najlepiej się żyje szpakom i kosom, bo gwiżdżą i gwarzą o każdej porze dnia.

Oto podjeżdża pod cmentarz samochód z niemieckimi znakami. Wysiada z niego stara kobieta i dwoje młodych. Wnuków? Niemiecka babcia prosto, chyba znajomą drogą, szybko, na ile ją stać jeszcze, drepcze w stronę cmentarza, młodzi, przeciągając się po długiej widocznie podróży, wyraźnie bez interesu — za nią. Babcia zaczyna czegoś szukać wśród polskich grobów — czyta napisy, rozchyla krzaki, myszkuje coraz bardziej niespokojna. Wzywa młodych na pomoc. Ci też szukają, ale bez przekonania. Wzruszają ramionami, rozkładają ręce, wreszcie dają spokój i czekają grzecznie. Staruszka jeszcze próbuje, ale z coraz mniejszą nadzieją. Sięga po chusteczkę. Popłakuje. Odchodzi. Znowu wraca. Ociera oczy raz po raz. Ginie w oczach. I w końcu odchodzi naprawdę. Młodzi za nią. Już odpoczęli. On obejmuje dziewczynę, ta chyli ku niemu głowę. Muskają się ustami, szukają rękami. Takie tam normalne zabiegi. Promieniują uśmiechnięci. Pochylona staruszka przed nimi. Prawda — był tu kiedyś ich cmentarz. Więc o to szło! Potem jeszcze raz młodzi rozkładają ręce, moszczą babci miejsce w samochodzie i odjeżdżają. Po Smętku ani śladu, ani nawet cienia. My zostajemy.

ANDRZEJ JEZIERSKI

SZCZECIN 1945

problemy polityczne

Problem zachodnich granic Polski był przedmiotem dyskusji trzech przywódców mocarstw koalicji antyhitlerowskiej na długo przed spotkaniem w Teheranie oraz w trakcie spotkania w stolicy Iranu późną jesienią 1943 roku.

Po spotkaniu teherańskim — drogą korespondencyjną — przyjęto w zasadzie prawa Polski do granicy w części północno-zachodniej na linii Odry z włączeniem Szczecina i Świnoujścia. Znalazło to wyraz w podpisanym 26 lipca 1944 roku protokole do porozumienia między PKWN-em a Rządem Radzieckim, który zobowiązał się do popierania polskich postulatów ustalenia granicy zachodniej na linii Odry i Nysy Łużyckiej z włączeniem do Polski Szczecina i Świnoujścia.

W kilka miesięcy później rząd Wielkiej Brytanii w liście podsekretarza stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych A. Cadogana do Stanisława Mikołajczyka z 31 października 1944 r. poparł stanowisko w sprawie Odry i Szczecina. W czasie spotkania w Jałcie po zaprezentowaniu przez J. Stalina opinii co do zachodnich granic Polski, pozostali dwaj przywódcy mocarstw zachodnich rozpoczęli w tej kwestii polemikę nie atakując jednak ustalonego porozumienia dotyczącego Szczecina.

W marcu i kwietniu 1945 roku stosunki wewnątrz Wielkiej Koalicji uległy wyraźnemu ochłodzeniu. Korespondencje przywódców cechuje w tym okresie: nieufność, podejrzliwość i wzajemne zarzuty. W tym właśnie czasie (w połowie kwietnia 1945 roku) rozpoczyna się wielka ofensywa znad Odry i Nysy, która wkrótce doprowadza do upadku i kapitulacji III Rzeszy.

Na krótko przed rozpoczęciem tej ofensywy odcinek frontu Kołobrzeg-Schwedt przejął od I Frontu Białoruskiego II Front Białoruski. Początek natarcia nastąpił 20 kwietnia, ale nabrało ono impetu od 26 kwietnia[1] — jak pisze w swym pamiętniku generał Iwan Fieduniński — dowódca 2 armii uderzeniowej — *przeprawiliśmy się przez Odrę i wkroczyliśmy do Szczecina opuszczonego przez nieprzyjaciela bez walki. W mieście doszło tylko do krótkiej wymiany strzałów*[2].

Tego samego dnia prasa poznańska podała, że na stanowisko pełnomocnika rządu na okręg Pomorza Zachodniego powołany został ppłk. Leonard Borkowicz. Stanowisko to zostało utworzone decyzją Rady Ministrów 14 marca 1945 roku. Początkowo na to stanowisko powołano Aleksandra Kaczochę-Józefskiego, ale wobec mianowania go 11 kwietnia wiceministrem Administracji Publicznej, stanowisko pełnomocnika pozostało do obsadzenia. 16 kwietnia ówczesny przedstawiciel rządu przy I Froncie Białoruskim Leonard Borkowicz zostaje ostatecznie powołany na to wakujące stanowisko. 16 kwietnia ppłk Borkowicz udał się do Piły, gdzie powołał pełnomocnika. Między innymi towarzyszył mu tam kierownik biura planowania odbudowy na okręg Pomorza Zachodniego inż. Piotr Zaręba. W swym niezmiernie interesującym pamiętniku opisuje on przebieg narady, która odbyła się w Pile 19 kwietnia, na której ppłk Borkowicz według Zaremby w sposób następujący scharakteryzował sytuację: *Generał Malinin z I Białoruskiego Frontu wydał komendantom wojennym rozkaz udzielania pomocy polskim władzom przybywającym do swych powiatów. Pomocy tej istotnie udzielono. Na naradzie w dniu 19 kwietnia omawialiśmy również perspektywę zdobycia Szczecina i potrzebę przygotowania się już teraz do operatywnego i szybkiego przejęcia tego miasta*"[4].

Z punktu widzenia polityki rządu polskiego sprawa jest jasna. Pomoc władz radzieckich dla powstającej administracji polskiej obejmować miała obszar Pomorza Zachodniego zgodnie z wstępnymi porozumieniami wielkich mocarstw, a więc do linii Odry z włączeniem Szczecina i Świnoujścia. Bawiący w Warszawie 27 kwietnia ppłk Borkowicz wysłał do swego zastępcy kpt. Wiktora Jaśkiewicza do Poznania depeszę następującej treści: *„niezwłocznie obsadzić zdobyty Szczecin, mianować prezydenta miasta, sformować zarząd miejski, przygotować kwatery dla urzędu wojewódzkiego. Borkowicz"* [5].

Na stanowisko prezydenta Szczecina powołany został inż. Piotr Zaremba, który dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności przebywając tego dnia w Poznaniu znalazł się, po otrzymaniu depeszy przez kpt. Jaśkiewicza, w jego siedzibie przy ul. Konopnickiej 6.

Jaśkiewicz i Zaremba niezwłocznie udają się do Szczecina i 28 kwietnia o godz. 14[15] przejmują od komendanta wojennego płk. Aleksandra Fiedotowa władzę cywilną w mieście.

Już w dwa dni później prezydent Zaremba wraz z zorganizowaną w pośpiechu ekipą powraca ciężarówką do Szczecina i 30 kwietnia o godz. 8[15] zawiesza polską flagę na gmachu zajętym przez polskie władze cywilne.

Pierwsze dwa tygodnie maja upłynęły w Szczecinie na wytężonej pracy polskiej administracji, polegającej na organizowaniu władz, zabezpieczaniu majątku i ożywieniu miasta. Miasto było martwe, gdyż władze hitlerowskie ewakuowały z niego prawie całą ludność cywilną. W momencie wyzwolenia znajdowało się na obszarze miasta zaledwie ok. 6000 mieszkańców.

16 maja 1945 roku naczelny dowódca Wojska Polskiego marszałek Michał Rola-Żymierski rozkazem nr 2817 nakazał wykorzystać jednostki Wojska Polskiego do osłony granicy zachodniej. Wydaje się, że dotyczyło to linii opisanej w protokole z 26 lipca 1944 r.[6]

17 maja ukazał się rozkaz podpisany przez p. o. szefa sztabu WP zmieniający rozkaz nr 2817 z 16 maja 1945 r. następującej treści: *„wszystkie dywizje II Armii WP przesunąć na wschodni brzeg Odry"*[7]. W związku z tym wydaje się, że pomiędzy 16 a 17 maja zapadła decyzja obsadzenia przez polskie władze cywilne i wojskowe linii na wschód od rzeki Odry i Nysy Kłodzkiej. W ten sposób sprawa zarówno Dolnego Śląska (leżącego na zachód od Odry), jak i Szczecina stała się otwarta. Wytłumaczenie tego faktu z dużym prawdopodobieństwem przedstawić można następująco. Jak wspominaliśmy już, w kwietniu uległy pogorszeniu stosunki między rządem radzieckim a rządami aliantów zachodnich. Śmierć prezydenta USA F. D. Roosvelta mogła spowodować dodatkowe trudności w tych stosunkach. O ile rządy brytyjski i radziecki były zgodne co do przyznania Polsce Szczecina i zgody te zawarte były w określonych dokumentach, stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych nie zostało jednoznacznie sformułowane. Dla wyjaśnienia szeregu spornych problemów i przygotowania spotkania „Wielkiej Trójki" prezydent Truman wysłał do Moskwy wybitnego doradcę zmarłego prezydenta Harry'ego Hopkinsa. Hopkins przybył do Moskwy 26 maja i był tam do 7 czerwca. W czasie rozmów wyjaśniono stanowiska i zawarto wstępne porozumienie w węzłowych kwestiach politycznych. Jest wysoce prawdopodobne, że Józef Stalin nie chciał przed owymi rozmowami sytuacji „faktów dokonanych", nie uzgodnionych jednoznacznie z Rooseveltem, stąd przekazanie administracji polskiej — cywilnej i wojskowej — linii Odry i Nysy Kłodzkiej.

Jeżeli decyzja w sprawie przyjazdu Hopkinsa zapadła w połowie maja, pokrywa się to z datą zmian w rozkazie marszałka Żymierskiego jak i tak zwanej I ewakuacji Szczecina.

15 maja ppłk Borkowicz udał się do Warszawy, skąd następnego dnia powrócił z decyzją opuszczenia Szczecina przez władze polskie. Przedmiotem dyskusji jest miejsce ewakuacji: Dabie, Stargard i Koszalin. Ostatecznie władze wojewódzkie przeniosły się do Koszalina. W datach decyzji ewakuacji i rozkazach dla wojska istnieje pewna rozbieżność — 15 maja Borkowicz, a 17 maja wojsko — która może być wytłumaczona odmiennym trybem rozkazodawstwa. Ostateczny termin ewakuacji ustalono na 19 maja. Ppłk Borkowicz opuścił Szczecin 19 maja o godz. 12[00] w samochodzie pełnym kwiatów, a jego zachowanie wskazywało na optymizm i nadzieję na rychły powrót. Nastrój wojewody nie udzielał się innym.

Piotr Zaremba zapisał w pamiętniku:

19 maja o godz. 16[00] opuściłem Szczecin bez wielkiej nadziei powrotu". Pisze Jamroży[8]: *Szczecin miał przestać być nasz. Wewnętrznie byliśmy osłupiali. Upadło nie tylko wiele czynu, ale oderwać należało przyrastające tu serce".* Pisze Kijowski: *„Powód ewakuacji nie został podany i do dziś nie została ustalona jej przyczyna. Wszystkich bez wyjątku ogarnęła psychoza strachu, a jedynym tego wyrazem była powszechna myśl: pakować manatki i uciekać"* [9].

Niektórzy znaleźli się w Stargardzie, inni w Koszalinie, a jeszcze inni aż w Warszawie. Ci ostatni przekazywali wieści najbardziej paniczne. Jednemu z ich autorów ppłk Borkowicz rozkazał 31 maja opuścić Pomorze Zachodnie w ciągu 12 godzin. Sprawy skomplikowały się, lecz nie przedstawiały się źle.

Już 31 maja dowódca II Frontu Białoruskiego marszałek K. Rokossowski, którego władzy wojskowej podlegał Szczecin, poszukiwał bezskutecznie Leonarda Borkowicza (w tym czasie przebywał on w Warszawie). 3 czerwca odbyła się rozmowa Borkowicza z Rokossowskim. W oparciu o instrukcje z Warszawy, i zapewne z Moskwy, ustalono, że Urząd Wojewódzki pozostanie na razie w Koszalinie, natomiast polski zarząd miasta powróci do Szczecina 6 czerwca.

Prezydent Zaremba otrzymał następujące instrukcje: powołać zarząd miejski, prowadzić nadal prace organizacyjne, popierać osadnictwo Polaków. Jest bardzo prawdopodobne, że rozmowy Stalin—Hopkins wpłynęły na te decyzje. Mogły na nią wpłynąć także inne czynniki. Madurowicz notuje: *„władze radzieckie w Berlinie były zaskoczone ożywioną działalnością niemieckiego zarządu w Szczecinie, którą określiły mianem zagadkowej"* [10].

W istocie niemiecki zarząd miejski rozpoczął intensywną akcję powrotu Niemców do miasta zarówno z bliższych, jak i dalszych okolic. Z Rugii i Świnoujścia zwożono ich barkami Odrą. Ludność ta koczowała często w trudnych warunkach. W ciągu trzech tygodni liczba niemieckiej ludności wzrosła do ok. 50 tys. mieszkańców. Jest wysoce prawdopodobne, że rząd radziecki uznał to za zjawisko niepokojące. Polityka ZSRR nie uległa wszak zmianom w sprawie postulatów dotyczących granicy na Odrze z włączeniem Szczecina i Świnoujścia. 11 czerwca 1945 roku w związku z przyjętymi zasadami okupacji Niemiec przez wojska alianckie dokonano nowej linii rozgraniczenia stref odpowiedzialności sztabów radzieckich. Działalność okupacyjną w strefie radzieckiej powierzono sztabowi I Frontu Białoruskiego marszałka Żukowa z siedzibą w Berlinie. Wschodnią linię rozgraniczenia stanowiła Odra. W ten sposób Szczecin znalazł się w strefie odpowiedzialności sztabu wojsk okupacyjnych w Berlinie. 17 czerwca władze miejskie otrzymały polecenie od E. Ochaba, ministra administracji publicznej, ponownego opuszczenia Szczecina.

Dla opieki nad Polakami przebywającymi w mieście powołano 18 czerwca Komitet Pomocy Polakom. Jamroży tak pisze: *„Około godziny 18[00] (18 czerwca) przyjeżdża inż. Zaremba i przychodzi do mnie w towarzystwie ob. Kaczmarka, z którym mnie zapoznaje. Z miejsca prosi mnie o moją nominację na wiceprezydenta, a otrzymaną spala nad popielniczką. Moja mina niewyraźna, nic nie rozumiem o co chodzi. Po dokonaniu tej czynności Zaremba oświadcza: władzy polskiej od tej chwili w Szczecinie nie ma, ja jestem tu prywatnie. Milicja Obywatelska, Urząd Bezpieczeństwa i poczta wyjeżdżają dziś w nocy ze Szczecina ... późnym wieczorem inż. Zaremba przeprowadza ze mną rozmowę w cztery oczy."* [11]

Stan faktyczny był następujący: w dniu 15 czerwca prezydent Zaremba odbył w Berlinie rozmowę z generałem Tieleginem [12], współpracownikiem marszałka Żukowa. Poinformowano, że w końcu czerwca zapadną ostateczne decyzje i do tej pory należy powstrzymać się od działań.

21 czerwca 1945 r. doszło w Moskwie do porozumienia pomiędzy politykami polskimi w sprawie powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, co stanowiło warunek uznania rządu polskiego przez aliantów zachodnich określony w Jałcie oraz, jak się wydaje, warunek uznania polskich postulatów w sprawie granicy zachodniej. W skomplikowanej sytuacji politycznej, gdzie z jednej strony występował trójkąt wielkich mocarstw, z drugiej strony trudne problemy tworzenia Rządu Jedności Narodowej, sprawa Szczecina stała się delikatną kwestią polityki światowej. Przekroczenie w tych warunkach wytycznych Warszawy w okresie 9—15 czerwca przez działaczy polskich w Szczecinie mogło spowodować gniewną reakcję w postaci zarządzenia E. Ochaba. Kto wie czy nie wpłynęła na to wizyta Piotra Zaremby w Berlinie, którą Warszawa mogła uznać za przekroczenie kompetencji.

Z drugiej strony trudno dziwić się działaczom polskim w Szczecinie Po I ewakuacji sytuacja jest napięta, zwłaszcza w płaszczyźnie stosunków polsko-niemieckich. Zestawmy fakty:

Od 20 maja zaczyna się napływ ludności niemieckiej do miasta. Od 20 maja do 10 czerwca ukazywała się „Deutsche Zeitung". W maju działa trzecia grupa operacyjna „Wolne Niemcy" początkowo w Warszewie, a następnie w Krzekowie. 17 czerwca niemiecka rada miejska debatuje, jak usunąć Polaków ze Szczecina, między innymi pada zdanie, iż *„Polaków i ludzi innych narodowości nie traktować w rękawiczkach".* 19 czerwca rozchodzi się plotka o aresztowaniu Piotra Zaremby.

Wszystko to wskazuje, iż posunięcia polityków polskich w Szczecinie spowodowane być mogły bardziej chęcią ochrony Polaków w tym mieście, a mniej względami polityki międzynarodowej.

W momencie powstania niemieckiej policji porządkowej (18 maja) liczyła ona 40 osób, następnie rozrosła się do 720 osób. Dodać tu trzeba różnorakie pogłoski o powstaniu wolnego miasta itp.

Nieoficjalny wysłannik niemieckiego zarządu miasta Scharmowsky postawił przedstawicielowi Polaków Jamrożemu 3 lipca 1945 r. trzy pytania:

1. Jakie jest stanowisko Polaków w sprawie wolnego miasta?
2. Co by chcieli Polacy, gdyby Szczecin został niemiecki?
3. Jaki byłby stosunek Polaków do Niemców w polskim Szczecinie?

Na żadne z tych pytań nie otrzymał, oczywiście, odpowiedzi. Rada Ekonomiczna Komitetu Pomocy Polakom zaczęła nawet ustalać listę senatorów przyszłego wolnego miasta. 7 lipca owa lista 50 senatorów została znaleziona przez poliskich urzędników w papierach niemieckiego zarządu miasta ku wielkiej konfuzji kandydatów na senatorów. Informacje niemieckiego zarządu miejskiego były na ogół ścisłe, jako że tego samego dnia (3 lipca) odbyła się bez porównania ważniejsza dla przyszłości Szczecina rozmowa w Berlinie.

Na zaproszenie marszałka Żukowa udali się do Berlina Leonard Borkowicz i Piotr Zaremba. Decyzje były następujące: Szczecin będzie polski, port na razie w administracji radzieckiej. Radziecki komendant wojenny w Szczecinie oddaje władzę polskiemu komendantowi, który będzie jednocześnie dowódcą garnizonu. W Szczecinie służbę obejmuje polska 16 Brygada Pancerna. Gdyby potrzebna była jeszcze jedna brygada, wymagana jest na to zgoda władz radzieckich — ale zgoda taka będzie. Polski zarząd miejski przejmuje funkcję niemieckiego zarządu, a więc opieki nad całą ludnością.

10 lipca przybył do Szczecina współpracownik marszałka Żukowa generał Sierow. Ustalono linię demarkacyjną, która miała obowiązywać do czasu podjęcia decyzji przez konferencję „Trzech" w Poczdamie.

Po ostatecznym przyznaniu Szczecina Polsce na konferencji w Poczdamie, 2 sierpnia 1945 r. stopniowo likwidowano przejściowy status wprowadzony 5 lipca.

4 października 1945 r. dokonano delimitacji zachodniej granicy Polski w rejonie Szczecina i nastąpiło przejęcie tych terytoriów przez władze polskie. 9 października przejęto Świnoujście.

Granica obsadzona została przez 12 Dywizję Piechoty WP. Zasadnicze problemy polityczne i graniczne zostały ostatecznie rozstrzygnięte. Przed władzami polskimi stanęło kapitalne zadanie budowy życia społecznego i gospodarczego Pomorza Zachodniego oraz jego integracji z resztą kraju.

---

1) Grigorij Żukow, *Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 1970 r., s. 784.
2) Iwan Fiedunński, *Na alarm*, Warszawa 19 r., s. 306.
3) Generał-lejt. M. S. Malinin szef sztabu I Frontu Białoruskiego.
4) Piotr Zaremba, *Pierwszy szczeciński rok*/1945, Poznań 1970, s. 44.
5) WAP Szczecin, *Dziennik Piotra Zaremby, t. I.*
6) *Organizacja i działalność bojowa.* LWP w latach 1943—1945, t. III, Warszawa 1965 r., s. 999.
7) Tamże.
8) Franciszek Jamroży, wiceprezydent m. Szczecina, Wspomnienia dotyczące przejmowania władzy na Pomorzu Zachodnim w 1945 r. Maszynopis w IZP w Szczecinie. Cytuję za K. Golczewskim, Porzucona Twierdza, Poznań 1967 r. s. 183.
9) Józef Kijowski, księgarz, Wspomnienia z roku 1945. Maszynopis IZP w Szczecinie. Cytuję za K. Golczewskim, Porzucona..., op. cit., s. 183.
10) Władysław Madurowicz, naczelnik Wydziału Ogólnego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie. P. Zaremba dziennik, s. 343.
11) F. Jamroży, Wspomnienia..., op. cit.
12) Konstanty F. Tieliegin gen. lejtn. członek Rady Wojennej I Frontu Białoruskiego.

KAZIMIERZ KOZŁOWSKI

SZCZECIŃSKIE ŚRODOWISKA ARTYSTYCZNE W LATACH 1949-1955 UWARUNKOWANIE ROZWOJU

Kontynuując rozpoczęty w poprzednim wydaniu „Morza i Ziemi" cykl o narodzinach szczecińskich środowisk twórczych prezentujemy materiał dotyczący lat 1949—1955.

Badacz Aleksander Wallis dochodzi do wniosku, że w ramach nowego programu działalności kulturalnej charakterystyczne były dla omawianego okresu dwie tendencje w dziedzinie organizacyjnej: dążenie do centralnego kierowania wszelkimi poczynaniami w życiu kulturalnym oraz rozbudowania potencjału kulturalnego kraju.

W ramach radykalnej centralizacji, zarówno podstawowe jak i drugorzędne, decyzje zapadały na wysokich szczeblach. Centralizacji towarzyszył proces ograniczenia inicjatyw terenowych, poprzez likwidację możliwości publikacji lokalnych w dziedzinie nauki i sztuki.

Badacz prasy szczecińskiej T. Białecki tak ocenia pierwsze lata pięćdziesiąte: *„Okres 1949—1950 przyniósł jednakże wiele zjawisk ujemnych.*

(...) Do głosu doszły ponadto te siły, które absolutnie nie rozumiały roli prasy regionalnej, a w szczególności prasy branżowej, specjalistycznej czy zakładowej. W praktyce równało się to z całkowitą likwidacją zdecydowanej większości wychodzących pism. Szczególnie niekorzystna okazała się likwidacja w 1948 r. «Tygodnika Wybrzeża», czasopisma o wyrobionym już profilu i poziomie literackim. Odbiło się to — rzecz jasna — ujemnie na możliwościach rozwoju lokalnych środowisk twórczych tym bardziej, że w kilka miesięcy po likwidacji tygodnika podobny los spotkał szczecińskie wydawnictwo «Polskie Pismo i Książka»".

Dominowanie centralnego modelu zarządzania kulturą przejawiało się w Szczecinie w bezpośrednim administrowaniu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Państwowymi Teatrami Dramatycznymi, Orkiestrą Symfoniczną Robotniczego Towarzystwa Muzycznego (od 1954 r. Filharmonia Szczecińska), „Artosem" oraz dotowaniem od 1953 r. półzawodowego teatru lalkowego „Rusałka". Ministerstwo sprawowało też zwierzchni nadzór programowy nad bibliotekami, domami kultury, świetlicami i ruchem amatorskim. W stosunku do wymienionych placówek po wejściu w życie ustawy o radach narodowych z marca 1950 r. rady narodowe zachowały prawo do koordynacji ich działalności. Było to uprawnienie bardzo niekonkretne, pozwalające na dużą dowolność w interpretacji.

Na sytuację środowisk artystycznych w tym okresie nieco światła rzuca rozesłany w 1954 r. do szeregu instytucji list otwarty sekretarza KW PZPR adresowany do „Szanownego Towarzysza Telegi". Sekretarz pisze, iż został powiadomiony, że S. Telega miał wątpliwości *„w sprawie słuszności zajętego wczoraj przeze mnie ostrego stanowiska wobec niektórych wystąpień w dyskusji. Waszym zdaniem mogłoby to wywołać nastrój nieufności, wrażenie, iż krytyka jest dławiona i przejmowana niechętnie"*. Sekretarz wyjaśnia w owym liście, że poziom dyskusji czołowych przedstawicieli kultury Szczecina wskazał na *„intrygi i grupowe waśnie, a także na podważanie przez niektórych mówców pomocy partii i władzy ludowej dla ludzi kultury i sztuki"*.

Z listu wynika, że w środowisku artystycznym panowały złe nastroje, narzekano na panoszenie się biurokracji, brak aktywności władz. *„Ja chcę dodać* — stwierdza sekretarz — *że nawet największa ilość rozmów, (które gotowi jesteśmy prowadzić z każdym, kto do nas przyjdzie) nie rozwiąże sprawy twórczości. Te sprawy można rozwiązać jedynie sercem i talentem, a nasza pomoc w tej dziedzinie, której było za mało nie jest czynnikiem decydującym jak by się mogło zdawać"*.

Organami państwowej administracji terenowej do spraw kultury w Szczecinie były wydziały kultury PWRN i PMRN.

Przy pomocy kierownictwa Prezydium WRN Wydział Kultury domagał się od związków zawodowych, „Artosu", teatrów, zarządów: Związku Literatów Polskich i Związku Polskich Artystów Plastyków informacji i sprawozdań. Na naradach kierownictwo tego wydziału robiło wymówki kierownikom i prezesom szeregu instytucji, że nie uzgadniają z wydziałem planów swej pracy i nie informują o problemach np. o wyjeździe zdolnych aktorów z miasta.

Faktycznego wpływu administracyjnego na działalność wyżej wymienionych instytucji wydział jednak nie posiadał. Nie miał też dostatecznych instrumentów finansowych do realizacji swych planów w dziedzinie wspierania twórczości.

Kierownictwo wydziału negatywnie oceniało działalność Generalnej Dyrekcji Teatrów, Oper i Filharmonii za nieudolne administrowanie teatrami szczecińskimi i brak należytej pomocy dla prowadzącego orkiestrę symfoniczną Robotniczego Towarzystwa Muzycznego. Oceniano także w tych analizach działalność literatów i plastyków szczególnie z punktu widzenia patronatów tych instytucji nad świetlicami i zespołami amatorskimi.

O skromnych rozmiarach mecenatu władz miejskich nad środowiskiem twórczym świadczy fakt, że od 1950 r. zaniechano przyznawania nagród wojewódzkich i miejskich za działalność kulturalną. Nie było środków na stypendia twórcze, a dysponowano bardzo niewielkimi finansami na zakup dzieł plastycznych.

Ważną troską Wydziału Kultury PWRN w omawianych latach było prowadzenie sprawozdawczości, szczególnie z pracy kulturalno-oświatowej prowadzonej przez świetlice i kluby. Analiza sprawozdań przysyłanych do Wydziału Kultury z terenu pozwala na sformułowanie wniosku, że były to sprawozdania częściowo zmyślone, często nielogiczne. Sytuacja ta wynikała z niskiego poziomu wykształcenia kadry tych placówek oraz mody na składanie optymistycznych sprawozdań. W oparciu o uzyskane meldunki od władz powiatowych i miejskich wysyłano do centrali nieprawdziwe informacje o upowszechnieniu kultury w województwie.

Zachowana sprawozdawczość z tych lat wskazuje na klimat, w jakim odbywała się ofensywa kulturalna, a także na poziom kadr administracyjnie odpowiedzialnych za jej realizację. Typowe jest sprawozdanie z 1952 r., w którym m. in. zamieszczono taką oto ocenę kultury w krajach kapitalistycznych:

„...Nie jest przypadkiem, że w obozie gnijącego imperializmu nie ma ani jednego wielkiego nazwiska człowieka nauki, literatury czy sztuki, jeżeli nie liczyć „głośnych" nazwisk jawnych zdrajców i płatnych agentów w rodzaju Andre Malreaux czy Bertranda Russela..."

W 1949 roku planowano m. in. budowę nowego teatru (kosztem 500 mln zł), utworzenie drugiej sceny teatrów dramatycznych, budowę domu aktora, sali dla orkiestry symfonicznej, siedziby związków twórczych, odbudowę zamku. Z myślą o tej atrakcyjnej perspektywie rozebrano nadający się jeszcze do kapitalnego remontu gmach poniemieckiego teatru.

Z założonych planów do 1955 r. zrealizowano jedną pozycję tzn. wyremontowano w przyspieszonym tempie skrzydło gmachu Muzeum Morskiego i utworzono tam drugą scenę teatru — „Teatr Współczesny" oraz przygotowano część dokumentacji technicznej i rozpoczęto w 1955 r. remont Zamku Szczecińskiego. W 1949 r. Wojewódzki Wydział Kultury zlecił Szczecińskiemu Zjednoczeniu Budownictwa budowę Teatru Wielkiego, zlecenie to zostało odrzucone.

Niewątpliwe pozytywnym efektem działalności wojewódzkich władz w zakresie bazy było wyremontowanie na terenie województwa kilkuset świetlic w PGR i Spółdzielniach Produkcyjnych. W 1955 r. działało w województwie 400 świetlic.

Poza planem wykonano w Szczecinie w omawianej 6-latce z funduszów społecznych (zakładów pracy) estradę w Parku Kasprowicza, wyremontowano z funduszów administracyjnych PMRN skrzydło budynku Prezydium, w którym mieści się gmach Filharmonii. W latach 1950—1954 przyznano pracownikom resortu kultury Szczecina 62 izby mieszkalne.

W październiku 1954 r. sesja WRN poświęcona została sprawom kultury. Prezydium WRN krytycznie oceniło pracę Wydziału Kultury PWRN i dorobek kulturalny województwa. Rada zaleciła między innymi w uchwale rozwinięcie nowych form mecenatu nad sztuką poprzez organizację konkursów, wprowadzenie nagród za działalność kulturalną, postulowano rozwój szkolnictwa artystycznego i bazy do działalności kulturalnej. Wystąpiono z wnioskami o środki i zgodę na budowę teatru, odbudowę zamku i innych obiektów, budowę domu twórczości.

Rada narodowa skorzystała ze swych uprawnień, lecz wnioski kierowane do centrali nie dały efektów. Zrealizowano tylko te zadania (np. nagrody i konkursy), które były w gestii administracji terenowej, a mianowicie Prezydium WRN wygospodarowało własne środki na 3 nagrody artystyczne po 5000 zł. Wydział Kultury PWRN ogłosił i przeprowadził w 1955 r. konkursy z zakresu twórczości literackiej, plastycznej i muzycznej. Z powodu braku pieniędzy nie ogłoszono planowanego konkursu fotograficznego.

Stworzone w latach czterdziestych środowisko literackie Szczecina dało o sobie znać w latach pięćdziesiątych utworzeniem szczecińskiego Oddziału ZLP oraz szeregiem prac pisanych w duchu realizmu socjalistycznego. Jednak w 1952 r. wcześniej zaproszeni i hołubieni przez władze czołowi literaci opuszczają Szczecin przenosząc się głównie do Warszawy. Środowisko literackie nie mające oparcia o wyższą uczelnię humanistyczną, wydawnictwa, inne silne związki i instytucje twórcze, pozbawione serdecznego mecenatu uległo spłaszczeniu ilościowemu i jakościowemu.

Motywy wyjazdu ze Szczecina znanych literatów były różne. J. Andrzejewski określa je następująco: *„Warszawa jest moim miastem rodzinnym, w niej spędziłem całe moje życie, łącznie z latami okupacji oraz powstaniem. Powołanie mnie na redaktora naczelnego właśnie powstającego „Przeglądu Kulturalnego" urealniło powrót, ponieważ rozwiązana została w związku z moim stanowiskiem sprawa mieszkaniowa tak bardzo trudna w tym czasie (rok 1952)".*

E. Osmańczyk opuścił Szczecin w 1953 r. uzasadniając swój wyjazd względami rodzinnymi, chorobą dziecka i potrzebą zmiany klimatu. *„Los więc zadecydował* — pisze Osmańczyk — *bo moim zamiarem było pozostać na stałe w Szczecinie, mieście — symbolu powrotu Polski nad Odrę".*

Walerian Lachnitt motyw wyjazdu przedstawia w następujących słowach: *„Szczecin opuszczałem, bo z odejściem z dyrekcji Teatrów dyr. Chaberskiego nie widziałem dla siebie dalszych perspektyw...".*

O słabości mecenatu miejscowych władz nad środowiskiem świadczy m. in. brak troski o Świetlicę Artystyczną. Sprawozdania z zebrań zarządu Świetlicy Artystycznej mówią o tym, że ośrodek ten borykał się systematycznie z ogromnymi kłopotami materialnymi. Po cofnięciu dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki (od 1. I. 1951 r.) brakowało środków finansowych na podstawowe wydatki programowe i organizacyjne. W tej sytuacji w lutym 1951 r. J. Andrzejewski prezes oddziału ZLP zgłasza na zebraniu Zarządu wniosek, aby zlikwidować Świetlicę Artystyczną. Zarząd świetlicy *„stwierdza, że na obecnym etapie rozwoju życia kulturalnego w Szczecinie — działalność Świetlicy Artystycznej (...) nie jest potrzebna".* Postanowiono lokal świetlicy przekazać do dyspozycji zarządów poszczególnych środowisk twórczych tzn. literatów, plastyków, aktorów i dziennikarzy.

Świetlica nie uległa wprawdzie likwidacji, lecz po wyjeździe Andrzejewskiego, Osmańczyka, i innych pisarzy, lokal służył praktycznie do sporadycznych spotkań przedstawicieli środowisk twórczych oraz odbywały się tam zebrania zarządów poszczególnych stowarzyszeń. Świetlica w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych straciła inspiratorską rolę, którą wcześniej pełnił Klub „13 Muz". W 1955 r. w miejsce Świetlicy Artystycznej powołano Klub Związków Twórczych finansowany przez ZG ZLP. Lokal Klubu mieścił się nadal — jak stwierdza pismo ZO ZLP — *„w małym, ciemnym nie przystosowanym do potrzeb Klubu lokalu przy al. Wojska Polskiego 46".*

Przykładem zmiany — w stosunku do lat czterdziestych — stosunku władz lokalnych do potrzeb literatów szczecińskich może być akcja tzw. „zagęszczania mieszkań" wcześniej przyznanych pisarzom głównie z inicjatywy wojewody Leonarda Borkowicza.

W 1951 r. próbowano „zagęścić" wille pisarzy. Władze miejskie wystosowały odpowiednie pisma urzędowe polecające dokwaterowanie dodatkowych lokatorów oraz *„ogłoszenie swej ofiarności w prasie".* Interweniował — skutecznie — prezes Andrzejewski u I sekretarza KW PZPR.

Nowe stanowisko w sprawach lokalowych władz miejskich w stosunku do twórców utrudniało osiedlanie się pisarzy w Szczecinie. Nina Rydzewska, która ze względów rodzinnych przeniosła się w 1953 r. z Jeleniej Góry do Szczecina, tak przedstawia swoje warunki mieszkaniowe: *„Po paru miesiącach zaczęły się szykany mieszkaniowe, które skończyły się wyrzuceniem mnie 8. I. 1954 r. za drzwi mieszkania, otworzonego przez Komisję Egzekucyjną wytrychem. Zamierzam skończyć II tom „Pasoramos", książki o Szczecinie — jeżeli władze miejskie nie „wyrzucą" mnie z tego miasta...".* Po interwencji ZG ZLP u Bolesława Bieruta, Rydzewskiej przywrócono mieszkanie, a winnych ukarano. Atmosfera skandalu pozostała jednak w pamięci środowiska.

Istotne znaczenie dla rozwoju środowiska plastycznego miało powołanie Państwowego Liceum Plastycznego, rozwój Muzeum Pomorza Zachodniego, powołanie Spółdzielni Artystów Plastyków przy Spółdzielni „Cepelia", Pracowni Sztuk Plastycznych i przedstawicielstwa Centralnego Biura Wystaw Artystycznych. W 1950 r. utworzono też samodzielny Zarząd Okręgu ZPAP w Szczecinie.

Ważnym trwałym wydarzeniem był rozwój środowiska poprzez sprowadzenie z inicjatywy ministra kultury i sztuki do Szczecina „Grupy sopockiej" czyli 15 absolwentów Akademii Sztuk Plastycznych w Sopocie. Przybyli także do Szczecina w latach 1953—1954 plastycy z innych miast Polski.

Motyw skierowania do Szczecina młodych plastyków Minister Kultury i Sztuki określił następująco: *„Dotychczasowe rozmieszczenie (...) — plastyków na terenie kraju jest niewłaściwe i powoduje duże trudności w prowadzeniu prawidłowej polityki popierania twórczości plastycznej. Skupieni zasadniczo w trzech ośrodkach; w Warszawie, Sopocie i Krakowie, artyści ci nie mają ani odpowiednich warunków mieszkaniowych, ani pracowni. Również i społeczne zapotrzebowanie usług plastycznych w tych ośrodkach jest za małe (...). Z drugiej strony istnieją w Polsce tereny pozbawione artystów plastyków (...). W chwili obecnej Ministerstwo Kultury i Sztuki przystąpiło do planowej akcji przesiedlenia artystów na owe „puste" tereny. Na teren województwa szczecińskiego chciałby Minister Kultury i Sztuki przesiedlić młodych plastyków sopockich".* Tak więc Szczecin uznany przez ministerstwo za „pusty", pod względem nasycenia plastykami, obszar otrzymał grupę młodych artystów.

Ważne dla artystów z materialnego i prestiżowego punktu widzenia zakupy dzieł zarówno ze środków Min. Kul-

tury i Sztuki, PWRN i PMRN, a także zakładów pracy dokonywane były po orzeczeniu Społecznej Komisji Zakupów i Nagród. Komisja ta składała się z przedstawicieli ZO ZPAP, tzw. „czynnika społecznego", czyli 2 pracowników zakładów przemysłowych, literata, pracownika Wydziału Kultury i Sztuki PWRN, przedstawicieli agendy szczecińskiej CBWA oraz KW PZPR. Komisja m. in. przy zakupie prac z wystawy członków ZPAP 29. V. 1952 r. podjęła następującą decyzję w stosunku do prac jednego z plastyków: *"Praca bardzo dobra, lecz z powodu braku pierwiastka twórczego nie nadaje się do nagrodzenia czy też zakupu. Pracę powyższą można zakwalifikować jako eksponat do muzeum"*. Tak więc ukarano artystę za *„brak pierwiastka twórczego"* kwalifikując pracę do muzeum.

Zakupiono natomiast prace: „Zamek Piastowski", „Portret stoczniowca", „Portret przodownika pracy SP", „Wnętrze warsztatu", „Rybacy Kaszubscy", „Górnik", „Feliks Dzierżyński", „W. I. Lenin", „Głowa murarki", „Wierzby nad Odrą", „Uciekinierzy z 1939 r.", „Widok portu", „Dyskusja nad projektem konstytucji".

Najwyższą ocenę uzyskały prace: „Zagroda chłopa małorolnego" i „Zagroda członka wiejskiej spółdzielni produkcyjnej", z adnotacją: *„Mimo, że pozbawione są pierwiastka twórczego winny być zakupione a 3000 zł sztuka"*. Przy obrazie „Na polach spółdzielni produkcyjnej" Komisja stwierdziła *„praca głównie ze względu na aktualność tematu dobra — 1500 zł"*.

Zarząd Okręgu ZPAP w 1951 r. samokrytycznie oceniał możliwości twórcze — o nowym duchu — swoich członków stwierdzając. *„W naszym niedużym środowisku w stosunku może większym niż w innych okręgach wyłoniły się dwie zasadnicze zapory utrudniające pełny rozwój w kierunku sztuki socjalistycznego realizmu. Jedną był balast formalizmu, który obciążył w poważnym stopniu wszystkich bez wyjątku kolegów młodszej generacji, drugą piętno naturalizmu bezdusznego stosunku do życia, który cechował najczęściej kolegów starszych"*.

Oceniając sytuację instytucji artystycznych i związków twórczych w latach 1949—1955 trzeba stwierdzić, że niewątpliwie nastąpił znaczny rozwój potencjału kulturalnego i naukowego miasta. Szczecin stał się znaczącym ośrodkiem szkolnictwa wyższego, lecz nie uzyskał wyższej uczelni humanistycznej, co miało oczywisty wpływ na możliwość rozwoju środowisk artystycznych.

Upaństwowienie Teatru Polskiego, oddanie do eksploatacji drugiej sceny Teatru Współczesnego, uruchomienie sceny objazdowej — umożliwiło poprawienie przez teatry oferty kulturalnej, wolnej od nacisków komercyjnych, a zarazem dostępnej dla szerokich rzesz społeczeństwa (nie tylko mieszkańców Szczecina, lecz i innych miast województwa szczecińskiego, koszalińskiego oraz zielonogórskiego). Mimo wielu niekonsekwencji i opieszałości utworzona została w oparciu o subsydiowaną w znacznym stopniu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki orkiestrę Robotniczego Towarzystwa Muzycznego — Filharmonia Szczecińska, która od 1954 r. prowadziła w swej stałej siedzibie działalność artystyczną na średnim krajowym poziomie. Środowisko plastyczne rozwinęło się ilościowo, a także, szczególnie od 1954 r., okrzepło organizacyjnie.

Nie utworzono natomiast (a nawet nie prowadzono działań w tym kierunku) Teatru Muzycznego, nie zrealizowano planowanej u progu Planu Sześcioletniego głównej instytucji kulturalnej — Teatru Wielkiego, nie zapewniono także budynku i należytej pomocy finansowej dla półzawodowego teatru lalek. Szczeciński „Artos" korzystał w omawianych latach głównie z zespołów artystycznych sprowadzanych z innych ośrodków, sam nie wiele oferując w zamian. Załamał się w omawianym okresie mecenat władz terenowych nad sztuką.

PS: W uzupełnieniu artykułu pt. „Narodziny środowisk artystycznych Szczecina" („Morze i Ziemia" z kwietnia 1980) dodaję, że na temat dyskusji w klubie „13 Muz" o twórczości T. Borowskiego z 1948 r. wypowiedział się na łamach katowickiej „Odry" S. Telega („Odra", nr 52 z dn. 26.XII.1948 r., art. „Notatki Szczecińskie").

UPARTE ECHA

KATARZYNA SUCHODOLSKA

To prawda, że obecnie twórczość ludowa „zcepeliała", stała się rodzinnym albumem zdjęć retro, do którego zagląda się od wielkiego dzwonu, albo i nie. Straciła siłę przyciągania. Może zbyt namolnie była lansowana przed tym? Przecież jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu, w prawie co drugim szanującym się mieszkaniu, stały ku ozdobie polewane garnki i misy, słomiane straszydełka, pasiaki, zydle, wszystko co się dało na ludowo zamarzyć. No i przejadło się, wyszło z mody. Rzecz ludzka. Dzisiaj dla odmiany cieszą się szacunkiem straszliwe zestawy wypoczynkowe przeważnie w kolorze cuisse de nymph effrayee i ciężkie harharowate meble cudzoziemskiego pochodzenia, zabierające resztki powietrza z naszych klitek, ale i podnoszące właściciela na pożądany poziom. A czegoż nie robi się dla „poziomu"? Poniektóry posiadacz serdecznie ludowego nazwiska rusza nawet w pielgrzymkę do Zielonej Góry, gdzie za wcale duże tysiące może otrzymać na własność wyrysowane złotem na czerpanym papierze (lignina+ +mąka+woda+wiklinowa wycieraczka do nóg) rozłożyste drzewo genealogiczne dowodzące niezbicie z jakich Radziwiłłów z Sanguszkami wywodzi się delikwent i jakim w związku z tym klejnotem ma się pieczętować. Słowem — z rodzimych ludowych motywów ostał się jeno kożuch. Ale i on bywa przeważnie turecki.

Cóż, trzeba się z tym pogodzić, bo i naukowe autorytety orzekły: twórczość ludowa, zakrzepła w odwiecznej pierwotności, istnieje w naszych czasach jedynie na prawach rezerwatu. Ten etap został już zamknięty. Na nic podobnego nie ma społecznego zapotrzebowania, a skoro tak — nic nowego w tej dziedzinie powstać nie może i nie powstaje. Ani haft, ani przyśpiewka, ani baśń, ani legenda... A jeśli jednak powstaje? Jeśli jednak jakoś tam żyje, powiedzmy na zasadzie echa po wielkim głosie?

Dawno, dawno temu, w czasach dla naszych wnuków prehistorycznych, przybyli na ziemię szczecińską ludzie „z różnych stron", ale chyba najliczniej ze wschodu: zza Buga, z Wieleńszczyzny i terenów białoruskich, z Polesia. Czyli z okolic, gdzie nie tylko za Słowackiego, ale i całkiem niedawno, niespełna pół wieku temu „wkrąg siadały pieśni tłumy" i gdzie już wiek najwcześniejszy wprowadzał człowieka w krainę mitów, podań i baśni. Szczególnie obfitą ustną twórczością odznaczało się Polesie i jego pogranicze z Wołyniem. Powołam się tu na Kazimierza Moszyńskiego, który na stronach swoich dzieł wielokrotnie zaznacza, że bodaj nigdzie wśród ludów słowiańskich nie występuje tak bogata ustna twórczość, o tak zaskakującej wrażliwości estetycznej i tak ścisłym powiązaniu z przyrodą, jak właśnie na tych obszarach.

Powojenne losy rzuciły tych ludzi na ziemię niemą dla nich i głuchą. Wszystko spotkało ich milczeniem: zdechłe lasy, bezśpiewne rzeki, domostwa niszczejące w przerzedzonych pociskami zaroślach nieznanych drzew i krzewów, obce i groźne opuszczone osiedla i miasta. I najgorsze było to, że wszystko nastało dla nich nagle, wychynęło jakby z niebytu na krzyk lokomotywy ciągnącej towarniaki, w których zbici w gromady czekali na swoją dolę. Wziął ją potem każdy na plecy i milczkiem poszedł tam, gdzie mu wypadło. Nastała pora wielkiego milczenia. Ale czy rzeczywiście tak na wieki wieków miał ich otaczać świat pusty jak klepisko w nowej stodole? Świat, o którym nie wiadomo ani skąd on, ani jaki był, zanim stał się, jaki jest?

Ten, kto ich nie zna, mógłby pomyśleć, że tak właśnie stanie się, że konieczność sprostania nowym warunkom pochłonie ich całkowicie i nie będą już mieli ani możności, ani ochoty do oswajania obcego krajobrazu sposobem dziadów-pradziadów.

Ale oto minęło parę dziesiątków lat i okazało się, że w Szczecinie i poza Szczecinem można — jeśli się posiada odpowiednie kontakty — usłyszeć szereg opowieści dotyczących starych i nowych dziejów tej ziemi, których treść wyraźnie wskazuje czyjego są autorstwa. Opowieści te nigdy, rzecz oczywista, nie były ogłaszane ani drukiem, ani słowem radiowym. Jak ich skromnej kondycji przystało, żyją sobie cichutko, opowiadane w spokojnych chwilach odpoczynku przez tych, którzy przyjęli je, zachowali i uznali za swoje.

Wiele z nich wiernie zachowało starą tradycyjną formę podania, śmiało wprowadza elementy bajkowe, ale czerpie również sporo ze współczesnej rzeczywistości i słownictwa.

Chodzi na przykład po Szczecinie opowiadana w cudownej gwarze polsko-białoruskiej długa opowieść o żonie Iasona spod Oszmiany. To właśnie z niej można się dowiedzieć, dlaczego w ciemne lipcowe noce nad wykopem obok Szpitala Klinicznego przy ul. Unii Lubelskiej słychać pełne rozpaczy i niepokoju wołanie: „Gdzie ty? Gdzie ty?" i po chwili, dolatującą od strony teraźniejszej ulicy Mickiewicza, ledwo słyszalną odpowiedź: „Idę! Idę!". Otóż w ostatnim roku wojny przy tym szpitalu (w miejscu obecnego głównego wejścia i parkingu) stały podobno baraki więźniów, których — znowu podobno — pewnej nocy lipcowej wprowadzono na pole janowcowe (obecnie część Osiedla Zawadzkiego, leżąca obok pomnika francuskich jeńców) i rozstrzelano. Opowieść o żonie Iasona opowiada o nieudanej próbie ucieczki więźniów, którym właśnie ona (służąca komendanta) miała, lecz nie zdążyła, dostarczyć klucz od bocznej bramy ogrodzenia baraków.

Jest także na wpół rymowana baśń o grupie dziewięciu zbiegłych jeńców składającej się z „Jaśka, Staśka i Dziamjana, Pawła, Hrycia, Kuprijana, Nikodema i Gedali też Ciareszka." Uratowali się dzięki temu, że udało im się dotrzeć do „podziemnego Szczecina" znajdującego się ponoć pod Wałami Chrobrego i sięgającego przez Łasztownię aż hen do mostu kolejowego na Odrze. Przeżyli w „chorom-ach-ogrom-ach" tego miasta pół roku, doczekali się końca wojny i żyją tu w Szczecinie szczęśliwie, w dostatku, bo oczywiście mogą korzystać ze skarbów ukrytych w podziemnym mieście.

Wśród wołyniaków można usłyszeć wzruszającą legendę o Matce Boskiej Kazimierskiej. Wieś Kazimierka, założona przez Worclów na ich dobrach w XVII wieku, należała do nielicznych starych osad polskich na Wołyniu. Stał w niej duży kościół słynny z posiadania cudownego obrazu Bogurodzicy. Co roku odbywały się tam odpusty i obraz obwieszony był drogocennymi wotami. W czasie okupacji ksiądz (Batowski? Bartowski? Batorski?) otrzymał rozkaz, zgodnie z którym miał dostarczyć cudowny obraz wraz z kosztownościami do siedziby Reichskommissariatu w Równem. Rozkazu tego nie wykonał i trzeciego dnia po danym terminie we wsi zjawili się żandarmi. Ponieważ zbliżał się wieczór, obawiali się wyruszyć w powrotną drogę. Postawili więc przy kościele, do którego przed tym wrzucili związanego księdza, dwóch żandarmów na straży i rozlokowali się na nocleg w sąsiednich domach. W nocy zerwała się okropna burza z wichrem i piorunami, a rano okazało się, że drzwi kościelne stoją otworem i jego wnętrze jest puste. Cudowny obraz znikł. Nie znaleziono również ani księdza, ani dwóch żandarmów. Tylko na rozmokłej ścieżce przed kościołem zobaczyli wszyscy ślady odchodzących kobiecych stóp, a przy nich malutkie odciski niemowlęcych stopek. Cudowny obraz pojawił się podobno po wojnie w Lidzbarku, ale zaraz zniknął „bo nie było tam nikogo z Kazimierki" i teraz wędruje od kościoła do kościoła, szukając swoich.

Jest również kilka powiastek o sławnym Żmogusie, którego imię przez cały czas swego istnienia nosił prowizoryczny most na Parnicy (obecnie Energetyków). Wszystkie powiadają, że Żmogus znaczy po litewsku — człowiek. Z prasy szczecińskiej dowiedziałam się, że tak naprawdę nikt nie wie kim był Żmogus. Ani starzy pracownicy WRN, którzy wiedzą wszystko o niemowlęcych latach Szczecina, ani nawet Archiwum Wojewódzkie. Jedna z powiastek czyni go dowódcą (komendantem?) KP, czyli — wojskowego punktu kontrolnego, znajdującego się tuż przy budującym się wtedy moście. Ponoć to on wpuszczał do Szczecina tych, którzy tu w zaraniu dziejów przybywali. To samo źródło podaje, że piekielnie nie lubił cywilnych ciężarówek i samochodów, natomiast konnym zaprzęgiem nie czynił żadnych wstrętów i odprowadzał sakramentalnym: „Ty Żmogus i ja Żmogus — przejeżdżaj!".

Dałoby się jeszcze coś niecoś wyszukać, ale na razie wystarczy i to.

Prawdopodobnie wszystkie te utwory mają krótkotrwały żywot, interesują tylko jedno pokolenie, a więc przestaną istnieć, kiedy ono wymrze. Ale mimo to wydaje mi się, że warto chociaż na chwilę zatrzymać je w biegu.

NIKA MAZUROWSKA

Zdrowie psychiczne ludzi morza

Pomysł tytułu zaczerpnęłam z artykułu Pawła Dworowskiego opublikowanego w czerwcowym numerze kwartalnika „Morze i Ziemia". Przeczytałam go z mieszanymi uczuciami. Zadowolenie wywołał fakt podjęcia tak istotnego problemu, jak sprawa zdrowia psychicznego w ogóle, a marynarzy w szczególności. Uważam, iż kultura psychiatryczna w Polsce jest ciągle bardzo swoje dolegliwości, głównie z powodu niska. Ludzie wstydzą się, ukrywają stosunku społeczeństwa do innych, bo chorych ludzi.

Z przyjemnością też dowiedziałam się, że w przyszłości będą prowadzone szeroko zakrojone badania psychologiczno-psychiatryczne polskich marynarzy i rybaków, a także, iż ma powstać specjalistyczny ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny dla ludzi morza cierpiących na różnego rodzaju schorzenia psychiczne. Poruszenie tych spraw uważam za cenną, potrzebną popularyzatorską inicjatywę. Mam jednak wątpliwości czy termin „choroby nerwowe" użyto we właściwym znaczeniu, czy też w pojęciu zaburzeń psychicznych. W nomenklaturze lekarskiej choroby nerwowe są domeną neurologii, obejmują głównie zaburzenia organiczne nerwów obwodowych oraz mózgu (np. wylew krwi do mózgu, lumbago, zapalenie korzonków nerwowych, choroba Parkinsona itp.). Natomiast choroby psychiczne dotyczą prawie wyłącznie spraw czynnościowych. Przynajmniej w obecnym stanie wiedzy nie sposób jednoznacznie stwierdzić, jakie są przyczyny poszczególnych chorób np. schizofrenii, zespołów maniakalnych czy depresyjnych. Być może z różnic w nomenklaturze wynikają rozbieżności w ilości chorych wśród ludzi morza — aż połowa w Szwecji, a zaledwie 5,5 proc. w marynarce wojennej USA. Sądzę, że niezależnie od terminologii — pokaźna ilość chorych we flocie skandynawskiej bierze się ze sposobu naboru szeregowej załogi. Są to ludzie prymitywni, nierzadko bez jakiegokolwiek wykształcenia, trafiający na statki z przypadku w różnych portach świata. Mało wśród nich Szwedów, przeważają tzw. „kolorowi". Na przykład na duńskich statkach „Nordborg", „Brattingsborg" i „Billesborg" Europejczykami byli wyłącznie oficerowie, a załogę stanowił zlepek Filipińczyków, Portorykańczyków, Arabów itp. Byli to ludzie wyniszczeni, cierpiący na różne przewlekłe schorzenia, którzy nawet nie słyszeli o istnieniu świadectw zdrowia.

Mimo wszystkich niezaprzeczalnych walorów artykułu „Druga strona medalu", wydaje mi się przedwczesnym publikowanie wniosków dra med. Jerzego Pobochy i mgr Ewy Szakowskiej przeznaczonych dla wąskiego kręgu fachowców w formie naukowego pewnika. Wszystkie dane zawarte w publikacji Pawła Dworowskiego zostały zaczerpnięte z pracy tych autorów pt. „Wyniki badania marynarzy testem Rorschacha w czasie rejsu dalekomorskiego" opublikowanego w „Medycynie Morskiej" i wygłoszonego na sesji naukowej w Szczecinie 25 XI 1972 r. Arytkuł oparto na podstawie danych z jednego tylko statku i jednego — średniej długości — rejsu.

Autorzy z dobrze pojętą skromnością badaczy piszą „...*w nieniejszej pracy podjęliśmy próbę* (podkreślenie autorki) *badania osobowości testem Rorschacha w celu oceny między innymi jego przydatności w badaniach wykonywanych w czasie rejsu*", a we wnioskach konkludują: „Test Rorschacha okazał się przydatny w badaniach psychologicznych w czasie rejsu".

Dla informacji podam obrazowo, na czym polega test Rorschacha. Jest to zbiór tablic, na których znajdują się różnokształtne figury. Z wyglądu przypominają plamy, jakie powstają po złożeniu kartki z kroplą atramentu wewnątrz i rozprowadzeniu go. Zależnie od skojarzeń jakie nasuwają się badanym, wyciąga się odpowiednie wnioski.

Jak wiadomo każdemu psychiatrze czy psychologowi, testy psychologiczne są jedną z metod pomocniczych przy ustalaniu rozpoznania psychiatrycznego. Stąd wielkie zapotrzebowanie w klinikach i szpitalach na specjalistów psychologii klinicznej. Jednakże w oddziałach, na których pracowałam, nie zastępowali oni psychiatrów, a jedynie służyli im swoją wiedzą i doświadczeniem (mam na myśli Szpital Psychotryczny w Łodzi oraz Instytut Psychoneurologiczny w Warszawie).

Pozwalam sobie zabrać głos na temat własnych obserwacji dotyczących stanu psychicznego marynarzy zatrudnionych w PŻM z powodu, jak mi się zdaje, nie najgorszego przygotowania fachowego. Wypada się przedstawić. Jestem psychiatrą, doktorat również robiłam z psychiatrii. Od dawna pracuję jako „zwykły" lekarz okrętowy i od sześciu lat bez przerwy robię to, co dr J. Pobocha w ciągu 100 dni. Do tego od trzech lat pływam na dużych zbiornikowcach. Najkrótszy rejs trwał 70 dni, przeważnie zaś około sześciu miesięcy z długimi pobytami w strefie tropikalnej. Z obecnego statku — M/t „Rysy II" — zejdę w kwietniu po ponad dziewięciomiesięcznym pobycie.



Kilkakrotnie w „Bryzie" publikowałam swoje artykuły dotyczące stanu zdrowotnego marynarzy i czynników na nie wpływających. Wkrótce włączę się do badań o wpływie pracy na zbiornikowcach na stan zdrowotny załóg (podjętych w ramach wieloletniej umowy między PŻM a Pomorską Akademią Medyczną).

Zgadzam się z opinią nestora polskiej psychiatrii prof. T. Bilikiewicza odnośnie czynników etiologicznych, powodujących powstawanie chorób psychicznych oraz z tym, iż prawie na wszystkie z nich marynarze narażają się podczas rejsów. Tylko w punkcie dotyczącym poczucia zagrożenia życia w związku z wykonywaniem zawodu mam odmienne zdanie. Ryzyko zatonięcia statku jest znacznie mniejsze niż na przykład katastrofy lotniczej czy wypadku drogowego. Według znanych mi statystyk dotyczących całego transportu, najwięcej osób ginie w wypadkach drogowych, najmniej na morzu. Przy okazji pragnę dodać, że podczas rozmów z narynarzami nigdy nie był poruszany temat obawy o własne życie związany z pobytem na statku (także i na zbiornikowcach, które w pojęciu obiegowym są po prostu pływającymi beczkami prochu). Każdy członek załogi zostaje przeszkolony w sposobie zapobiegania wypadkom i pożarom, wie, jakie na nim spoczywają zadania podczas każdego z alarmów i... po prostu tym tematem bez potrzeby nie zaprząta sobie głowy. Chciałabym, aby autor artykułu Paweł Dworowski zobaczył, jak marynarze spędzają chwile wolne od pracy: grają w karty, warcaby, uprawiają sporty, pływają w basenie, czytają książki, majsterkują, a nie zastanawiają się nad tym, co by było, gdyby statek zatonął. Statek to po prostu dom i duży, bardzo kosztowny warsztat pracy, który w miarę unowocześniania floty wymaga coraz większych umiejętności praktycznych i wiedzy teoretycznej. Dlatego dziwnym mi się wydaje fakt, iż dr J. Pobocha trafił na tak pechowy statek, gdzie wśród 41 członków załogi objętych badaniem psychiatrycznym stwierdził aż u 13 (31,7 proc.) zaburzenia psychiczne.

Poniższe dane cytuję za autorem:

Zaburzenia osobowości	5 osób
Homoseksualizm	1 osoba
Objawy nerwicowe (jąkanie, zesp. neurasteniczne)	6 osób
Alkoholizm	5 osób
Zespół hipohondryczny	2 osoby

Łącznie 19 przypadków (48,26 proc.) na 13 osób, czyli u kilku przynajmniej występowały różne kombinacje objawów np. był to pacjent o osobowości schizoidalnej, równocześnie alkoholik i homoseksualista, czy też alkoholik z nerwicą itp. Przy okazji pragnę poinformować, iż rejs dalekomorski stanowi doskonałą „odwykówkę" dla marynarzy, którzy na lądzie być może chętnie wstąpiliby „na jednego". Sprawę tę jednoznacznie reguluje „Regulamin Pracy na Statkach Morskich PŻM w Szczecinie". Cytuję odnośny fragment: „Zabrania się sprzedaży, podawania i spożywania napojów zawierających więcej niż 4,5 proc. alkoholu członkom załóg, z wyjątkiem uprawnionych do korzystania z funduszu reprezentacyjnego, tj. kapitana i kierowników działów". Zasada ta jest ściśle przestrzegana na statkach. Fundusz reprezentacyjny jest zaś tak niewielki, że w czasie odpraw czy oficjalnych spotkań trzeba się dobrze nabiedzić, aby starczyło dla wszystkich gości. Załóżmy jednak, że komuś z załogi udało się wnieść na statek przysłowiową butelkę (na bramie kontrolują!). Wobec długości rejsów, rzadkich zawinięć do portów i małych możliwości zakupu wódki za słone pieniądze za granicą (lepiej kupię żonie czy dziecku jakiś prezent — pomyśli niejeden — i zrezygnuje z kupna), według mojej oceny — na statkach PŻM problem alkoholu po prostu nie istnieje. Zastanawia mnie wobec tego fakt, jak to się stało, iż na 41 osób załogi aż u 5 (12,2 proc. wystąpił alkoholizm. Chyba był to fatalny zbieg okoliczności.

W ciągu sześciu lat pływania zdarzyło mi się tylko jednego marynarza skierować na leczenie odwykowe. Kiedy na początku swojej praktyki lekarskiej przyjmowałam w przychodni ogólnej pacjentów z chorobą alkoholową miałam ich znacznie więcej. Kierowałam ich do poradni przeciwalkoholowej. Gdy po latach, już jako psychiatra, pracowałam w przychodni miałam okazję spotkać swoich dawnych podopiecznych, którzy nadal nie wyleczyli się z alkoholizmu.

Gdyby faktycznie było tylu alkoholików i osób z zaburzeniami psychicznymi wśród załóg, należałoby wątpić w prawidłowość kwalifikowania do pływania, podważyć rzetelność lekarzy badających co dwa lata wszystkich marynarzy i wydających im świadectwa zdrowia. Sądzę jednak, iż w grupie badanej przez dr J. Pobochę zdarzył się podobny przypadek, jak w znanym dowcipie. Na bezludnej wyspie zamieszkał jąkała. Wkrótce na kłodzie drzewa dopłynął tam inny człowiek... też jąkała. Na tej podstawie należałoby wnioskować, iż wszyscy ludzie (100 proc. populacji) mają zaburzenia organiczne mowy. Już od 1964 roku sprawy kwalifikowania na wyjazd do krajów strefy gorącej zostały uregulowane odpowiednimi zarządzeniami Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Departamentu Sanitarno-Epidemiologicznego. W załączniku Nr 1 do wytycznych podano wykaz stanów chorobowych stanowiących przeciwwskazanie do wyjazdu i pobytu w krajach o odmiennych warunkach klimatycznych. Zagadnienia te niejednokrotnie omawiano w literaturze fachowej oraz popularnonaukowej. W „Kompendium klinicznej medycyny tropikalnej" pod redakcją W. Kiersta podano pokrótce, iż na przykład osoby starsze, otyłe, z niewydolnością krążenia, uszkodzeniem miąższu wątroby, zaburzeniami gruczołów wydzielania wewnętrznego itp. nie powinny wyjeżdżać do krajów o gorącym klimacie. Bezwzględnym przeciwwskazaniem do pobytu w tropiku są: alkoholizm i narkomania, padaczka, stany po urazach mózgu oraz choroba Menière. Podczas krótkiej pracy w Poradni Zdrowia Psychicznego Przychodni Portowej w Szczecinie przekonałam się, że kryteria te są doskonale znane i ściśle przestrzegane przez lekarzy. Trudno więc uwierzyć, aby wszelkie dolegliwości psychiczne, i to w tak dużej liczbie, ujawniły się dopiero po uzyskaniu świadectwa zdrowia lub też by pacjenci tak umiejętnie dyssymulowali, aby wprowadzić w błąd psychiatrów o głębokiej wiedzy i dużym doświadczeniu.

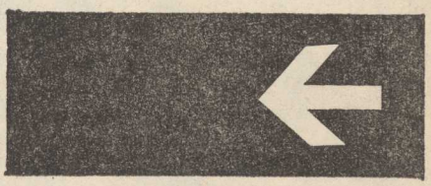
Niestety, nie miałam okazji przeanalizowania akt Izby Morskiej w Szczecinie z lat 1965-1971. Tym niemiej stwierdzenie, iż ponad połowę wypadków spowodowały zaburzenia psychiczne marynarzy i rybaków, wydaje mi się ilością, oględnie mówiąc, nieco zawyżoną. Ze względu na wagę, a równocześnie kontrowersyjność tematu, wyrażam głębokie zadowolenie z powodu jego podjęcia przez Pawła Dworowskiego, a także konsekwentne zainteresowanie dr. J. Pobochy problematyką zdrowia psychicznego ludzi morza. Zdają sobie sprawę, jak trudny wycinek pracy sobie wybrał. Równocześnie wiem, iż czasem nawet bardzo skrupulatne badania przeprowadzane na statku mogą być nie w pełni obiektywne ze względu na niechęć marynarzy do wszelkich „testów" oraz interesowania się ich osobistymi, intymnymi sprawami. Zauważyłam dwojakiego rodzaju postawy — skrzętne ukrywanie wszelkich dolegliwości (rzadko), a na ogół „robienie balona" z badającego. Na przykład pewien znany mi oficer PŻM na pytanie, czy ma lęki, odpowiedział twierdząco. Dopiero z dalszej wypowiedzi wynikało, iż „boi się żony, gdy późno wraca do domu".

Kiedyś, po podróży dookoła świata, koledzy z Instytutu Psychoneurologicznego zainteresowali się, u ilu osób stwierdziłam odchylenia od normy psychicznej. Informację, że tylko u jednej i to na lądzie przyjęli ze zrozumieniem. Była to starsza kobieta z Kanady, która w swoim ciasnym mieszkaniu hodowała kilka tuzinów kotów i robiła starania, aby część z nich wyekspediować do Polski jako prezenty dla dawnych znajomych.

Podczas swojej sześcioletniej pracy na morzu, po kuracji neuroleptykami prowadzonej na statku, skierowałam do dalszego leczenia psychiatrycznego cztery osoby i jedną do poradni przeciwalkoholowej. Ponadto spowodowałam wyokrętowanie jednego członka załogi przed wyjściem w rejs z powodu rozpoczynającego się delirium. O ile wiem, został on zwolniony z PŻM i obecnie nie pływa.

Sądzę, że liczby te są zbliżone do danych lądowych oraz oficjalnych, podawanych przez Instytut Medycyny Morskiej w Gdyni i są daleko bardziej optymistyczne od cytowanych w artykule „Druga strona medalu".

Należy życzyć, aby forsowane przez prof. Dolmierskiego oraz planowane przez Klinikę Psychiatryczną Pomorskiej Akademii Medycznej wszechstronne badania psychiatryczno-psychologiczne potwierdziły moje obserwacje, bo przecież im zdrowsze społeczeństwo czy poszczególne jego grupy zawodowe, tym lepiej dla wszystkich.



MAREK KOSZUR

Do zobaczenia?

Rozmawialiśmy z prof. dr hab. Janem Szupryczyńskim z Instytutu Geofizyki PAN w Toruniu od godziny. W którymś momencie profesor spojrzał spod przymrużonych oczu i zapytał:

— Czy mówię dość jasno? Nie za wiele tych specjalistycznych wyrażeń?

— Nie, nie... Oczywiście, że nie! — Już od dłuższej chwili nie wiedziałem, o czym mówiliśmy. Byłem zafascynowany metamorfozą, pojawieniem się zupełnie nowego wyrazu twarzy, uśmiechu... Patrzyłem na innego człowieka. Dopiero teraz „rozkleił się", zresztą jak wszyscy jego koledzy... Nie mógł już dłużej znieść tego oficjalnego tonu i przebiegu rozmowy. Po wybuchu prawdziwej radości, kiedy do brzegu dobiła szalupa z dawno nie oglądanymi, nowymi twarzami przyszło nagłe powstrzymanie spontanicznych zachowań, ukrycie twarzy pod maską. Teraz — kolejny kryzys. Kryzys bycia sobą... Metamorfoza postępuje wolno. Profesor czuje to. Przez cały rok jemu właśnie utrzymywanie oficjalnej maski przychodziło najtrudniej. Był przecież kierownikiem, szefem, dowódcą. Nie mógł pokazywać swoich wątpliwości, słabości, wahań, strachu.

— Panie profesorze, co uważa pan za największy sukces waszej dziesiątki?

Mija kilka sekund. Profesor popatrzył przez bulaj na tonące w oślepiającym słońcu wnętrze fiordu Horsund. Kurtuazyjny uśmiech ustąpił miejsca zaciskającym się wargom.

— Naszym największym osiągnięciem jest to, że... p r z e t r w a l i ś m y. Wielokrotnie zagłębiałem się w subtelności sematnyczne tego słowa, które jest w odpowiedzi na to pytanie określeniem najbardziej trafnym. P r z e t r w a l i ś m y. Były bowiem w czasie kilkunastu miesięcy, które spędziliśmy na Spitsbergenie, takie momenty, że myślałem: koniec. Jako kierownik zimowania miałem przed sobą dwa podstawowe zadania. Po pierwsze — organizacja pracy naukowej, a po drugie — zapewnienie warunków do właściwego funkcjonowania stacji, do takiego organizowania życia codziennego, które pozwoliłoby właśnie na przetrwanie. Myślę, że w pierwszym przypadku zdołałem kolegów i siebie zmobilizować na tyle, aby nasz pobyt za kołem podbiegunowym przyniósł optymalne rezultaty. Natomiast w drugiej kwestii...

Profesor zamyśla się; z nadzwyczajną uwagą przygląda się wiszącej naprzeciw półce. Nareszcie inna ściana; inny zapach ma też znajdujące się tu powietrze. Inny jest wymiar okna... To zamyślenie zdradza, że przez kilka sekund człowiek ten znajdował się daleko. Profesor schyla się, szuka czegoś w szufladzie. Przerzuca kartki brulionów. To dziennik. Zapis przetrwania.

— Proszę spojrzeć. Otrzymaliśmy od radzieckich kolegów telegram takiej treści: *„Gratulacje, wyrazy uznania za... przetrwanie"*. Powracam z uporem do tego słowa, bo ma ono w Arktyce wymowę szczególną, ale zrozumiałą tylko dla tych, którzy znają polarne kraje. Słowo z i m o w a n i e również ma dla mnie wartość specjalną.

Nawet nie potrafię dobrze wytłumaczyć panu, na czym to właściwie wszystko polega. Wiem jedno. Czuję na sobie jakiś ciężar, znam wagę spędzonego w Hornsundzie roku. Może powiem panu tak: my, Europejczycy, nie jesteśmy przystosowani do panujących w Arktyce warunków, do zimy polarnej. Przecież to trzy i pół miesiąca zupełnych ciemności. Trzy i pół miesiąca warunków klimatycznych i meteorologicznych, które znamy tylko teoretycznie, których nawet wymyślić sobie nie jesteśmy w stanie. Przed przypłynięciem na Spitsbergen sformułowania „zima polarna", „noc polarna", „zawieja śnieżna", „huragan" — to były pojęcia teoretyczne. W czasie minionego roku przeżyłem wszystko, co naprawdę kryje się pod tymi słowami. Może w pierwszej chwili zabrzmi to dość pesymistycznie — zresztą nie chcę tej myśli rozwijać — ale muszę powiedzieć, że tu, w Arktyce, najłatwiej można przekonać się, iż człowiek w konfrontacji z najdelikatniejszym odruchem przyrody, natury, żywiołu — nie ma najmniejszych szans. Budowanie umocnień, wznoszenie wsporników czy ustawianie podpór jest wręcz żenująco niepoważnym i śmiesznym przejawem zarozumiałości i głupoty ludzkiej. Zdaję sobie sprawę z wypowiedzianych słów. Wiem, że chyba nigdy już nie będę w stanie ani podobnie myśleć, ani formułować zdania. Po prostu w tym momencie czuję na sobie ten cholerny rok. Muszę panu powiedzieć, że dopiero w warunkach spitsbergeńskiej nocy i zimy polarnej zrozumiałem, co właściwie znaczy słowo k o l e k t y w. Dotychczas wielokrotnie zdarzało mi się kierować różnymi grupami, ale doświadczenie nabyte na tej wyspie nie ma sobie równych.

— Koledzy mówią, że jest pan niezwykle konsekwentny.

— Zamordysta. Może to lepsze słowo. Wychował mnie pod tym względem — jeśli tak można powiedzieć — profesor Stanisław Siedlecki, nestor polskich wypraw spitsbergeńskich. Wpoił we mnie pewne zasady, które niemal ślepo realizuję. Profesor Siedlecki pisał w książce „Dom Pod Biegunem": „Bezpośrednio po odjeździe grup letnich zespół zimujący mógł uregulować ostatecznie swój tryb życia i pracy. Dwa prawidła stanowiły podstawę regulaminu: 1) pracujemy w normalnym polskim domu, zakładzie naukowym i obowiązują nas wszelkie te przepisy, które są podstawą pracy każdego laboratorium badawczego w kraju; 2) żyjemy w normalnym polskim domu i obowiązywać nas muszą te obyczaje, jakie obowiązywałyby we własnym domu rodzinnym. Uznanie tych prawideł uważam za sukces całego zespołu. Zachowanie zasad porządku życia, dyscypliny, higieny fizycznej i psychicznej jest trudniejsze niż obcowanie z surową przyrodą. Doświadczenie nauczyło nas, że w wyprawie nie potrzeba ludzi niezwykłych. Potrzebni są natomiast ludzie umiejący prowadzić o własnych siłach zwykłe, codzienne życie. To zaś zawsze wymaga pracy i dobrej woli. Pory posiłków były dokładnie oznaczone. Jadło się zawsze w nieskazitelnie czystych naczyniach i przy stole porządnie nakrytym". Znam to na pamięć i przestrzegałem tych zasad. Musieliśmy — a uświadomiłem to kolegom bardzo szybko — w regularny sposób pracować, żyć i wypoczywać. Gorzej z wypoczynkiem. Tej sfery nie jest w stanie człowiek podporządkować swojej woli. Noc polarna ma ogromny, prawie zupełnie niezbadany wpływ na nasz organizm. Można kogoś zmobilizować do systematycznego i punktualnego przychodzenia na posiłki, ale nie można nikogo zmusić do snu. Najtrudniejsze były pierwsze „dni" nocy polarnej. Koledzy nie spali tygodniami. Byli szalenie zmęczeni i wyczerpani. Niestety, sen nie przychodził. Jednak wszyscy pracowali. Systematycznie prowadzono obserwacje i badania. Nie mogłem tego zrozumieć. Rozmawialiśmy o tych sprawach. Ale bezsenność nie mijała. Próbowaliśmy coś zaradzić. Kiedy człowiek widzi, że w trudnej sytuacji nie jest sam, że przynajmniej inni wiedzą, co go trapi i co czuje — łatwiej mu podchodzić do swoich problemów. Wiem, że to co mówię, to w dużej części banały i sformułowania dość pretensjonalne. Ale dla mnie mają one wymiar doświadczenia wyrosłego na rocznym pobycie w warunkach, które mogę określić tylko w jeden sposób — wbrew ludzkiej naturze!

Profesor odwraca się. Małymi łykami popija kawę. Bierze do ręki leżące na biurku zdjęcie niedźwiedzia:

— O nich też coś panu powiem. Białe niedźwiedzie, których pod naszą bazą przewinęło się bez mała ćwierć tysiąca — to zwierzęta szalenie niebezpieczne. Na początku zimowania wydawały się być największym zagrożeniem. Myśleliśmy tak szczególnie po napaści niedźwiedzia na jednego

z naszych kolegów. Ale im dłużej przebywaliśmy w tym białym piekle, im bardziej wchodziliśmy w noc, której towarzyszyły zakłócenie w łączności z krajem, niedźwiedzie stały się drugim w kolejności niebezpieczeństwem. Ich miejsce zajęła słabość. Jej wyrazem była nostalgia. Proszę pana, ja mam rodzinę. Mam dzieci. Kocham moich bliskich. Wiem, że wszyscy moi koledzy mogą powiedzieć to samo i wiem, że bardzo dużo, najwięcej siły woli, charakteru, ogromnego samozaparcia kosztowało właściwe odnoszenie się do spraw najzwyklejszej tęsknoty za najbliższymi. Ludzie różnie reagowali. Jednych nie można było oderwać od słuchawki, innych natomiast nie mogłem nakłonić do tego, by zatelefonowali do domu.

— Wiem, że przed wyjazdem postawił pan warunek, aby w ekipie znaleźli się ludzie żonaci.

— Stawiając taki warunek kierowałem się materiałem statystycznym odnośnie składów personalnych poszczególnych ekip zimujących w krajach polarnych. Szczególnie Amerykanie i Norwedzy podkreślają, że mężczyzna żonaty, posiadający rodzinę, jest „łatwiejszy" w codziennym życiu. Myślę, że nie trzeba tego dłużej tłumaczyć. Zrezygnowałem przy doborze członków ekipy z drugiej części warunku. Zabrałem dwóch bardzo młodych, 29-letnich kolegów, świeżo upieczonych małżonków z kilkumiesięcznymi niemowlętami w domu. I muszę przyznać, że spisali się znakomicie.

W czasie nocy polarnej wielokrotnie wracałem do książki Centkiewicza „Wyspa Mgieł i Wichrów", książki przedstawiającej pierwsze polskie zimowanie w Arktyce. Wracałem do zdania kończącego tę opowieść. Centkiewicz pisze: *„Mało ludzi zdaje sobie sprawę, że najtrudniejszą i najbardziej przykrą stronę życia w ciemnościach nocy polarnej stanowi jednostajność i świadomość, że żadne wysiłki nie pomogą, aby się z niej wyrwać bodaj na chwilę, gdyby nie poczucie, że praca nasza jest potrzebna, że jest maleńkim ogniwem w dziele poznania dalekiej Północy. Trudno byłoby tu inaczej wytrzymać..."* Pojawiają się nowe słowa: jednostajność, monotonia. Słowa te dopiero teraz, po roku zaczynają do mnie docierać w swym najwłaściwszym wymiarze semantycznym. Umieszczam je w kontekście trzech i pół miesiąca ciemności. Ciemności rozświetlonej przez zorzę polarną, na którą teraz inaczej patrzę. Mniej poezji ma w sobie także owa poświata księżyca, która towarzyszyła nam w czasie rzadkich pogodnych nocy.

Monotonia... O tej samej godzinie obserwacje, posiłki, pora wypoczynku, opracowywanie danych itd., itd. Zadymki, huragany, ciemności. Pierwszy miesiąc, drugi, trzeci, czwarty... Dopiero, kiedy pojawiło się słońce, sama jego obecność, przemienność pór doby odmieniło nasze życie. Pamiętam doskonale. Było 12 lutego. Przygotowywaliśmy się do uroczystości powitania słońca od kilku już dni. Pojawiło się punktualnie. Przez kilkanaście minut obserwowaliśmy maleńki rąbek, nawet nie połówkę tarczy wyłaniającej się zza linii horyzontu. Cieszyliśmy się jak dzieci. Szliśmy w stronę dnia! Zdjęliśmy z głów czapki i kaptury. To stary zwyczaj eskimosów. Trzeba, jeśli się chce przeżyć rok, od wschodu do zachodu patrzeć na tarczę słoneczną. Dopiero wówczas zrozumiałem, czym jest dla człowieka słońce, a w krajach Północy — szczególnie. Zrozumiałem radość Eskimosów i wszystkich polarników, którzy po miesiącach ciemności wchodzili w dzień. Wiedziałem jednocześnie, że teraz będzie nam łatwiej, że nabierzemy nowych sił, zaczniemy żyć i pracować tak, jak przez całe dotychczasowe życie. Muszę się przyznać, że do udręk, trosk i kłopotów tak męczących dotychczas, zatęskniliśmy wtedy szczególnie. Wszystko nabrało nowego sensu. Ale po miesiącu — nowa niespodzianka. Przepiękne, późnozimowe krajobrazy, zapierające wręcz dech zniknęły za trwającymi bez końca zawiejami, zamieciami i huraganami. Momentami zdawało mi się, że już lecimy w powietrzu porwani podmuchem nieprawdopodobnie silnego wiatru i zaraz roztrzaskamy się na pobliskich skałach. Odruchowo mocniej chwytałem oparcie krzesła, ale gdy nic się nie stało, nie było katastrofy, pozostawał jakiś niesmak, powstawała apatia, zrezygnowanie. Ledwo więc pojawiło się słońce, szybko świat przesłoniły ściany śniegu, miotającego się wściekle wokół stacji. I gwizd wiatru. Do wyczerpania nerwowego doprowadzały nas ujadania i wycia huraganów. Im dłużej to wszystko trwało, tym złośliwiej wygwizdywał swoje fugi i toccaty, a jednocześnie przenosił coraz to większe masy śniegu...

Szliśmy na spotkanie z nieznaną nocą arktyczną. Temperatury były coraz niższe, ciemności coraz większe, a i niedźwiedzi nie ubywało. Czy dostosujemy się do coraz trudniejszych warunków? Przecież trzeba cztery razy w ciągu doby wychodzić na obserwacje. Ktoś musi oświetlać drogę, ktoś inny odczytywać wskazania termometrów, a jeszcze inny — ubezpieczać kolegów. Rola asekurującego była niewątpliwie najtrudniejsza. Chociaż miał on przez cały czas broń w ręku, to niedźwiedź górował nad nim tym, że potrafił błyskawicznie, w kilku susach, w ciągu ułamków sekund pokonać nawet znaczne odległości. Zatem zimna krew, właściwa ocena sytuacji, spokój, pewność i celność strzału — przecież od asekurującego zależy życie zarówno jego, jak i kolegi. Niczym Światowid wędrowaliśmy na obserwacje. Czterech, ze strzelbami skierowanymi w cztery strony świata, a w utworzonym kręgu kolega zajmujący się odczytywaniem termometrów. Przed bazą mamy reflektory i lampy. Przy bezchmurnym niebie i bezwietrznej pogodzie krąg świetlny stwarzał pozory bezpieczeństwa. Prace badawcze były realizowane bez względu na warunki. Kiedy przyszły zadymki i zamiecie, kiedy pojawiły się huragany przewracające z nóg, też trzeba było wychodzić. Musiał wówczas człowiek uważać na niedźwiedzie. Trzeba było przy tym maksymalnie skoncentrować uwagę, trafić do przyrządów, utrzymać równowagę i nie zgubić się w śnieżnych ścianach. Zdarzało się niekiedy, szczególnie na początku, że kolega stwierdzał, iż nie chciałby dziś wychodzić, nie czuje się na siłach. Szedł więc zastępca. Nie można było ryzykować. Kiedy w pobliżu bazy znajdowało się cztery, pięć, siedem dziedźwiedzi, pojawił się nowy problem. Czy należało prowadzić prace badawcze, kiedy przed bazą przez ponad tydzień, niemal na schodach, mieszkał sobie niedźwiedź? Czy w tej sytuacji powinno się wychodzić, by dokonać odczytów termometrów? Jakie są granice ryzyka? Czy kierownik wyprawy ma prawo wysyłać ludzi, by w takich warunkach realizowali swoje zadania badawcze? Każdego roku ginie ktoś zaatakowany przez niedźwiedzia. Doskonale znane nam były przypadki, kiedy członkowie ekip naukowych, alpinistycznych, sportowych ginęli. Świadomość tych spraw stawała się tym większa, im więcej niedźwiedzi przechodziło w pobliżu stacji. Ale z tych spraw nikt nas nie rozlicza. Dla władz Akademii, i trudno się temu dziwić, ważne są efekty naszej naukowej działalności, natomiast nikogo nie interesuje to, że aby zdobyć taki lub inny wynik, pomiar czy zapis, aby zarejestrować zjawisko, przebieg procesu — trzeba było po prostu ryzykować życie. Miałem jednak dobry zespół.

— Przed kilkoma dniami, kiedy już zamieszkaliście na statku, wyświetlono film polski, z pięknymi zdjęciami Warszawy, Wybrzeża, z polskimi krajobrazami...

— Hm... — Profesor uśmiecha się. — To prawda, poleciała wtedy nie jedna i nie dwie łzy. Nie wiem, jaki tytuł nosił ten film, o co w nim chodziło. Dla mnie ważne były tylko te krajobrazy i pejzaże. Spitsbergen jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie, ale po dwunastu miesiącach ciągłego patrzenia na śnieg, lód, biel i błękit, chciałby człowiek popatrzeć na zieleń, las, piasek nadmorski, na jakże powszednie i w gruncie rzeczy na co dzień nie zauważane elementy naszego otoczenia. Muszę powiedzieć, że szczególnie ostatnio nasze rozmowy w saloniku bazy dotyczyły najczęściej piękna polskiego krajobrazu. Pochodzimy z różnych stron Polski, mogliśmy więc mówić o wielu jej regionach i obszarach. Zresztą, jak powiedziałem, dotknął pan bardzo delikatnej kwestii. Ojczyzna. To słowo, jak szereg innych, na które zwracałem w tej rozmowie uwagę, ma znaczenie wyjątkowe. Doceniliśmy to dość szybko. Musi pan wiedzieć o tym, że na Spitsbergen informacje docierają z opóźnieniem. Jest ich niewiele, wręcz znikoma ilość. Ale już te, które docierają, są po kilkakroć przekazywane z ust do ust. Najdrobniejszy nawet okruch wieści ze świata, z kraju był żywo komentowany. Interesowaliśmy się każdą tematyką, dziedziną, sprawą. Zupełnie inne ma wymiary Polska widziana z naszej perspektywy czasu i przestrzeni. Tęskniliśmy do dwóch rzeczy: do rodzin, najbliższych i do polskich krajobrazów. Dopiero teraz jestem w stanie w pełni zrozumieć Polaków mieszkających za granicą, mówiących, że chcieliby zobaczyć polską wierzbę, Mazowsze. Beskidy... Znam skalę tego pragnienia... Ale, czy nie za dużo już panu powiedziałem?

Kiedy wśród gęstego pola kry i gór lodowych wpływaliśmy na wody północnego Atlantyku, polarnicy wyszli popatrzeć, jak za kłębami gęstej mgły giną strzelając w niebo wprost z morza strome spitsbergeńskie szczyty. Czy powrócą kiedyś do tych miejsc, gdzie pozostawiali najtrudniejszy chyba rok swojego życia? Paa gjensyn, Isbjörnhamna! Do zobaczenia, Zatoko Białego Niedźwiedzia!

DZIEŃ POŻEGNANIA

PRZED SKOKIEM PRZEZ ATLANTYK

KRZYSZTOF BARANOWSKI

Środa to dobry dzień na wychodzenie z portu. Nie tak dobry jak niedziela, ale nie gorszy niż czwartek czy sobota. Przed skokiem przez ocean należałoby wziąć porządny rozmach, a my się grzebiemy w takich drobiazgach, że śmiech mówić — parę bochenków świeżego chleba, pomalowanie schodków wejściówki, wymiana oleju. Jasiowi prace pokładowe liczą się do zajęć lekcyjnych. Zaledwie liznął dzisiaj matematyki i to wszystko, co można uzyskać w naszej szkole w takim dniu. Ewa upycha tobołki z bielizną i klaruje zastawę, żeby garnki nie latały po jachcie jak przyjdzie rozkołys.

Clarkowie od rana zatrzymują się przy naszym pomoście, żeby dać wyraz swoim zachwytom. Tym razem zachwycają się pięknie pomalowanymi masztami. Ich jacht „Yellow Bird", choć w starym stylu z dużą nadbudówką, lśni wymuskany od żółtej burty po top czarnego masztu, Richard codziennie poświęca parę godzin na pracę. Florence dba, żeby wnętrze jachtu było podobnie nieskazitelne. Oboje są na emeryturze, ale posiadają młodzieńczą umiejętność zadowalania się każdą pogodą. Ich dzieci pokończyły studia i dorabiają się, by sobie również zapewnić starość na Bahamach. Richard i Florence już do tego doszli. Zdaje się, że nie wyczerpali jeszcze zapasu czułości dla swoich dzieci, bo dyskretnie wzruszają się naszymi. Mnie, jak na razie, brak tego dystansu.

Richard Clarke, ruchliwy siwy pan, o przygarbionych plecach i żwawym kroku pomagał nam zakładać cumy w Riding Rock Mariana tydzień temu. W tym zakamarku wody sztucznie stworzonym wśród skał panował niepokój. W ciasny kanał, wyrąbany dynamitem w skale, wchodziła długa, oceaniczna fala, odbijała się od kamiennych ścian maleńkiego porciku i wychodziła z powrotem na morze.

Celowaliśmy w tę wyspę z dużej odległości i tak, żeby wykorzystać przechodzący zimny front. Zaczęliśmy od Royal Island, pamiętnej przez rekiny, które nie dały nam się kąpać. Potem na skraju mielizn stał wrak dużego statku. Stał prosto i wysoko niczym posąg nawigacyjnego błędu. Szedł od niego ostry zapach wodorostów, mięczaków i rdzy. Kiedyś, na chwilę przed wejściem na mieliznę, pachniał ciepłym smarem i spalinami. Jeden moment i duch statku odszedł z wiatrem.

Zostawiliśmy piękną i zdradliwą, zieloną wodę. Ostatni podmuch starego wiatru wyprowadził nas na zewnątrz rafy, na wodę granatową i zanikł. Cieszyłem się jak gracz, który znalazł system na ogrywanie ruletki, bo teraz powinien przyjść nietypowy dmuch z północy. System działał, ale nowy wiaterek, jeszcze z południa (wiatry kręcą na półkuli północnej karuzelą w prawo) przez chwilę zatańczył, a potem zdechł. Zamiast przechodzić na zachodni, po prostu skończył się zostawiając nas kolebiących się na martwej fali, która zgodnie z prawami natury szła z południowego wschodu od strefy, gdzie wieją regularne wiatry.

Parę godzin flauty wprowadziło nerwową atmosferę na jachcie. Ewa zdzieliła po głowie Jasia, ponieważ Jaś bił, właśnie po głowie, Małgosię. Dzieci pokłóciły się o miejsce przy stole, gdzie miały przygotowywać niespodziankę dla mamy na Dzień Kobiet.

Wszystie święta rodzinne, osobiste, państwowe, kościelne i partyjne są na jachcie obchodzone albo przynajmniej jakoś kwitowane. No więc w wigilię Dnia Kobiet, Małgosia dostała w łeb, ponieważ Jaś chciał zrobić podstawkę pod garnki. Zwijał w tym celu linę w ciasne kręgi, a Małgosia w tym samym czasie i miejscu chciała wypisać laurkę dla mamy. W rezultacie Jaś cisnął linę w kąt i poszedł spać już o siódmej wieczór. Małgosia nie mając partnera do rozróby dokończyła swoje dzieło i zniechęcona poszła do koi.

Zmieniłem się z Ewą przy sterze o północy i miałem już tylko dla siebie czarne wypolerowane morze, świecące odblaskiem księżyca. Przy podmuchach z południowego zachodu wspinaliśmy się na martwą falę z trudem, by szybko zjechać z drugiej strony. Wiatru było na tyle, by trzymać jacht w delikatnym przechyle, a mnie w doskonałym nastroju.

Rano, kiedy według „systemu" powinien przyjść wiatr północno-zachodni, kołysaliśmy się na bezwietrzu. Zrobiłem śniadanie na Dzień Kobiet, a Jaś zrobił Małgosi prysznic z wiaderka i rurki. Małgosia najpierw wciąga ustami wodę do rurki, a potem sadowi się w kokpicie pod tym improwizowanym prysznicem i polewa się obficie.

Północno-zachodni zaznaczył tylko swoją obecność. Po niebie przemaszerowały ciężkie czarne chmury. Patrzyliśmy jak nadciąga ulewa, ale przechodzi bokiem. Potem nadeszły jeszcze czarniejsze chmury z wypustkami u dołu. Wypustki wydłużały się w trąby powietrzne, a potem chmura je wysysała, by wypuścić w innym miejscu.

Staliśmy wszyscy w kokpicie nie mogąc ani uciec ani się przesunąć. Na górze odbywała się konfrontacja żywiołów, a my mogliśmy tylko patrzeć w nadziei, że jacht one ominą.

— Co się stanie, jak taka trąba do nas dojdzie? — zapytała Małgosia.

Wiedziałem, że to pytanie dręczy też Ewę i Jasia.

— Może nas wkręcić do chmury.

Małgosia otworzyła buzię z wrażenia, a Jaś z Ewą uśmiechnęli się niedowierzająco, ale i z niepewnością.

Do wieczora się przejaśniło, ruszyliśmy z kopyta przy świeżym wietrze z północnego wschodu. Wędrował tak dookoła przez całą dobę, ale na paru kierunkach zająknął się mocno.

Przed samym świtem powitał nas San Salvador jasną latarnią. Szliśmy w przyzwoitej odległości od wyspy. Tak pewnie macał brzeg Krzysztof Kolumb. Zastanawialiśmy się z Ewą czy to właśnie tutaj rozgrywał się finał książek Ewy Szumańskiej „Santa Maria". Akcja umieszczona na pokładzie jachtu przenika w inną epokę wraz z postacią Nawigatora, który wydawał się jednym z płynących żeglarzy. Ewa Szumańska podała współrzędne geograficzne tego miejsca, gdzie zniknął z pokładu tajemniczy bohater, pamiętamy to oboje, ale brak książeczki na jachcie nie pozwala sprawdzić czy to działo się tutaj.

Pewne jest, że właśnie tu Krzysztof Kolumb zobaczył swój domniemany Cipang. Dziś najbardziej charakterystycznym punktem orientacyjnym, po-

Fot. Krzysztof Baranowski



Fot. W. Termanowski



ANDRZEJ NOWACKI — „Obraz 37" — *akryl*, z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego — nagroda Polskiego Radia i Telewizji w Szczecinie

Fot. W. Termanowski

mijając latarnię morską, jest pas startowy lotniska urywający się na piaszczystym brzegu.

Jedyny na wyspie porcik dający ochronę od wiatrów z każdego kierunku to Riding Rock Marina. Wiem wiele o tym miejscu, znam jego położenie na mapie, a jednak nie wiem, jak wygląda i gdzie się znajduje. Wydmy, skałki, rafy, krzaki, palmy i plaża. Gdzieś wśród zwyczajnego brzegu musi być cięcie prowadzące w głąb lądu.

Było piekielnie zamaskowane, a równocześnie tak oczywiste. Dwa nabieżniki stojące na brzegu! Jeśli tych tyczek nie postawił pijany Murzyn albo złośliwy Biały (może być odwrotnie), słowem jeśli ktoś myślał logicznie stawiając na brzegu kije jeden przed drugim, to właśnie znaczy, że w tym miejscu trzeba wymierzyć w brzeg. Siedem stóp na wejściu, czyli głębokość zanurzenia „Poloneza". Jeśli przypływ podniósł poziom, przejdziemy gładko, jeśli informacja z locji jest o kilka cali nieprawdziwa, siądziemy na dnie, a co dalej — lepiej nie myśleć.

Nie mówię Ewie o swoich obawach, ale tu nie trzeba mówić! Ewa już wie jak czytać kolory wody. Idziemy pełną szybkością po zielonych falach, które po obu stronach pienią się biało na rafach. W gardzieli kanału widać dno i brązową wodę. Nie można zwolnić, bo fala zniesie w bok. Uniosło nas do góry i posadziło na dnie. Czujemy jak jacht przyhamowuje siadając kilem na piasku i w tym momencie następna fala podnosi go w górę i wrzuca do kanału, w którym już jest spokojnie.

Rozpędu starcza na cały kanał i porcik, który otwiera się nieoczekiwanie wśród żółtych skałek. Mały brązowy domek na brzegu, wypłowiałe pomosty i żółciutki jachcik schowany pod tentem, z którego wystrzelają czarne maszty.

Środa to dobry dzień. Jak zwykle dokuczają małe niewidoczne muszki. W Brazylii i Argentynie nazywaliśmy je kiedyś „bichos colorados". Tubylcy tutaj mówią na nie „no-see-them", czyli „niewidzieć-ich", co odpowiada prawdzie, bo nie widać ich wcale. Wszystko jedno jak je zwał, gryzą ludzi z entuzjazmem. Można kochać tropik, ale nie wtedy, gdy się w tropiku mieszka.

W tym dobrym dniu zaprosiłem rodzinę na obiad do jedynego na wyspie hotelu. Przyjeżdżają tu grupy turystów na płetwonurkowanie wśród raf oraz na pielgrzymkę do miejsca, w którym odkryto Nowy Świat.

Ewa zarządziła przebieranie całej załogi w godziwe szatki, co mnie trochę zniechęciło do obiadu. Nigdy nie jadaliśmy w knajpach, natomiast chętnie przyjmowaliśmy zaproszenia miłych osób. Na ten ostatni dzień postanowiłem zawiesić oszczędzanie i zrujnować się nawet na lody.

Po obiedzie znów przebieranie i oddanie cum. Przedwczoraj wyszła „Dajka". Dla Richarda i Florence kolejny jacht i kolejna rozrywka. Udało mi się ubiec Richarda przy cumach, gdy „Dajka" wchodziła do portu. Właściciel, Holender pływający z żoną, Węgierką z pochodzenia, nazwali jacht na cześć babuni Węgierki.

Parę lat temu przyjechali do Ameryki robić karierę. Zamieszkali w Montrealu, żeby tak zupełnie się nie amerykanizować, ale i to nie ratowało ich samopoczucia. Boudewyn, zdaje się tak się pisze to dziwne holenderskie imię, postanowił zwinąć interes i ruszyć na jachcie do lepszych krajów.

Na początek wybrał Wyspy Dziewicze w Archipelagu Antyli. Ten przynajmniej nie miał kłopotów z wizą, ale teraz mnie pytał jak tam dopłynąć. Powtarzałem utarte formułki o wiatrach wirujących w prawo przy nadchodzącym froncie, ale żadnego frontu nie było widać, ani w dniu wyjścia „Dajki", ani dziś.

Boudewyn postanowił wynająć się dla przyjaciół po śmiesznie niskiej cenie (bo dla przyjaciół), 125 dolarów na tydzień od osoby zabranej na pokład. Zrobi w ten sposób z niewielkiego jachtu tramwaj, ale pobyt będzie miał opłacony.

Co potem, jeszcze nie wie. Może popłynie do Singapuru, a może do Europy. Zazdrościł nam, że już wkrótce będziemy w cywilizowanym świecie. Miał na myśli Europę i poziom kultury w naszych krajach, to znaczy w Holandii i Polsce.

W ostatnim dniu Boudewyn podejmował nas szklaneczką Bolsa. Wprawdzie firma ta prosperuje w niezwykle kulturalnym kraju, ale ten jej wyrób smakował jak nalewka na pluskwach. Przez grzeczność nie wypowiedziałem swojego zdania. Richard pokręcił głową, ale gruby George, Amerykanin osiadły na Bahamach, mlasnął głośno i poprosił o jeszcze.

A teraz Boudewyn skarży się, że wychodzenie z portu zawsze się przedłuża. — Wystarczy zdjąć cumy — odpowiadam, a Richard mnie popiera. Nie chcemy miłego kolegi wyrzucać, ale jeśli taki ma kłopot, to możemy pomóc. George jest innego zdania, bo razem z „Dajką" odpłynie „pluskwiak". Zaś Boudewyn mówi, że jeszcze nie brał prysznica, a żona właśnie wróciła.

— Rzeczywiście, bez załogi nie powinieneś płynąć — przytakuje Richard. Żona zdaje się niezadowolona, że w ostatniej chwili przed rejsem panowie siedzą w mesie i piją. Znam to skądinąd.

— Zrobimy ci prysznic na pomoście — podsuwam pomysł.

Na gwałt chcemy udowodnić Boudewynowi, że jego wola żeglugi ma szanse zwyciężyć. Dick odkręca hydrant, a ja prowadzę strumień wody. Żona patrzy na tę akcję pożarniczą z niedowierzaniem, a George korzysta z zamieszania i dolewa sobie Bolsa.

— Już jesteś wykąpany! Czy coś jeszcze ci brakuje?

Boudewyn patrzy po swoich ociekających spodniach i przyznaje, że właściwie nic mu nie brakuje.

— George! Schodzimy, „Dajka" dopływa!

Poczem zakomenderowałem ceremonialnie, które cumy w jakiej kolejności powinny być zdjęte i z radosnym okrzykiem pożegnania zrzuciliśmy je do wody. Taki jest skutek jak się w upalne południe częstuje „pluskwiakiem" przygodnych przyjaciół.

Posmutnieliśmy jednak wszyscy, a George najbardziej. Może dlatego, że on nigdzie nie wypływał. Mieszkał tutaj, na tej wypalonej wysepce i nie miał jachtu. Miał za to samolot, który sam pilotował, co mogło wydawać się niemożliwe ze względu na jego olbrzymi brzuch. Kiedy siadał za stołem, był młodym amerykańskim blondasem, ale gdy sadowił się do terenowego samochodziku, wyglądało jakby to jechał brzuch na kółkach.

Parę dni temu George ujął nas zabierając dzieci na przejażdżkę tym właśnie śmiesznym samochodzikiem o pomarańczowym kolorze. Potem, siedząc już w mesie, opowiadał jak lata do Stanów po części zamienne do samochodów. Od czasu uzyskania przez Bahamy niepodległości strumień urządzeń technicznych wysechł. George wyczuł koniunkturę. Zbiera zamówienia od czarnych Bahamczyków, a potem brakujące części do różnych urządzeń przywozi swoim samolotem. Za przelot bierze niewielki fracht, ale przy dużych ilościach to się z nawiązką opłaca. Bo poza tym żyje z kapitałów zdobytych w bliżej nieokreślony sposób i gdzieś tam nieźle ulokowanych. Jak dobrze być kapitalistą i mieć terenowy samochodzik do wożenia swojego wielkiego brzucha...

George stale do nas powraca. Czasem zatrzymuje przy pomostach samochód, a czasem, przejeżdżając z czarną dziewczyną podnosi rękę w powitalnym geście. Zwierzył mi się, że studiując w Yale miał przyjaciółkę Rosjankę. Była stypendystką na wydziale chemii. Nie może o niej zapomnieć. Czy dlatego do nas powraca, że my też Słowianie?

W tym dniu, który jest taki dobry do wyjścia, nie częstujemy nikogo wódką, bo już jej nie mamy. Richard i Florenca niepotrzebnie proszą, żeby ich mile wspominać. George udziela ostatnich wskazówek, jak powinien startować samolot w pogodę taką jak dziś.

— A gdy wiatr osłabnie do pięciu węzłów i wykręci na południe, a muszki zaczną mocniej gryźć, to znaczy, że nadchodzi zimny front...

Ale wiatr wcale nie zamierza wykręcać na południe, a muszki i tak gryzą mocno, jak co dzień.

Myślę, że przed wielkim skokiem przez Atlantyk należy zrobić coś ważnego, jakąś rekapitulację uczuć. Zastanowię się przynajmniej co czują inni na progu wielkiego oceanu. A tymczasem ja się zastanawiam, czy nie przytrzemy na wyjściu z kanału, gdzie głębokość wynosi siedem stóp.

W mesie pachnie świeżym chlebem. Chleb to ziemia i jego zapach będzie zapachem naszej tęsknoty za lądem. Jeszcze raz, na morzu, pożegna nas San Salvador błyskiem latarni morskiej. Ostatni okruch Nowego Świata.



ODGŁOSY MORZA

ZBIGNIEW KOSIOROWSKI

„Dopóki słyszę morze
żyję.
Lecz z każdym rokiem muszę
podchodzić bliżej".
(Axel Liffner: „Uległość —
wyczekiwanie")

Preludium

Najpierw z brzegu. Seledynowa cisza. Milczało morze, milczał wiatr, milczały drzewa. Potem usłyszał rytm serca, a był on rytmem fal; rytmem przebudzenia. Cisza przeszła w granat, wiatr w szept, a drzewa w kołysanie.

Innym razem była walka. Przyglądał się jej z wysokiej wydmy. Fale grzmiały uderzając w stromy brzeg. Pieniły się, a nie była to złość bezsilna. W miejscu, gdzie kiedyś rósł kościół, ostały się tylko fragmenty murów. Chcąc zrozumieć morze, zaczął je słuchać. Głosy morza poruszały jego wyobraźnię, snuły opowieści, wabiły, ale i odstraszały. Gdy morze mówi, słychać je nie tylko z brzegu — pomyślał. — Gdy słucham, co mówi, jestem bierny. Zrozumieć morze? Tak! Ale czy stąd? Stojąc na brzegu? Muszę rozpocząć dialog. Słuchać i mówić. Ale tam... W miejscu gdzie możliwa jest rozmowa.

Anegdota

Czy musi sięgnąć pamięcią do tych odległych lat? Musi! To na wszelki wypadek nie powie, kto prowadził ten jacht, bo był to bardzo dobry i sympatyczny człowiek.

Środek lata. Piękna słoneczna pogoda i świeży wiatr. Pierwsze wyjście w morze, na Zatokę Pomorską. W odległości trzech mil od brzegu, gdzieś na wysokości Międzyzdrojów, kapitan wyjął lornetkę i rozpoczął lustrowanie lądu. Na plaży tłok. Wiadomo lipiec. Wakacje. Z pozycji grajdołka mały jacht wygląda, jak stary, herbaciany kliper. Załoga na takim żaglowcu, to ho ho... Co najmniej półbogowie, herosy, albo i co innego. A wpłynąć by tak między te rozdziawione gęby! A pokazać, jak wyglądają prawdziwi żeglarze. Kapitan już słyszy te głosy zachwytu. Zaraz wyda odpowiednią komendę. W pewnym momencie zauważa w kokpicie najmłodszego kandydata na herosa. Jest nim szczupły, nieśmiały blondynek. Patrzy na wszystko, jak urzeczony. Pochłania wzrokiem swego kapitana i czeka na rozkazy. Będą rozkazy:

— Chłopcy! — zaczyna kapitan — przygotować się do zwrotu. Będziemy dobijać do mola w Międzyzdrojach. Tylko z fasonem.

Im bliżej mola, tym fajniej. Słychać gwar plaży. Czuć nawet zapach zdrowych, opalonych, przypieczonych, zupełnie białych i innych ciał. A ciał jest dużo. Zwłaszcza damskich. Nikt więc nie zważa na taki szczegół, że wiatr jest dociskający właśnie do plaży. Nikt też nie pamięta, że jacht ma stały balast, że nie jest mieczową „Omegą". Co tam. Dziewczyny już machają z mola chusteczkami, śmieją się i właśnie w ten śmiech wdziera się diabelski chichot. Gdzieś od samego dna. Słychać, bo do dna niedaleko.

— Cholera! Przytarliśmy o próg morski — stwierdza kapitan.

Faktycznie — myśli blondynek, patrząc przez burtę na podwodną muldę. Ale checa. Co teraz będzie?

Jachtem wstrząsnęło. Coś tam zazgrzytało i stracili sterowność. Tylko tyle. Nikt nie wypadł za burtę. Nic. Tylko ta cisza. Nawet plażowe megafony zamilkły.

— Rzucać kotwicę! — krzyczy kapitan. Blondynek z innymi, rzuca żelazo za burtę, ale ten szmelc nie trzyma. Nie ma o co zaczepić. Na utłuczonym przez fale dnie płyciutka warstwa piasku. Wiatr nie zważa na ich rozpaczliwą krzątaninę i dalej dmucha.

Ma ten wiatr dużo siły, a jachcik nie taki znów „kliper". Lądują na plaży wśród zadowolonych, opalających się plażowiczów. Wreszcie jakaś atrakcja. Stado wilków morskich wśród lądowych szczurów. — No, dosyć już tego przedstawienia — rozkazuje władca mórz i wiatrów. — Rozpędzić gapiów!

Wiatr napędza chmury, ale kapitan tym razem nie dał się zwieść pierwotnej landrynkowej oprawie dramatu, którego był autorem i głównym bohaterem. W porę zatelefonował po statek ratownictwa morskiego. Ściągają ich linami na pełne morze. Zakładają hol i płyną w kierunku Świnoujścia.

— I taki był mój chrzest morski — mówi ówczesny, szczuplutki i nieśmiały blondynek. Dzisiaj z wymienionych cech pozostał mu tylko kolor włosów. Chociaż nie. Kapitan Jerzy Siudy nadal jest szczupły.

— Stałem na pokładzie, patrzyłem przerażony na oddalający się brzeg i przekonywałem siebie, że była to przecież niecodzienna sprawa, że nie za każdym razem będziemy brzeg taranować.

Jacht — czym jest?

— Słyszałem bardzo dużo mądrych określeń, że przyjaciel, dom, itd. Na pewno jacht trzeba lubić. Nie można też od łódki, która już swoje przeszła, wymagać ekstra osiągów. Jacht trzeba polubić i zrozumieć. Musisz umieć w fachowy sposób zachęcić go do żeglugi. Miałem taki przypadek na „Bumerangu". Jakoś od samego początku nie bardzo go lubiłem. Po prostu nie rozumiałem go. Był dla mnie za ciężki, zwłaszcza po „Karfim", po tym zwinnym „Taurusie", który poza tym, że był lekki i zwrotny, chciał również wygrywać z innymi. Wsiadłem na „Bumeranga", biorę za ster, chcemy go rozpędzić i gdzie tam. Jakaś mulista, ospała krypa. Nie bardzo mogłem się z nim dogadać. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego w pewnych warunkach nie chce mnie słuchać. Przecież — mówiłem do siebie — mam odpowiednią wiedzę, doświadczenie, umiejętności, dlaczego więc nie potrafię go uruchomić, zachęcić do szybszego biegu? Dopiero po pierwszym sezonie, który był różny — można powiedzieć nawet, że udany ze względu na ilość odbytych rejsów, ze względu na udział w regatach, w których szło ciężko, ale nie zawsze przegrywaliśmy — dopiero po roku jakoś żeśmy się zrozumieli z „Bumerangiem" i zaczęliśmy go lubić. Bo przecież nie tylko ja, ale i cała załoga. Wreszcie była okazja usłyszeć, jak chłopcy mówią: — „patrzcie, jak on fajnie jedzie". Faktycznie w drugim sezonie zdobywał się już na ładne osiągi. Rywalizowaliśmy ze „Spanielem" na prawie bezwietrznej pogodzie dosyć skutecznie. Czyli, że jacht potrafił się zdobyć na niespodziewany zryw. Czy niespodziewany? Jasne, że to, co mówię, jest w konwencji przypowieści o jachtach i ludziach, bo wiem, że tego ode mnie oczekujesz. Ujmując rzecz od strony bardzo konkretnej, praktycznej — chodzi o to, by jacht poznać, nauczyć się go i umieć wykorzystywać jego potencjalne możliwości.

Chcesz dalej w konwencji metafory? Powiedziałem, że z jachtem trzeba umieć się dogadać. Przecież nie na głos. Ten kontakt z uczłowieczoną jachtową materią zdarza się w trochę dziwnym wymiarze. Wtedy, gdy nasze obcowanie z jachtem jest bardzo osobiste, kiedy chcemy mu ufać, bezgranicznie wprost, bo tylko jest jacht i żeglarz. W regatach samotnych. Zdarza się więc, że idziesz, odchodzisz od steru na dziób, by walczyć z takim dużym żaglem, z którym i pięciu chłopców ma co robić, idziesz i chcesz, by ten żywy jacht nie zachował się czasem jak znarowiony koń, gdy musisz dojść do żagla i uporać się z nim sam, a jacht płynie i to dosyć szybko; więc idziesz i mówisz mu: „tylko mnie stary nie zgub, bo zastaniesz sam". Jeździec, który ma pokonać niebezpieczną przeszkodę, szepcze koniowi do ucha: „tylko mnie nie zgub, stary" klepie go po szyi. Daje w ten sposób znać, że obdarza go sympatią i zaufaniem. I koń to wie. Może jacht też? W każdym bądź razie są takie jachty. Ale ta sympatia do nich nie może się zaczynać i kończyć na wodzie. Musi być stale widoczna — w hangarze, przed sezonem, przy przeglądach i usuwaniu usterek — wszędzie, i dopiero wtedy można liczyć na obopólne zrozumienie.

Jacht, a dom

Na jachtach bywa wyjątkowa ciasnota, z tym, że na jachtach, którymi przyszło nam obecnie pływać jest zdecydowanie wygodniej, niż na starych jednostkach. Są wygodniejsze, mają obszerniejsze wnętrza, a przede wszystkim są suche. Dom musi być suchy i powinno w nim być ciepło. Bardzo często w tych nowszych jachtach mamy nagrzewnice. Zupełnie jakby ktoś piecyki wstawił. Więc to na pewno jest dom, ale nie tylko dlatego, że jest w nim ciepło. Dom to również poczucie bezpieczeństwa, miejsce azylu. Za domem się tęskni. Do domu się wraca. I w tym, co teraz mówię, kryją się paradoksy. Bo posłuchaj: — Wracaliśmy „Bumerangiem" z rejsu, który trwał więcej niż miesiąc. Wracaliśmy do domu. Jachtem, który jest — jak mówisz — również domem. A wiesz, jak po dłuższym rejsie bywa. Ludzie mają siebie dosyć. Każdy się spieszy do rodziny. My zaś przybiliśmy do przystani i zaczynamy gadać. Godzinę, dwie... Już wieczór, i nie chce się nam iść do domu, bo na tym „Bumerangu" tak przyjemnie. Może zdarzyło się, o co jest bardzo trudno, że nie zmęczyliśmy się sobą, ani też jachtem. Mało tego. Na drugi dzień przyszliśmy znowu na jacht. I to jest fajne, że ten jacht dał się polubić właśnie jako dom.

Jacht-dom, a poczucie bezpieczeństwa

Ważna jest wiara w to, że jacht jest bezpieczny, że jest odpowiednio dzielny, że w różnych warunkach można liczyć na jego konstrukcję i jego wytrzymałość. Ta wiara jest potrzebna załodze. Tak, jak idziesz do domu, w którym mieszkasz i wiesz, że nic cię tam złego nie spotka. Trafiają się jachty po prostu źle zaprojektowane, albo źle wykonane, bądź też — co jest częstsze — niedbale, karygodnie utrzymywane. Na takich jachtach najczęściej występują awarie, co jest szalenie przykre dla załogi. Przecież nie zawsze i nie każdą awarię można usunąć w morzu własnymi siłami. Te awaryjne, z różnych powodów, jednostki, są ciężkie dla żeglarzy. O takich jachtach nie mówi się, że są domami. Jednak dom to bezpieczeństwo. A na jachtach, gdzie się ciągle coś psuje, trudno marzyć o jakimś wyczynie żeglarskim. Tam się przeważnie walczy o życie, a nie z konkurentami. Na moich dwóch poprzednich jednostkach nie było mowy, byśmy walczyli o życie. Miały miejsce awarie, ale w trakcie ich usuwania ani razu nie straciliśmy chęci do regat. Nawet gdy nam na „Karfim" urwało kiedyś ster. W sztormie, przy sile wiatru powyżej siedmiu stopni. Przez godzinę łowiliśmy płetwę mając kolosalne trudności z jej wyciągnięciem z wody (o mało chłopcom nie pogniotło rąk), ale w końcu wytaszczyliśmy ster na pokład. Koledzy naprawili na tyle, ile było można w tym sztormie, założyli i kontynuowaliśmy dalej wyścig. Było to w trakcie Mistrzostw Polski. Zdobyliśmy wicemistrzostwo. Złote medale pogubił nam ster. Ale nawet wtedy, gdy bez steru jacht wyczyniał przeróżne ewolucje, gdy zagrożone było zdrowie paru osób, nawet wtedy nie czuliśmy tego tak, że „Karfi" nas zdradził. W stoczni włożyli mu w rufę za słaby kawałek metalu, coś było za słabe, za bardzo forsownie płynęliśmy... Tych przyczyn mogło być więcej. Więc to nie wina „Karfiego". Przez siedem lat był mi niezawodnym: ..... — wstaw tutaj co uważasz za stosowne. Przez siedem lat nie zdarzyły się takie warunki atmosferyczne, a przeszliśmy szereg sztormów w czasie trzydziestu rejsów i około czterdziestu regat pełnomorskich, w których nie moglibyśmy płynąć w obranym kierunku. Zawsze dowoził nas bezpiecznie do portów.

Pierwszy medal

Dokładnie nie pamiętam. Chyba na „Conradzie"..., a w ogóle pierwszy mój wyczyn miał miejsce na „Ceti" (bardzo stara „Vega") ze szczecińskiego LOK-u. Właśnie na „Ceti" wygrałem jeden z wyścigów w czasie Mistrzostw Polski. Trochę fuksem, ale byłem z tego bardzo dumny. Mile ten fakt wspominam, bo zwycięstwo w tym jednym biegu, w konkurencji z dużymi jachtami Marynarki Wojennej, mocno mnie podbudowało. A pierwszy medal na Mistrzostwach Polski miał kolor brązowy i zdobyłem go na „Conradzie". Tak się złożyło, że od tego pierwszego medalu sprzed czternastu lat, aż do tego ostatnio zdobytego w 1978 roku tylko raz zająłem w Mistrzostwach Polski gorsze niż trzecie miejsce. Złoto po raz pierwszy zdobyłem na „Karfim" w 1973 roku i od tego czasu wygrywałem wszystkie mistrzostwa. Najbardziej zaś poszczęściło się nam w 1976 roku. Najpierw w Gdyni wygraliśmy wszystkie pięć wyścigów w trakcie Mistrzostw Polski, a potem zdobyliśmy trzy puchary w Gdańsku w regatach o Puchar Prezydenta. I tam na zatoce wydarzyła się niezwykła przygoda.

Startował RFN-owski duży i ładny jacht konstrukcji Sparkmana-Stivensa, czyli „Svaan", zbudowany gdzieś w Barcelonie. Dużo większy od naszego, ale startowaliśmy w tej samej grupie. Początek wyścigu w niczym nie zapowiadał, że będzie on taki niezwykły. Jachty rozjechały się i dopiero końcówka przyniosła emocje. Płynęliśmy kursami na przecięcie tak, że mogliśmy Niemcom przejść przed

dziobem. Postanowiłem inaczej. Mogłem ryzykować, bo wiedziałem na co stać moją załogę. Czasami zdaje mi się, że mam najlepszą załogę w Polsce. Ale do rzeczy. Chłopcy już wiedzieli, na co się szykuję. Puściliśmy Niemców w odległości pół metra. W chwili gdy nasz kosz dziobowy zahaczał o ich rufę, zrobiliśmy zwrot. Udało się „wsiąść" Niemcom no ogon. Można to porównać do sytuacji kolarza, który jedzie tuż za samochodem. Za budą samochodu wytwarza się podciśnienie i jakby wsysa reworzystę. Tu natomiast korzystaliśmy z układu fal wytwarzanych przez większy i szybszy jacht. I na tej „wsysającej" fali konkurenta (oczywiście tu zachodzi inne zjawisko) kotłowaliśmy przeszło pięć mil. Z taką samą jak oni prędkością. Niemcy najpierw się bardzo cieszyli. Później zaczęli się coraz częściej oglądać, dziwić się, dlaczego nie zostajemy w tyle.

Najciekawsze było wejście na metę. Ta wylawirowaliśmy Niemców, zresztą zgodnie z przepisami, że udało się nam wpaść na metę pół metra przed nimi. Takim rzutem na taśmę. Chłopcy z RFN-u zaprosili nas potem na piwo. Kiwali głowami, gratulowali mówiąc, że to było świetne widowisko. Ale szczęśliwi chyba nie byli. Więc to widowisko nie dla wszystkich było fajne.

Regaty samotnych. Siudy — Jaworski

Pomysł zogranizowania regat w pojedynkę po Bałtyku na trasie Świnoujście—Christiansö—Świnoujście, traktowaliśmy na serio i ambicjonalnie. Chcieliśmy się zmierzyć w warunkach, w których nie moglibyśmy mówić, że nam coś sknociła załoga. Poza tym odczuwało się już w tym czasie potrzebę takich regat, ale nie było odważnych, by zacząć. Kuba i ja pływaliśmy na jachtach mniej więcej podobnych. („Ogar" — „Karfi"). Ponieważ razem pracowaliśmy w stoczni jachtowej, więc niejako w naturalny sposób dojrzała decyzja, że czas zacząć takie regaty. Zwłaszcza, że hasło już było i to niezłe — opłynięcie świata przez Krzysztofa Baranowskiego na „Polonezie". Stąd też w maju 1973 roku postanowiliśmy zaryzykować. Popłynęliśmy w „zwiad", żeby na własnej skórze odczuć przyjemność samotnej żeglugi. I po tym dwustumilowym wyścigu w pojedynkę doszliśmy do wniosku, że pływanie takie jest nie tylko możliwe, ale i potrzebne dla rozwoju żeglarstwa w Polsce. A dla Jaworskiego był to niezły trening przed udziałem w Transatlantyckich Regatach Samotnych Żeglarzy. Sądzę, że to mu na pewno nie zaszkodziło. Wiedzieliśmy już wtedy, że nasze regaty mogą być oślą łączką dla wszystkich, którzy w przyszłości zechcą ruszyć samotnie na wielką wodę.

Kłopotliwa samotność

Ty już wszystko o tym wiesz. Czytałem twoje artykuły na ten temat. Mogę tylko potwierdzić, że z tego zmęczenia, niewyspania, z zimna, przemoknięcia i innych udręk, na które się godzimy w samotnej żegludze, rodzi się coś w podświadomości. Po dobie jazdy w pojedynkę, gdy nie mogę odejść od steru, gdyż samoster jest zepsuty, a w związku z tym jestem głodny i niewyspany, pragnę czyjegoś towarzystwa, kogoś kto na chwilę zastąpi mnie przy sterze, albo zaparzy herbatę. Mówię więc do swego pragnienia: „stary, zagotuj wodę". A gdy „To" nie chce, wiem już, że nadal jestem sam. Gdy już drugą dobę nie mam do kogo otworzyć ust, wtedy słyszę czyjś głos i czuję, że ktoś jest na jachcie. Ale wiem, że tak być musi, że to normalne, że właśnie tak mój organizm, mój mózg radzi sobie z kłopotliwą, zmarzniętą i niewyspaną samotnością.

Samotnie dookoła świata

Po co? A nie lepiej z załogą? Chyba bym zwariował, albo się wrócił z takiej wyprawy. Po pierwsze, to bym nie wypłynął. Po co?

Rysiek Konkolski

Nie bez kozery nazywają go „twardym Richardem". Bardzo go cenię za jego równowagę psychiczną. Nigdy nie widziałem go w takim stanie, bym mógł powiedzieć, że jest wyprowadzony z równowagi, że się bez opamiętania wścieka. Jest bardzo równy w swoich emocjach. I taki też chyba był przed rejsem dookoła świata. Myślę, że trzeba się już urodzić tak zrównoważnym człowiekiem, żeby przeżyć taką długą samotność i ten niesamowity, fizyczny wysiłek. Trzeba mieć niezachwianą wiarę w to, że się dopłynie. Ja bym tego nie potrafił.

Czym jest żeglarstwo?

Do dzisiaj nie wiem. Chyba odpowiem na to pytanie, gdy przestanę żeglować. Przecież ja w nim jestem. Daleko od brzegu. Musiałbym więc stanąć z boku i popatrzeć na siebie z jakiejś perspektywy, z dystansu i może wtedy mógłbym powiedzieć coś prawdziwego o swoich odczuciach — czym było dla mnie żeglarstwo. Obecnie jest częścią życia, zajęciem, pasją. Na pewno nie jest sprawą dochodów. A zresztą... Naprawdę nie wiem. Jeszcze za wcześnie na odpowiedź.

Słuchanie morza

Do tego trzeba dojrzeć. Psychicznie. Słucham go nie dlatego, żebym był szczególnie muzykalny. Nie znam się na symfoniach, ale morze słyszę. I nie tylko dlatego słucham, że jest to takie romanytczne, ale dlatego, że wyciągam ze słuchania korzyści. Odgłosy morza często coś zwiastują. Zwiastują najpierw rzeczy prozaiczne: zmieniające się warunki zafalowania, siłę wiatru. Muszę więc słuchać morza. Należy mieć słuch wyostrzony i podejrzewam, że do takich się zaliczam. Mam słuch na morze. Dzięki temu potrafię przewidzieć, co nastąpi za kilkanaście minut.

Trafia się bezwietrzna pogoda, niemal cisza. Łapiemy wtedy wszystkie podmuchy płynąc na największych żaglach. I nagle przychodzi tchnienie burzy. Przelatuje nad jachtem cichutko i szybko, ale jest słyszalne. Ja je słyszę. Zdążę więc zrzucić duże, a postawić żagle sztormowe. Wiem, że za chwilę przyjdzie potężne uderzenie, które jeśli natrafi na opór, to pognie, połamie, pokaleczy, zatopi... Zaskoczenie? Zależy jak dla kogo. Morze szanuje doświadczenie i tym, którzy potrafią słuchać — wiele powie. Niemal wszystko.

Słuchać morza, to również umieć słuchać jachtu. On też mówi. Bywa, że jacht zaczyna niebezpiecznie zgrzytać, trzeszczeć. Jachty drewniane, ale nie tylko, sygnalizują swoje przeciążenie trzaskiem. Taki ich język. Na „Karfim" mieliśmy nadpękniętą gródź. Nic właściwie groźnego. W tym miejscu następowało naturalne wyładowywanie się naprężeń. Kiedy pęknięcie się zwiększało — „Karfi" przeraźliwie zgrzytał. Taka skarga pękniętego drewna. Drewniany „Bumerang" też ma swoje zgrzyty i po nasilaniu się trzasków wiedziałem, czy jacht ma już dosyć, czy też jeszcze go można dalej forsować. Należy więc słuchać, co jacht mówi, a on mówi, bo morze mówi. Nie słyszałem jeszcze gadającego jachtu na lądzie.

Odgłosy morza słyszę również poprzez burty jachtu, wtedy gdy jestem wewnątrz. Koje są tak ustawione, że głowy mamy przy burcie. Na początku rejsu ten zmieniający się przy uchu bulgot wody troszkę denerwuje. Ale po dobie wiem, że jest też ważny. Po tym bulgocie poznaję czy dobrze płyniemy. Załogę nieraz irytuje, że niby kładę się spać, a po dziesięciu minutach wyskakuję na pokład z pytaniem: „— co wy tak źle płyniecie? Dlaczego wolniej" Po prostu inaczej mi ta woda śpiewa. To nie są jakieś nadprzyrodzone zdolności. Gdy zmienia się kurs względem wiatru, woda zaczyna inaczej grać. A jakie to ważne gdy się płynie w pojedynkę... Miałem taki przypadek. Po dobie sterowania poszedłem pod pokład, by się zdrzemnąć, a byłem mocno śpiący. Mógłbym więc spać długo. Nagle usłyszałem coś, co mnie natychmiast obudziło. Usłyszałem ciszę. Przestało bulgotać za burtą, przestał jacht trzeszczeć... Zupełnie tak, jak z młynarzem: młyn staje — młynarz się budzi.

Finał

Gdy stoisz na brzegu i słyszysz falowanie morza, jego grzmot — podejrzewasz, że morze jest bezmyślne. Niby się rusza, a jednak martwe... Nie wierz temu. Ono mówi, tylko ty nie słyszysz, a to, co słyszysz, formą tylko. Ważna jest treść. Może kiedyś zrozumiesz. Jeśliś młody — ucz się rozumieć morza na wielkiej, nieprzebytej nigdy do końca wodzie. Gdy poznasz abecadło, gdy zaczniesz rozumieć, osiągniesz niezależność. Wtedy dopiero będzie możliwa twoja rozmowa z morzem. Nie krzycz jednak na morze, nie wyzywaj, bo to by świadczyło o twojej głupocie. Oznaczać też będzie, że jednak nie pojąłeś najważniejszego. Wtedy zastanów się dlaczego stary człowiek, który zrozumiał morze, mówi: „Dopóki słyszę morze — żyję".

Morze to nieskończoność i stary człowiek wie o tym. Stać go na uległość i wyczekiwanie. Nie musisz tak, jak on. Czasem wystarczy, że chcesz zrozumieć morze, że słyszysz jego odgłosy, które dla wybranych są mową. Ale nie ustawaj w trudzie aż zrozumiesz.

(Fragment książki pt. „13° w skali Beauforta", która ukaże się w br. nakładem KAW)

SZNYCELKI Z OSTROBOKA

Składniki (na 5 porcji): 100 dkg ostroboka, 10 dkg oleju, 2 jaja, 50 dkg mąki pszennej, 2 bułki pszenne, 150 dkg kwaśnych jabłek, sól i pieprz naturalny do smaku.

Po rozmrożeniu ryb zdjąć skórę i przygotować filety, oprószyć je pieprzem i mąką. Maczać w roztrzepanym jajku i panierować w świeżych grzankach sporządzonych z bułki pszennej pokrajanej w słupki wielkości zapałek. Smażyć na rozgrzanym tłuszczu, na złoty kolor. Z jabłek usunąć końcówki i gniazda nasienne, pokrajać w krążki, oprószyć mąką, maczać w roztrzepanym jajku i smażyć razem z rybą. Sznycelki podawać na gorąco z ułożonymi na wierzchu krążkami jabłek z dodatkiem frytek i surówek.

OSTROBOK Z KONSERWY PO FRANCUSKU

Składniki: 1 puszka konserwy z ostroboka w dowolnej zalewie, drobno posiekana zielona pietruszka, szczypior, ząbek czosnku, 2 cebule, 1 duży pomidor lub przecier pomidorowy, olej sojowy.

Przygotowanie sosu: na rozgrzanym tłuszczu (oleju) dusić drobno posiekaną cebulę i szczypior, dodać roztarty czosnek i posiekaną zieloną pietruszkę, pokrajany pomidor lub przecier pomidorowy, przyprawić do smaku solą i pieprzem. Filety odsączyć z zalewy, złożyć na półmisku i polać przygotowanym sosem. Podawać na gorąco lub na zimno.



Ryby z najczystszych wód świata w każdym sklepie Centrali Rybnej

KERGULENA

Kergulena to ryba o wyjątkowo wysokiej smakowitości, ma delikatne, białe mięso o dużej zawartości białka i niedużej zawartości tłuszczu (tylko 1,1—1,2%). Jest to więc mięso o dużych wartościach również dietetycznych. Zaletą kerguleny jako surowca jest to, że nie posiada ości śródmięśniowych, a skóra jej jest cienka i pozbawiona łusek. Jest doskonała w każdej postaci: gotowana z wody, w galarecie, smażona, pieczona i duszona w jarzynach.

NOTOTENIA

Z nototenii można sporządzać różne potrawy stosując podobne techniki przyrządzania jak przy mięsie z tą ważną różnicą, że w dużo krótszym czasie. Ugotowane czy smażone nototenie mają barwę mięsa białą z lekkim odcieniem różowawym. Mięso ich jest delikatne, soczyste i kruche. Zwłaszcza wysoko ceniona jest przez smakoszy nototenia gotowana w galarecie. Głowy i kręgosłupy nototenii mogą być wykorzystane do przygotowania wywarów i zup rybnych.

HALINA LIZIŃCZYK

ANALIZY

Szczeciński Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMS przyznał w tym roku nagrodę literacką Pawłowi Soroce z Warszawy za tomik „*Oczyszczenie*", uznając tę książeczkę za najlepszy debiut roku 1979. Autor jest teoretykiem „realnego romantyzmu". Swą doktrynę wyłożył w wielu publikacjach prasowych. Zapadła ona głęboko w serca i umysły młodych twórców szczecińskich, poświęcili jej sporo miejsca w okolicznościowym, bogato ilustrowanym biuletynie. Zgłosili także gotowość występowania pod sztandarami „realnego romantyzmu". Ruch ten, a raczej pospolite ruszenie, kieruje się przeciwko elitarności młodej poezji polskiej, przeciw oderwaniu się od tradycji i chorobliwemu poszukiwaniu nowości.

„*Idzie o światopogląd* — pisze lider ruchu — *którego podstawą byłaby kontynuacja jako rezultat dialogu tego „co było" z tym „co dziś"*. „*A to, co dziś* — uprzedza lojalnie — *jest nie pozbawione sprzeczności w całym swym bogactwie, rzeczywistości tworzenia „nowego", którego najważniejszym elementem jest człowiek wyrażający postawę realnego romantyzmu*".

No cóż, program jakich wiele. Nie należy fetyszyzować manifestów przynależnych strategii i taktyce życia literackiego. Nie rzuca mnie na kolana odkrycie bogactwa i sprzeczności tego „co dziś", ani propozycja dialogu. Wszak literatura jest właśnie dialogiem, arką przymierza między dawnymi a nowymi laty, by posłużyć się terminologią mniej realnego Romantyzmu. Wciąż jednak nieuchwytna pozostaje istota tajemniczego związku sprzecznych terminów. Romantyczną postawę najwięźlej wyraża wezwanie autora „Ody do młodości" — „mierz siły na zamiary". Tymczasem „realny" znaczy tyle, co liczący się z rzeczywistością, z faktami, trzeźwy, dający się urzeczywistnić, możliwy.

Przeczytałam tomik z nadzieją na rozwiązanie paradoksu. W wierszu „*Przedmiot w samej rzeczy*" znalazłam odpowiedź: „*nie to, co chce się / tylko to co da się*". *A oto cały wiersz:*

w rzecz wstąpić / to z siebie wystąpić / i ujrzeć świata rzecz / kwintesencję bytu / światło mózgu człowieczego / oraz nie to co chce się / tylko to co da się /

Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z poezją filozoficzną i to nie z rozważaniami, w których czytelnik mógłby wraz z bohaterem lirycznym oddawać się wątpieniu i poszukiwaniu prawdy. To już gotowy kanon, przepis na skuteczne poznanie, o czym świadczy użycie formy bezokolicznika, rozpoczęcie „wykładu" od definicji i przedstawienie rezultatu eksperymentu.

Przywołajmy na chwilę Kanta (wybacz Wielki Mężu!) z jego fenomenami i noumenami. Świat „rzeczy w sobie" jest niepoznawalny. Na podstawie doznań nie można niczego wnosić o rzeczach. Przedmiotem poznania są bowiem same przeżycia i konstrukcje ukształtowane przez umysł na podstawie tych przeżyć. A więc wiedza, którą moglibyśmy zdobyć za pośrednictwem zmysłów, nie może nas niczego nauczyć o naturze i istocie świata.

Dawni myśliciele, którzy odrzucali klasyczną definicję prawdy, mówili, iż brak arbitra, który mógłby z pozycji zewnętrznej (zarówno wobec myśli jak i wobec rzeczywistości) orzec czy faktycznie świat wygląda tak jak myślimy o nim. „*W rzecz wstąpić / to z siebie wystąpić*" — czytamy u Soroki. Ale co oznacza tutaj „*wystąpienie z siebie*"? Trzeba porzucić ciało, więzienie zmysłów i wyjść światu naprzeciw jako mentalność, podmiot myślący? W dawnych wiekach ujmowano rozstanie z sobą bardziej obrazowo: „*Dusza z ciała wyleciała / na zielonej łące stała*". Człowiek z wiersza „*Przedmiot w rzeczy samej*" w y s t ę p u j e z siebie. Czasownik „wystąpić" wchodzi w utarte związki frazeologiczne z takimi wyrazami, jak szereg, organizacja. „Wystąpienie z" ma charakter radykalnego, ostentacyjnego działania. Wbrew intencjom poety operującego abstrakcyjnymi pojęciami widzę w tym miejscu, jak wysztywniony duch w postawie „*baczność, do raportu wystąp*" zgłębia zagadki bytu w otchłani kosmosu.

Czytajmy dalej: „*i ujrzeć świata rzecz / kwintensencję bytu / światło mózgu człowieczego*". Spotkanie z kwintesencją bytu nastąpiło więc poprzez iluminację? Nowy punkt widzenia osiągnięto przez satori — intuicyjne wejrzenie stojące w opozycji do poznania intelektualnego i logicznego? Skoro „*stamtąd*" widać „*światło mózgu człowieczego*", czy to ono oświetla teren, na którym jawi się „*świata rzecz*" czy samo jest „*kwintesencją bytu*"? Nie ma znaków interpunkcyjnych, które mogłyby rozwiać wątpliwości.

Co jeszcze można ujrzeć wystąpiwszy z siebie? „*Nie to co chce się / tylko to co da się*". Światło mózgu człowieczego nie rozjarzyło się dostatecznie? Zwróćmy uwagę na spójnik „oraz". Gdybym ujrzała kwintesencję bytu, byłabym usatysfakcjonowana w pełni, tymczasem podmiot poznający z wiersza Soroki doznawszy największego olśnienia popada w niczym nieuzasadniony pesymizm. Stworzona w wierszu sytuacja wykładu zmienia się nagle. Wykładowca pewny dotąd swej wiedzy i aprobaty słuchaczy zastępuje język fachowy potocznymi zwrotami. Jakby uznał, że esencjonalny, naukowy wywód nie trafia do uczniów i trzeba go wesprzeć wyłożeniem kawy na ławę, terminologią zaczerpniętą z filozofii życiowej. „*Nie to co chce się, tylko to co da się*" to maksyma pokrewna takim obiegowym powiedzeniom: „*Jak się chce, to się zrobi*", „*Jak się da, to się da*".

Kto chce ujrzeć „*świata rzecz*", niewiele wyniesie z wykładu poety. Niech czyta innych romantyków. Aby nie utrwalił się w naszej pamięci Soroka — gnoseolog, przeanalizujmy inny wiersz, zamykający „*Oczyszczenie*".

OGIEŃ

stare odrzuca / nowe wznosi / w piecach hut / płonie jak szturm / z oka lasera pełznie / z rakiety / z bomb / my się spalamy / a ogień / — — — nas nie spali? / gdy nad wilgotną ziemią / dym cichy płynie / pytam się / czy chmura ptaków spłonie / i armie / czy intuicja kobiety / czy spali się tom wierszy / i symfonia / słońce nie spłonie / ale przedszkole / ale Ojczyzna / są tacy / co ogień przeliczają / na monety / trzeba się im przyjrzeć / inaczej ogień będzie tu / a my? / podparty dłonią / nie mogę czekać /

Wiersz zapowiada się romantycznie. Ambiwalencja ogniwa, żywiołu, który godzi w sobie dobro i zło, podtrzymuje życie i niszczy je, niesie zagładę, ale także zbawia i oczyszcza — fascynowała wielkich Romantyków. Symbolika ognia związała się na stałe z obrazem rewolucji. I od niej wychodzi Soroka sporządzając swój ogniowy katalog.

Niezbyt zręczne wydaje się ujęcie działania ognia jako „*odrzucania*" czegoś, ale nie bądźmy drobiazgowi. Od symbolu rewolucji — „*w piecach hut / / płonie jak szturm*" — przechodzimy do konkretów techniki.

Tu także ogień objawia podwójne oblicze — przyjazne i wrogie (laser, rakieta), pełznie podstępnie. I wreszcie bomby — bez nich autor nie byłby pewny, czy udało mu się wytworzyć klimat zagrożenia. Kto by, mimo wszystko, bagatelizował niebezpieczeństwo, musi zastanowić się nad wersami: „*My się spalamy / a ogień nas nie spali?*" Skoro spalanie jest niezbędnym warunkiem życia biologicznego, może ogień jest nam sądzony jako niszczyciel tego życia?

Człowiek współczesny zadaje sobie pytanie, jaki zasięg może mieć kolejna wojna światowa, co zostanie na ziemi po takiej konfrontacji. Podmiot liryczny wiersza „pyta się", co spłonie? Wypada odnieść się z uznaniem do powściągliwości w wyliczaniu ofiar, jeśli zważyć, że poecie płacą „od linijki". Poetę interesują ptaki, armie, a także wartości niematerialne: „*intuicja kobiety / tom wierszy i symfonia*."

Od wątpliwości przechodzi do przekonań. „*Słońce nie spłonie*" — to wie na pewno (a więc końca świata nie będzie), „*ale przedszkole / ale Ojczyzna*". Ojczyzna musiała pojawić się w wierszu romantycznego poety jako wartość najwyższa. Czemu jednak wybór padł na przedszole? Aby wstrząsnąć naszym sumieniem, że wojna nie oszczędzi niewinnych dzieci.

Na koniec autor zdecydował się wyjawić czytelnikowi, skąd zagraża konkretne niebezpieczeństwo. Trzeba się przyjrzeć tym, co ogień przeliczają na pieniądze, niecnym militarystom. Nie miałabym nic przeciwko tej atrakcyjnej propozycji, gdyby nie dwa następne wersy: *inaczej ogień będzie tu / a my?* Sugerują one wyraźnie, że fakt przyjrzenia się producentom i dysponentom broni ustrzeże ludzkość przed wojną. Realny romantyk bierze na siebie odpowiedzialność i deklaruje chęć działania za miliony: „*podparty dłonią / nie mogę czekać*".

„*Już czyni naród bezpiecznym przytomność wielkiego człeka*" — pisano niegdyś, w epoce broni ręcznej. Ten wiersz-protest, to tupanie na Pana Boga wynika z naiwnej wiary, że w poezji wystarczy mieć rację, być „za" i pokrzykiwać „Hu-ha! Jestem zaangażowany w problemy współczesności!"

CECHY MANEWROWE STATKU

O poziomie bezpieczeństwa żeglugi na szlakach morskich decydują wszyscy użytkownicy tego szlaku, a więc i często niedoświadczeni żeglarze, rybacy zajęci połowem, załogi barek, małych jednostek i największych zbiornikowców. Poruszanie się w zorganizowanym, lecz często nie kontrolowanym potoku statków na uczęszczanych morskich i śródlądowych torach wodnych wymaga nie tylko doskonałej znajomości cech manewrowych własnego statku, ale i świadomości możliwości manewrowych statków płynących na kursach przeciwnych czy poruszających się w bezpośrednim sąsiedztwie. W praktyce, ani tą świadomość, ani też cechy manewrowe własnego statku nie zawsze są tak oczywiste, pomimo coraz trudniejszych warunków żeglugi i zagęszczenia ruchu.

Pobieżna analiza tempa rozwoju tylko polskiej floty za ostatnie 30 lat pozwala stwierdzić, że było ono imponujące (pomimo tendencji malejących w ostatnich latach). Wystarczy zauważyć, że ilość statków wzrosła sześciokrotnie, nośność naszej floty wzrosła siedemnastokrotnie, a przewozy osiemnastokrotnie. Co roku flota światowa wzbogaca się o 500—600 statków (powyżej 10 tys. ton DWT) rośnie ich przeciętna wielkość i szybkość przy jednoczesnych opóźnieniach w odpowiedniej rozbudowie i modernizacji dróg wodnych i portów. Te zjawiska wymagają poszukiwania środków zaradczych i zapobiegających rosnącemu zagrożeniu kolizyjnemu. Powszechnie instaluje się w dużych portach europejskich systemy kontroli i regulacji ruchu statków, na wzór instalacji lotniczych czy drogowych. Zanim jednak przedsięwzięcia te przyczynią się wyraźnie do poprawy bezpieczeństwa żeglugi należy powrócić do odwiecznego problemu „właściwości manewrowych statku".

Według znanego praktyka i teoretyka kpt. ż. w. A. Nowickiego, wiadomości o manewrowaniu statkiem obejmują całość wskazań o celowym kierowaniu jednostkami pływającymi oraz całokształt cech charakteryzujących zachowanie się statków na pograniczu ośrodków powietrznego i wodnego. Na cechy manewrowe składają się przeciwstawne sobie zdolności statku do przyspieszania, utrzymywania i zmniejszania prędkości, zdolność do zmiany kierunku ruchu i utrzymania ruchu prostoliniowego. Te zagadnienia wspólne są dla wszystkich środków transportu lądowego, powietrznego i wodnego, jednak w przypadku ruchu statku są one znacznie bardziej złożone. Na czym więc polega ta złożoność i trudności w manewrowaniu statkiem morskim?

Można wyodrębnić pięć zasadniczych czynników, które zdaniem autora, decydują o zwiększonym stopniu trudności na jakie napotyka nawigator podejmujący się kierowania ruchem statku morskiego:

1. Ruch statku odbywa się na granicy dwóch ośrodków — powietrznego i wodnego, i w związku z tym podlega nieustannie wpływowi tych ośrodków (wiatru, prądu, fali). Oddziaływaniu tych ośrodków sprzyja stosunkowo duża powierzchnia boczna wystawiona na działanie wiatru, prądu czy fali. Już samo rozpoznanie parametrów stanu tych ośrodków i ich wpływu, dokonane w warunkach statkowych (w trakcie rejsu czy manewrowania portowego) nastręcza spore trudności i może być dokonane tylko szacunkowo.

2. Stosunek mocy napędu do masy jest na statkach morskich wielokrotnie niższy niż ma to miejsce w innych środkach transportowych. Dla przykładu na 1 tonę masy zbiornikowca „Kasprowy Wierch" (137 tys. ton DWT) przypada zaledwie 0,15 KM, na 1 tonę masowca 32 tys. ton DWT przypada 0,3 KM, tymczasem w komunikacji samochodowej stosunek ten jest 10—50 razy większy, a w komunikacji lotniczej kilkaset razy większy.

Taka sytuacja poważnie ogranicza możliwości przyspieszania ruchu i zatrzymania statku. Do dyspozycji nawigatora pozostają stosunkowo niewielkie prędkości i siły naporu śruby i steru, którymi może przeciwstawiać się niepożądanym wpływom czynników zewnętrznych i siłom bezwładności masy statku.

3. W odróżnieniu od innych środków komunikacji, sformułowanie rzeczywistych równań ruchu statku lub inaczej mówiąc matematyczny opis ruchu manewrującego statku napotyka wciąż na trudności. Przybliżony i skomplikowany opis zjawisk fizycznych towarzyszących pracy kompleksu kadłub—śruba—ster w warunkach rzeczywistych daje wyniki daleko odbiegające od obserwacji rzeczywistych. Stąd też najpewniejszym źródłem informacji o cechach manewrowych są czasochłonne i kosztowne próby morskie.

4. Na większości statków morskich proces kierowania ruchem (w przeciwieństwie do innych środków komunikacji) odbywa się wciąż jeszcze nie przez osobiste, fizyczne kierowanie (sterowanie), ale na drodze wydawania poleceń realizowanych przez pojedyncze osoby (sternik, oficer wachtowy) lub grupy osób (zespół mechaników w siłowni okrętowej

---

● Podczas XV Ogólnopolskiego Przeglądu Zawodowych Teatrów Małych Form przyznano nagrody publiczności: I. Dla Jacka Chmielnika, Mikołaja Brabowskiego, Janusza Peszka, Andrzeja Kierca za „Kwartet" Bogusława Schäffera; Teatr im. Stefana Jaracza z Łodzi. II. Dla Pawła Galii i Krzysztofa Jędryska za „Wyspę" A. Fugarda; Młodzieżowe Centrum Kultury z Krakowa. III. Dla Magdy Teresy Wójcik i Henryka Boukołowskiego za „Małego księcia" A. de Saint-Exupery'ego; Teatr Adekwatny z Warszawy. Nagrody Komisji Artystycznej: I. Dla wykonawców „Kwartetu". II. Dla Teatru Adekwatnego za „Małego księcia". III. Dla Kazimierza Borowca za monodram „Lichwiarz i łagodna, czyli dwa portrety z kasą na tle" F. Dostojewskiego. Nagrody publiczności Domu Kultury „Korab" I. Dla Teatru Adekwatnego za „Małego księcia", II. Dla Leszka Benkego z Teatru Powszechnego z Łodzi za „Konopielkę" wg E. Redlińskiego.

● Jury w składzie: Witold Zalewski (przewodniczący), Antoni Chojnacki, Tadeusz Drewnowski, Adolf Momot, Jan Pieszczachowski, Wacław Sadkowski przyznało Ogólnopolską Nagrodę Literacką Miasta Szczecina za twórczość marynistyczną Jerzemu Pachlowskiemu za książkę pt. „Opowiadania morskie".

W ostatecznej dyskusji kontrkandydatami do owej nagrody byli: Zbigniew Jankowski z tomem poezji pt. „Żywioł wszelki"; Teresa Remiszewska z książką: „Z goryczy soli moja radość" oraz Czesław Schabowski, który wydał „Archipelag urzeczonych".

● W związku z obchodami 35-lecia wyzwolenia Pomorza Zachodniego w Szczecinie i województwie odbyło się wiele imprez, które swymi treściami przypominały o tej rocznicy. M. in. Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego KW PZPR, Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej oraz Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Szczecinie zorganizowały sesję popularno-naukową poświęconą 35-leciu wyzwolenia Pomorza Zachodniego. Na program sesji, otwartej przez prof. dr. Aleksandra Walczaka — prezesa ZW TWP w Szczecinie, złożyły się referaty: prof. dr. hab. Antoniego Czubińskiego, który mówił o ideowo-politycznych uwarunkowaniach odzyskania

KRONIKA morza i ziemi

Ziem Zachodnich i Północnych; prof. dr hab. Andrzeja Jezierskiego, informującego o problemach gospodarczych Pomorza Zachodniego w latach 1945—1950; doc. dr. hab. Tadeusza Białeckiego, przedstawiającego problemy ludnościowe Pomorza Zachodniego; dr. Mariana Rodziewicza, przedstawiającego znaczenie 35-lecia wyzwolenia Pomorza Zachodniego w pracy ideowo-wychowawczej.

● Szczecińskie Towarzystwo Kultury, Delegatura Szczecińska Związku Polskich Artystów Fotografików są organizatorami wystawy fotografii pn. „Rodzina szczecińska", którą z okazji 35-lecia powrotu Pomorza Zachodniego do Ojczyzny otwarto w Zamku Książąt Pomorskich.

● Na posiedzeniu plenarnym Komitetu Środowiskowego PZPR Szczecin-Śródmieście omówiono wartości ideowo-artystyczne repertuaru teatrów dramatycznych, widowisk estradowych oraz teatralnych programów radiowo-telewizyjnych.

● Serdecznie przepraszamy za przypisanie w ostatnim numerze „Morza i Ziemi" wiersza „Twórca" Stanisławowi Zajączkowi. Autorem wiersza „Twórca" jest Stanisław Wit Wiliński.

● Tegorocznym laureatem nagrody „Trybuny Ludu" został dyrektor Teatru Polskiego w Szczecinie Janusz Bukowski. W uzasadnieniu nagrody podkreślono poważny wkład Teatru Polskiego w kształtowaniu kultury teatralnej wśród robotników, młodzieży studenckiej i szkolnej.

itp.). Stan taki z jednej strony powiększa przedział „czasu martwego" pomiędzy poleceniem i jego wykonaniem, a z drugiej strony zwiększa prawdopodobieństwo pomyłek.

5. Ograniczone techniczne środki i możliwości oddziaływania na ogromną masę statku, świadomość zaangażowania olbrzymich sił bezwładności i niedoskonałości własnej kontroli nad nimi stwarza dodatkowo utrudnienia i stressy. Od pilota czy kapitana kierującego ruchem statku wymaga się jak gdyby perspektywicznego widzenia, przewidywania rozwoju sytuacji jak na obrazie filmowym z dużym wyprzedzeniem w czasie i przestrzeni. Wiadomo też, że możliwości człowieka w zakresie odbioru i przetwarzania informacji są ograniczone... Dla przykładu można posłużyć się znów kilkoma parametrami manewrowymi zbiornikowca „Kąsprowy Wierch". Statek ten płynąc prędkością „Cała Naprzód" (około 30 km/godz.) może najszybciej zatrzymać się dopiero po 18—20 minutach, pracując w tym czasie gwałtownie śrubą „Cała Wstecz". W tym też czasie przepłynie odcinek równy 5—6 km. Dla manewru hamowania swobodnego („Cała Naprzód", „Stop Maszyna") olbrzymie siły bezwładności będą poruszały statek jeszcze ponad godzinę i w tym czasie przepłynie odcinek ponad 12 kilometrowy. Jeżeli przy pełnej prędkości kapitan tego zbiornikowca rozkaże wychylić „ster na burtę" (tj. o kąt. 35°) to zmiana kursu o 90° nastąpi nie wcześniej jak po 3—4 minutach po przepłynięciu dystansu do przodu równego ponad 1 kilometr. Warto, aby z tych faktów zdawali sobie sprawę wszyscy użytkownicy drogi wodnej, a zwłaszcza żeglarze i nawigatorzy na mniejszych jednostkach lekkomyślnie żeglujący w pobliżu lub na drodze dużych statków.

Na wspomniane cechy manewrowe statku będą miały istotny wpływ takie czynniki, jak:

— przegłębienie statku na dziób czy na rufę,
— zanurzenie statku i stały przechył boczny,
— rozkład masy ładunkowej w poszczególnych ładowniach,
— prędkość statku i kąt wychylenia steru,
— siła i kierunek prądu i wiatru,
— głębokość toru wodnego czy parametry kanału morskiego.

To skomplikowane równanie ruchu z wieloma niewiadomymi jest wciąż nie rozwiązane ściśle nawet przez komputery w zaciszach laboratoriów, musi być jednak rozwiązane lepiej lub gorzej przez nawigatora w procesie manewrowania. Na tym chyba polega „sztuka manewrowania" oparta nie tylko na rzetelnej wiedzy, doświadczeniu i wyobraźni.

Wiedzę tę można poszerzać o wyniki rzeczywistych prób morskich. Niestety w polskiej flocie handlowej zaledwie kilkanaście statków dysponuje tzw. informacją ze zdolności manewrowej. Większość nawigatorów czerpie informacje o cechach manewrowych statku z kilku skromnych prób cyrkulacji i prędkości opracowanych przez stocznię na podstawie pomiarów w trakcie rejsów zdawczych. Wykonywane dotychczas tego rodzaju próby i testy przede wszystkim uwzględniają i potwierdzają teoretyczne wskaźniki sterowności, i założenie konstrukcyjne projektantów, natomiast w niewielkim tylko stopniu potrzeby nawigacyjne. Do rzadkości należy np. komplet informacji o cechach manewrowych statku w stanie załadowanym. Tymczasem na informacje o sterowności statku i parametrach nie ustalonego ruchu liniowego (możliwościach hamowania itp.) oczekują nie tylko nawigatorzy, lecz również:

— projektanci torów wodnych, kanałów i portów w celu określenia prawidłowych parametrów tych akwenów;
— władze administracji morskiej odpowiedzialne za organizację, regulację i kontrolę ruchu;
— armatorzy w celu precyzyjnego określenia warunków kontraktowych budowy nowych jednostek, odpowiadających wymogom manewrowym w określonych portach;
— konstruktorzy, projektujący układy napędowo-sterowe;
— uczelnie morskie i ośrodki szkoleniowe;
— izby morskie dla prawidłowej oceny awarii manewrowych.

Najbardziej uniwersalna i pełna forma informacji o cechach manewrowych statku pozostaje tylko jedną z niezbędnych pomocy w rękach nawigatora, który w procesie planowania manewrów, przewidywania reakcji statku, oceny możliwości manewrowych i podejmowania odpowiednich działań nie ma już czasu na poszukiwanie odpowiedzi w podręczniku.

Jedną z podstawowych form pomocy kapitanom w tym zakresie jest intensywne szkolenie na modelach lub symulatorach w zagranicznych ośrodkach. Szczeciński armator — Polska Żegluga Morska — może poszczycić się kilkusetosobową kadrą zdolnych i doświadczonych kapitanów przeszkolonych w manewrowaniu dużymi statkami. Sukces ten nie powinien przesłaniać jednak potrzeby dalszych uzupełniających badań cech manewrowych statków i potrzeby stworzenia własnego ośrodka szkolenia na symulatorze manewrowym.

JĘDRZEJ PORADA

DARIUSZ BITNER • *Małe formy* • *MINIATURY*

Przysiada na skraju stołu, wyciąga pomarszczone łapki żebrząc o byle kęs, byle łyk — byle co. Gdy udaję, że niczego nie zauważam — kuli się ze smutkiem, załamuje cieniutkie patyczki rąk, pochyla łepetynkę coraz niżej, niżej... i umiera.

GMACHY

Każdego ranka dzieci i dorośli przemykają się ulicami śpiesząc do swych zajęć. Mięsożerne Gmachy wysysają co niektórych z tłumu, wciągają w czarne czeluście bram. Ulice szybko pustoszeją.

Gmachy nie pożerają tylko Umundurowanych. To są ich niewolnicy, sługusy z determinacji lub przekonania. To oni wyłapują poukrywanych w zakamarkach miasta dezerterów, po czym wrzucają ich w otwarte gęby rozleniwionych powolnym trwaniem Gmachów.

Gmachy zasypiają po południu, niektóre tylko wieczorem, albo dopiero w nocy. Ludzie umykają z powrotem, plątaniną ulic biegną jak najdalej od strasznych ludojadów. Umundurowani patrzą na to w milczeniu. Są zbyt słabi i zbyt tchórzliwi, aby przedsięwziąć cokolwiek. Wiedzą, że ludzie czekają dnia wyzwolenia, kiedy Gmachy raz na zawsze rozsypią się w pył. Wtedy i na nich przyjdzie pora. Ale póki co — nocą czuwają nad snem Gmachów. Czekają świtu.

Ludzie tymczasem, odnalazłszy swe bliższe lub dalsze rodziny, szukając bezpiecznego schronienia — gromadzą się w potulnych i łagodnych Domach. Tam dają upust tłumionej nienawiści, krzyczą i płaczą, a potem szukają nadziei. Próbują się radować, wiedzą, że to nie może trwać wiecznie. W Domach spożywają posiłek, układają dzieci do snu, kochają się albo leżą w milczeniu obok siebie.

Rankiem znów wychodzą na ulice. Każdego ranka mają nadzieję, że uda im się wreszcie zrealizować to, o czym tak długo wieczorem rozprawiali. Że uda im się dojść do swoich zajęć. Ale znów ich pożerają Gmachy-Kanibale.

WSPOMNIENIE

Zawsze trafiam w jedno, dobrze mi już znane Miejsce. Prowadzą do niego różne drogi: raz idę ulicami miasta, kiedy indziej błądzę zagubiony w lesie albo przepływam rozklekotaną tratwą jakieś jezioro... na końcu docieram do pokrytych zielenią pagórków. Zawsze są inne, zawsze przypominają mi to jedno miejsce, którego wciąż jeszcze nie mogę sobie przypomnieć. Biegnę przez łąkę, przez łagodne, rozlazłe jak kapelusze wielkich maślaków płaszczyzny — docieram do wspinającego się ostro zbocza. Idę piaszczystymi ścieżynami, przede mną tylko niebo i trawa. Docieram wreszcie do krawędzi, patrzę w dół. Teraz dopiero uświadamiam sobie w pełni, że to właśnie to tak dobrze mi znane miejsce. Znane, a tajemnicze. Stroma, piaskowa, ale scementowana dzikim zielskiem skarpa. W dole przycupnięty las. Nie widzę jego rozpostartego aż po widnokrąg bezmiaru. Widzę linię pierwszych drzew i mrok, chłód leśnego wnętrza. Kilka razy próbowałem zejść tam na dół, ale moja realistyczna pamięć urywa się po kilku krokach. Wiem, że nigdy tam nie zszedłem, a tylko — jak się domyślam — bardzo dawno temu wielką miałem na to ochotę, bardzo chciałem. Nie pozwolono mi. I nigdy już tam nie zejdę. Do końca pozostanie mi chorobliwe swędzenie mózgu, nieopanowane pragnienie. I żadnej nadziei, że przypomnę sobie.

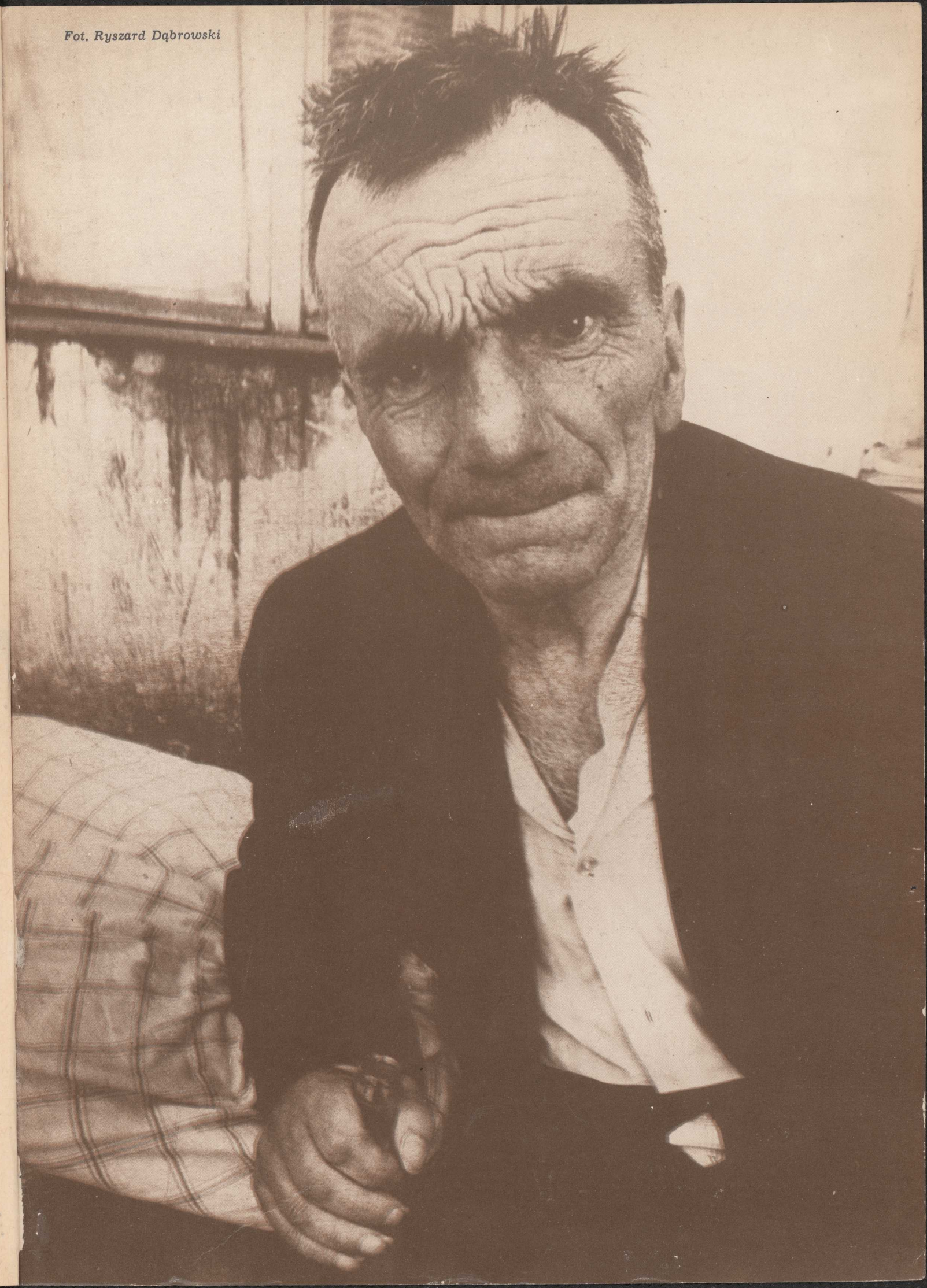
DZIECIŃSTWO

Z deformacji wspomnień wyłaniały się puste, wysadzone skarłowaciałymi drzewami ulice. Szedł na niestrudzonych nóżkach, przystawał przed każdym końskim pączkiem, aby dotknąć go palcem bosej stopy, przeturlać i zgnieść na pulsującą ciepłem miazgę. Codzienne wędrówki były odkrywaniem baśniowych śladów: na zielonych pagórkach odpoczywał dzielny rycerz strudzony walką ze smokiem, w lesie, okryta czernią dziupli, siedziała czarownica, a za lasem był kryształowy pałac — musiał to sprawdzić. Zanurzył się w chłodną zieleń...

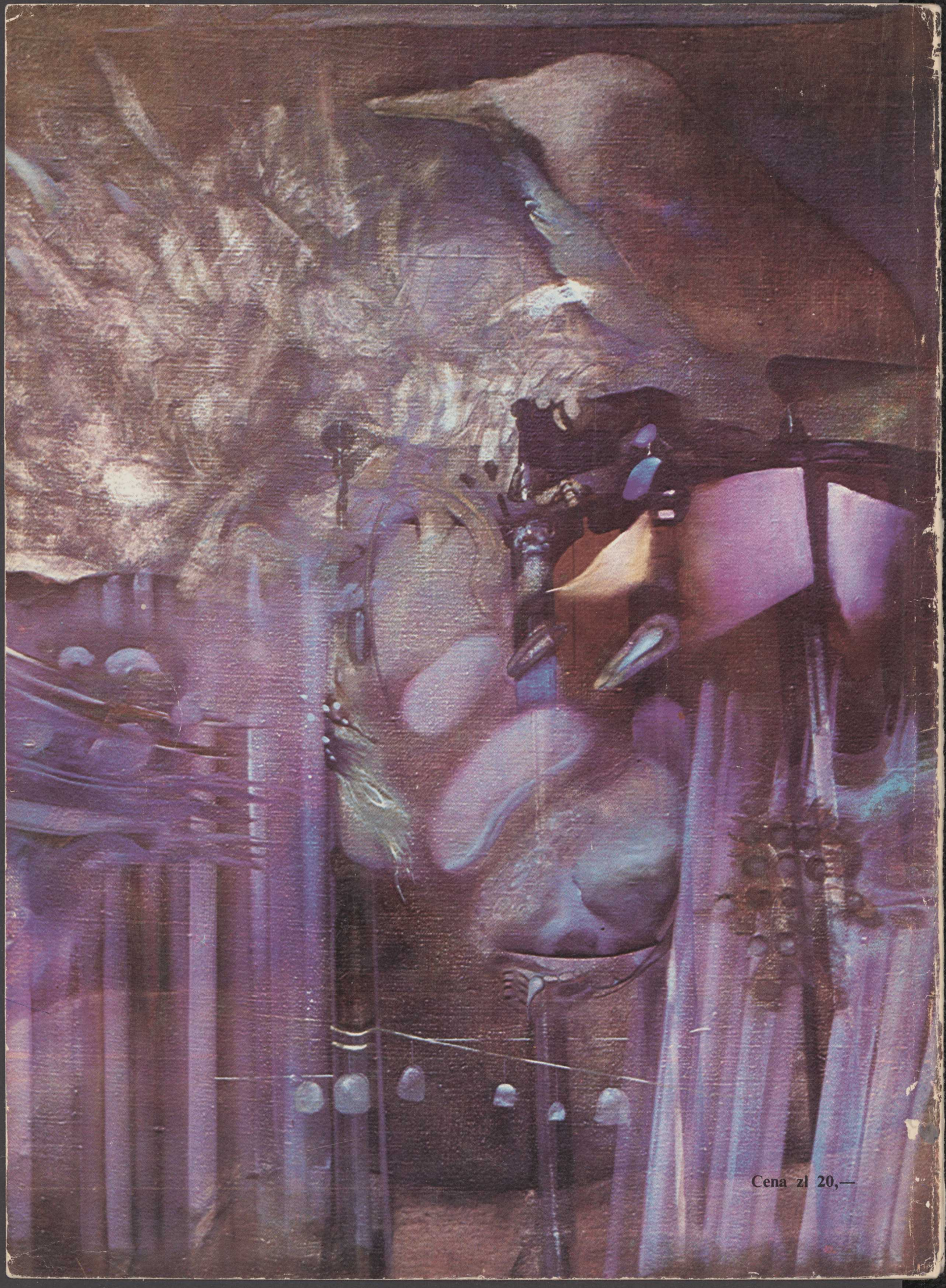
Odnaleziono go późnym wieczorem u stóp opiekuńczego dębu. Nie dotarł do pałacu, nie ujrzał sennej księżniczki, ale za to odnalazł w splątanej gęstwinie błękitne jeziorko. Siedział na ukwieconym brzegu, długo, aż powynurzały się z wody piękne syreny, nagie topielice, powyłaziły z szuwarów tapliki, moczusie, pływaki, smutny wodnik kołysał się na fali jak napęczniały balon. Mieszkańcy jeziora zażywali słonecznej kąpieli — przyglądał im się drżący i wzruszony. Aż zaśmiał się w końcu głośno, pomachał ręką, a woda w jeziorze zawirowała, zaszumiała wzburzona — i wszystko zniknęło.

Nikt nie uwierzy. Zabroniono mu oddalać się od domu. Zły, przepełniony goryczą, wałęsał się po omdlałej ulicy. Domy pilnowały każdego jego kroku, osaczały go zewsząd — mógł tylko marzyć o swoim lesie. Zaglądał w szpary między cegłami i wypatrywał zielonego pagórka, ale wszystko pokryte już było domami. Najeżone, posępnie sterczące budowle zaprzepaszczały marzenia o kryształowym pałacu.

Kipiąc bezsilną złością, wracał na ulicę i kopał nieśmiertelne końskie kupki.



Fot. Ryszard Dąbrowski



Cena zł 20,—